ABGAR-SOŁTAN

KLUB NIETOPERZY

POWIEŚĆ

Tom I.

WE LWOWIE
NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.
1892.

KLUB NIETOPERZY

TOM I.

ABGAR-SOŁTAN

KLUB NIETOPERZY

POWIEŚĆ

Tom I.

WE LWOWIE
NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.
1892.

Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca W. Hodak.

PANI JADWIDZE Z SAWCZYŃSKICH

GAWROŃSKIEJ

w dowód przyjaźni pracę tę poświęca

Autor.

I.

Przez szparę w sturach wkradł się do pokoju wązki pasek światła słonecznego. Dłużej już, niż godzinę wędrował on z drzwi na szafę — z szafy na szaragi, zawieszone bronią i jeździeckimi przyborami — z szaragów przeniósł się na dywan — wreszcie spoczął na zamkniętych oczach uspionego młodzieńca. Pod wpływem tego jaskrawego światła twarz pana Władysława Kierbicza skrzywiła się niemiłosiernie; ręka mimowolnie wykonywała ruch taki, jakim odpędza się muchy; a przez zamknięte usta przecisnęło się pół słowa cudzoziemskiej klątwy, które brzmiało... coś w rodzaju — sacrrr'.

Promyk słońca nie przestraszył się tego, padał uparcie w to samo miejsce i... obudził wreszcie leniucha.

Pan Władysław przestał spać, otworzył oczy, ziewnął przeciągle i klaskając w dłonie równocześnie donośnym głosem zawołał:

— Żorż! Żorż!... Gdzie cię djabli znowu ponieśli!... Żorż!

Za chwilę drzwi się trzaskiem otworzyły i do pokoju wpadł młody, szesnastoletni może chłopak, w zgrabny strzelecki kostium odziany. Wszedłszy, stanął na chwilę, jakby namyślając się:

co ma zrobić? Był zdyszany i mocno zarumieniony.

— Żorż, hultaju! — wołał świeżo obudzony pan. — Wiele razy, trutniu, nakazuję ci, żebyś rano czekał w jadalnym pokoju, aż się obudzę i zawołam.. A ty zawsze latasz Bóg wie za czem... Powiedz: gdzie cię mara nosiła?

Chłopak stał zmięszany, z nogi na nogę przestępując, jakby dla dodania sobie kontenansu.

— No!... Gdzieś był? Mów!

— Proszę wielmożnego pana — wykształcił wreszcie, szukając czegoś po kieszeniach — proszę pana... nożyk.

— Co? co to znaczy, nożyk?

— Ta nic! proszę pana, kupiłem nożyk za dwa złote. Tak było: Mikołaj posłał mnie rano do Abramka rozmieniać rubla. Idę, a koło bramy stoi p o d w o d a z Rajpola, ten chłop co z Fiksem przyjechał...

— Z Fiksem! — zawołał nagle panicz, siadając na łóżku. — Z Fiksem! Czemuż mi ośle nie mówisz, że był Fiks?

— Ta on jeszcze jest. My jemu powiedzieli, że wielmożny pan spi, a on powiedział, że to nic nie szkodzi, bo on poczeka aż pan wstanie... Siedzi sobie w kredensie; Mikołaj dał mu herbaty; nabrał sobie cukru, jak jaki pan... aż trzy kawałki i popija... Pytał się Mikołaja: co u nas słychać, wiele kóp pszenicy nażęli?

Gdy to mówił chłopak, na wyrazistej i ruchliwej twarzy pana Władysława odbijały się na przemiany — to niepokój — to gniew — to znudzenie. Nagle przerwał Jurkową relację gestem nakazującym mu zbliżenie się do łóżka.

— Słuchaj! Idź do kredensu i powiedz Fiksowi, że nie może się dziś ze mną widzieć, bo... bo... jestem bardzo chory, mam gorączkę; jak wyzdrowieję, to mu dam znać kiedy ma przyjechać... Tylko nie śmiej się ośle.

— Nie! nie! — i chłopak jak strzała wybiegł z pokoju. W tej samej chwili rozległ się z przed ganku brzęk dzwonka; młody człowiek skrzywił się niemiłosiernie; i szepnął przez zęby. — Masz wszystko na raz! Pewno s t a n o w y o podatki.

— Żorż! Żorż! — zawołał na chłopaka, którego kroki słychać było aż w trzecim już pokoju — Żorż!

Chłopak wrócił i stanął w drzwiach czekając nowych rozkazów.

— Żorż! popatrzno kto to przyjechał: jeżeli stanowy to powiedz, że jestem chory, że nie wstaję, że mam gorączkę, że mam tyfus.

Nim domówił tych słów, w drzwiach z poza Jurka ukazala się postać słusznego i dobrze zbudowanego, nawet trochę otyłego mężczyzny; przyjemną i inteligentną twarz okalała ciemna, trochę już siwiejąca broda; a w siwych rozumnych i poczciwych oczach igrał miły, figlarny uśmiech.

— Doktor! — zawołał Władysław pełnym radości głosem. — Doktor! Bóg cię mój drogi eskulapie, zsyła. Doprawdy! nie mogłeś nic mądrzejszego wymyśleć, jak do mnie dziś przyjechać.

— Co? może jesteś chory? Próżniaku! leniwcze! sybaryto! — mówił doktor usiłując słowom i twarzy nadać jak najwięcej wyrazu powagi i surowości, choć oczy śmiały się ciągły — pewno już doigrałeś się... Ha! zawsze ci przepowiadałem, że

te bachanalje smutno się skończą... No gadaj! Co ci jest?

— Cha! cha! cha!.. Do... do.. doktor jasnowidzący... pro... ro... rok... ha! ha! — śmiał się spazmatycznie Władysław.

— Czego się śmiejesz u licha? — przerwał niecierpliwie lekarz. — Grzech się z tego śmiać, to nie żarty... Powiedz: co ci brakuje?

— Pieniędzy, doktorku! tej podłej mamony, której ty masz zawsze po same uszy. Luby eskulapie! — mówił, śmiejąc się ciągle gospodarz. — Ale żart na stronę, posłuchaj zaraz ci wytłumaczę, dla czego się tak twoim dzisiejszym przyjazdem uradowałem. Widzisz, pożyczyłem przed jarmarkiem jarmolinieckim od tego przeklętego Dawida Fiksa z Rajpola tysiąc dwieście rubli na dwa miesiące, dziś termin i Juda przemierzła przyciągnęła się tu... Ja pszenicy nie sprzedałem, żniw nie skończyłem, grosza przy duszy nie mam, a ta bestja trędowata do oczu pcha mi się. Wiesz! pewno myśli, że uda mu się tak, jak przeszłego roku, zabrać moję pszenicę za pół darmo... Nie doczekanie!..

— Ślicznie! Ślicznie mój kochany, ale cóż ja tu mogę pomódz? — pytał zdziwionym głosem doktor

— Jakto? Co możesz pomódz? Ogromnie! niebotycznie!

— Przecież pszenicy od ciebie nie kupię?..

— Ba, jakbym ci ją za psie pieniądze sprzedał, to byś i pszenicę kupił, ale nie o to chodzi. Widzisz, tak rzeczy się maja: kazałem żydowi powiedzieć, że jestem chory, a tu jak na to nadjeżdża doktor i doskonale się składa. Powiedz mu mój kochany eskulapeczku, że mam jakąś straszną cho-

robę, dżumę, cholerę, co chcesz zresztą; powiedz mu, że będę chorował trzy tygodnie, że trzeba strzedz się, trzeba mój dom z daleka omijać, bo można zarazić się... Żyd dyrnie, ja tymczasem skończę żniwa, namłócę kilka wagonów pszenicy, sprzedam je zarzeckim młynarzom i oddam Judzie jego pieniądze... Rozumiesz?

W ciągu całego tego finansowo-dyplomatycznego wykładu doktor tłumił śmiech, wreszcie wyciągnąwszy chustkę z kieszeni i zatknął nią sobie usta.. Nic to jednak nie pomogło, śmiał się ciągle oczami, nosem; wszystkie mięśnie trzęsły mu się od śmiechu, resztki włosów na łysej czaszce poruszały się w takt śmiechu.

— Żorż! — zawołał wreszcie odejmując chustkę od ust. — Daj mi szklankę wody.

Wypił podaną szklankę i od razu się uspokoił.

— Wiesz Władek, że nie przypuszczałem, ażebyś był tak sprytny — szepnął do gospodarza. — Dobrze! zrobię ci to, projekt mi się podoba.

Powiedziawszy to wyszedł do drugiego pokoju.

Żyd, który dotychczas siedział spokojnie w kredensie i popijał trzecią już szklankę herbaty, usłyszawszy hałas w domu i dowiedziawszy się o przyjeździe głośnego w okolicy lekarza, zostawił herbatę i wiedziony ciekawością podszedł do drzwi jadalnego pokoju i zielone oczy zapuścił przez szparę w drzwiach w głąb pokoju. Doktor zmarszczywszy czoło, chodził z zafrasowaną miną na około okrągłego stołu. Gdy ujrzał szpiczastą twarz i rudą brodę żyda w drzwiach, zatrzymał się nagle i zaczął mu się przypatrywać, niby zdziwiony wielce jego tu obecnością. Po chwili wreszcie zawołał wybornie udając przestrach:

— Kto to? kto to? Panie Fiks, to pan? Co pan tu robisz?

— Co? Nu nic, ja tak sobie — odparł żyd z niekłamanem zdziwieniem spoglądając na doktora. - Ja tak sobie do jaśnie pana Kierbicza po interesie przyjechał. — Tu robiąc konfidencjonalną minę szepnął zupełnie cicho. — Nu, on się już obudził, czy jeszcze nie? Ja bym się chciał koniecznie z nim zobaczyć.

Doktor stanął jak wryty i potęgując jeszcze bardziej wyraz zdziwienia zapytał:

— Co? A to nie może być. Czy byś pan miał w rzeczy samej tyle odwagi?

— Ja nie wiem na co tu takie odwagę, niby ja pana Władysława nie znam, on jest dobry człowiek choć czasem krzyknie, ale on człowieka na osobie nie skrzywdzi... On *fein, fein purec*!

— Ależ człowieku! to ty chyba nic wiesz co tu się dzieje? nic ci służba nie powiedziała?... Pan Władysław chory, bardzo chory... widzieć się z nikim nie może!

— Słaby? — jęknął żyd — słaby? Co jemu jest? *Aj gewalt!* Czy on bardzo słaby? Panie konsyljarzu, czy on bardzo słaby! Co jemu jest?

Doktor przybrał bardzo poważną i smutną minę i podnosząc oczy w górę ze śmieszną emfazą wygłosił:

— Panie Fiks, stało się wielkie nieszczęście, pan Władysław zachorował na... tyfus plamisty. Ma już czterdzieści stopni gorączki.

— *Wus?* co pan konsyljarz mówi? — krzyknął żyd, odskakując na pięć kroków od drzwi. — *Wus? a plamiste tifus, a fercyg gradus* gorączki.. Mikołaju!... Mikołaju! za dla czego wy mnie nie gadali, co wasz pan taki słaby?

Mikołaj, wycierający filiżanki przeznaczone do herbaty, podniósł oczy na żyda, ale znać przyzwyczajony do różnych figli swego pana, odpowiedział:

— Co? Może mam każdemu parchowi gadać, co się u nas dzieje? Zachorował pan wczoraj wieczór, to daliśmy znać do doktora. Fiks przyjechał, napierał się herbaty, tom mu ją dał, niech się napije. Co jemu do pańskiej choroby?

— Co? Jakto co do pańskiej choroby? Ja mam różne *dieła* [1]) z twoim panem *a wechsel geszefte*

Stary lokaj na te słowa wyprostował się i popatrzył na żyda tak, że ten odrazu zamilkł.

— Niech Fiks nie krzyczy — mówił powoli — niech Fiks się nie zapomina, niech do mnie „ty“ nie mówi, bo mnie sam pan mówi „Mikołaju“... A jeżeli Fiks chce z panem się zobaczyć, to proszę pójść do sypialnego pokoju...

— Do sypialnego pokoju... — szepnął skonfundowany i coraz bardziej przestraszony żyd. — Ni! Ja sobie pojedzie... Ni! Ja do... takie chorobe nie pójde. Panie Mikołaju, pilnujcie tu swego pana, aby on koniecznie z tego wyszedł, coby się tu nie stało wielkie nieszczęście. Niech pan Mikołaj jego dogląda; Fiks już wi, jak mu będzie podziękować Jak on będzie zdrów, to prosze mnie *naroczným* [2]) dać znać. A teraz bądźcie zdrowe, panie Mikołaju! Adie!...

Doktor stojąc w drzwiach jadalnego pokoju, milcząc i uśmiechając się pod wąsem, przysłuchiwał się tej rozmowie. Kiedy żyd znalazłszy kaszkiet zabierał się do wyjścia, zawołał jeszcze za nim:

---

[1]) Sprawy. [2]) Umyślnym.

— Panie Fiks! Jak pan do Rajpola powrócisz, zajedź nasamprzód do apteki i każ się skropić karbolowym kwasem. Tyfus plamisty jest bardzo zaraźliwy, boję się bardzo, żebyś się pan tu nie zaraził sam, a i w domu mogą się od pana żona i dzieci ponabawiać tej choroby.

Żyd tylko jęknął żałośnie i w kilku susach był już na dziedzińcu. Doktór i gospodarz, który tego tylko czekał, siedząc w sypialnym pokoju, stanęli teraz w oknie i śmiejąc się wesoło, patrzyli jak szanowny pan Fiks pędził galopem, nie oglądając się, przez dziedziniec do bramy, gdzie oczekiwał go wspaniały ekwipaż, złożony z jednego ślepego, drugiego kulawego konia i starej bryczki, darowanej mu w hojnym upominku przez Władysława.

— Doktorze! doktoreczku! Powinienbym cię ozłocić. Figiel udał się nam znakomicie..

Tu, jakby przypominając coś sobie, zawołał nagle:

— Hej! Mikołaj, dawaj-no herbatę — a zwracając się do gościa, mówił dalej: — Ależ to ze mnie także znakomity gospodarz, urządzam ci hecę z żydem, wyprawiam babilońskie awantury, a ty tymczasem musisz być głodny, jak Tantalus.... Gdzież to nocowałeś? Skąd jedziesz, doktorze?

— Z Browarki — odpowiedział gość, poważniejąc nagle — umyślnie do ciebie wstąpiłem, bo mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.

— Doskonale! wybornie! Tylko nie rób takiej obmokłej miny, jakbyś mi miał śmierć jaką zwiastować — i biorąc doktora za obie ręce, pociągnął go do stołu, na którym już stała świeżo nalana herbata i zimne przekąski. — Siadaj, jedz, pij i rozpowiadaj o wesołych rzeczach.

Doktor usiadł i z wielkiem namaszczeniem zabrał się do pulardy na zimno, i tak go to zajęcie zabsorbowało, że przez kilka minut ani słowa nie mówił.

— Nie pakuj tak bez przestanku doktorku, to nie zdrowo — przemówił młody gospodarz, z przyjemnością patrząc na apetyt gościa — przerwij lepiej na chwilę to jedzenie i mów, coś tam nowego w zacnej Browarce usłyszał? Czy jaśnie wielmożny pan Wędzolski w domu?

— W domu — odpowiedział gość, odsuwając kość ze świeżo zjedzonego skrzydełka — w domu, ale powiedz ty mi, dla czego nigdzie mi tak nie smakuje, jak u ciebie, ten twój Stanisław, to niezaprzeczenie nieoceniony kucharz.

— Wiesz, żeś prawdziwie miły — przerwał mu Władysław — wychodzisz już zupełnie na starego kawalera... podniebienie u ciebie to grunt... Mów, coś u Wędzolskiego słyszał?

— Eh! długa historja! A nawet nie wiem, czy ci to mówić, mogą z tego jakieś awantury wyniknąć, a potem powiedzą: — doktor plotki wozi!... Lepiej zatrzymam to przy sobie... ot, zwyczajnie parweniuszowskie brudy.

— Paradny jesteś, mój kochany! — zawołał zirytowany gospodarz i mówił dalej, naśladując głos doktora — a potem powiedzą... doktor plotki wozi!... I niby ty się tego boisz? Niby to już i tak nie krzyczą całe trzy gubernje, od nie wiem wielu lat: nie ma większego plotkarza, jak doktor Kocowski! Ale ty najlepiej na tem wychodzisz, bo baby, zawsze na plotki łase, na koniec świata cię sprowadzają... No, mówże raz! Mnie przecież możesz powiedzieć.

— Kiedy bo widzisz... delikatna sprawa — plątał doktor — ale jeżeli już koniecznie chcesz, to ci powiem, ale musisz mi dać słowo, że nie będziesz tego powtarzać i nie zrobisz z tego użytku.

— Jużeś pewno coś zełgał, kiedy tak się zabezpieczasz. Gadaj, komu chcesz, ja już nie ciekawy na takie tajemnice.

— Ale słowo ci daję... No, zresztą powiem ci i bez słowa. Wyobraź sobie, w Browarce dał mi do przeczytania ten Wędzolski paszkwil... szkaradny paszkwil... wierszydła jakieś na... No, zgadnij na kogo?

— Wiesz, że nie umiem zgadywać rebusów — wycedził przez zaciśnięte zęby Władysław, a w oczach błysnęła mu iskra gniewu. — Wygadaj-że raz — na kogo?

— Widzę, że się domyślasz... Na pannę Jadwigę!

Na te słowa Władysław zerwał się jak szalony, filiżanką pełną herbaty cisnął o ziemię tak, że się rozleciała na tysiące kawałków, a herbata obryzgała świeże, jasne ubranie doktora; nie zwrócił jednak na to uwagi, tylko zaczął biegać na około stołu, a gniew taki w nim wezbrał, że kilka chwil słowa nie mógł przemówić, i dopiero po dobrej minucie wybełkotał zdławionym głosem:

— Dureń! Nie, nie dureń... podlec, łotr, kanalja, bestya!... Ja mu... ja mu, gałganowi, uszy obetnę... Nie! takiemu łajdakowi nie obcina się uszu... Każę go obatożyć! Słuchaj, doktorze! — zapytał, stając nagle przed zakłopotanym gościem. — Co on tam nabazgrał? Czy masz ten paszkwil? Czy wiesz, że on to sam napisał?

Pod tą kaskadą pytań doktor ani drgnął, z najzimniejszą krwią pił herbatę i palił papie-

rosa, dopiero gdy gospodarz skończył, rzekł z flegmą:

— Uważam, że będziesz musiał z przyszłą wiosną do jakiegoś hydropatycznego zakładu pojechać... Nerwy masz strasznie rozstrojone; widzisz, to zawsze są takie następstwa podobnego życia, jakie wy wszyscy prowadzicie... Zimna woda! zimna woda!

— Wypchaj się sam zimną wodą! Morały doktorskie zostaw dla moich kuzynek, którym w głowie przewracasz swą medycyną.. Powiedz mi coś bliższego o tym paszkwilu... No, mów, bo nie wytrzymam!

— Uspokój się, nie zarzucaj mnie tysiącem pytań — mówił spokojnie doktor, popijając herbatę — to ci wszystko opowiem.

— Słucham cię! Zimna, zgalareciała, kliniczna rybo! — zawołał młody człowiek, siadając obok.

— Więc było tak: wczoraj po południu wezwali mię do tej Sobolskiej w Latawie, żony kasjera przy fabryce cukru; baba zawsze sobie coś napyta, na odpust się powlekła i dostała pokarmowej gorączki.

— Mój drogi, cóż mnie może obchodzić gorączka pani Sobolskiej.

— Cicho warjacie! To bardzo ładna kobieta, ale mniejsza z tem! Zabawiłem tam do ósmej wieczorem. Wyjeżdżam i spotykam się w kołowrocie z Wędzolskim.., Pi! pi! pi! Jechał powiadam ci wspaniałym powozem, cztery konie w leje, cho mąty .. aż blask od nich bił, lokaj, furman w liberji grandioso Mój Semań wziął na bok, myślał, że hrabia Sępiński jedzie. Mijamy się, patrzę, a to pan Wędzolski, kłaniam mu się z rewerencją... a on krzyczy: how! stój! Stanęliśmy więc obaj.. I ga-

węda... A skąd? a dokąd? gadu, gadu, dość, że zaprosił mię do Browarki na kolację, no i na nocleg.

Ależ paszkwil, paszkwil, doktorze! Ty mnie dziś zamęczysz! — wołał Władysław.

— Już zaraz będzie. Cierpliwości! Po pół godzinie rozmowy opowiada mi, że dostał anonimowy list, w którym były wiersze... Dał mi te wiersze do przeczytania..

— Cóż w nich?

— E! Głupstwo i... szkarada! Zwykła paplanina. Opisuje pannę bez posagu, która umiała osidlić bogatą krewnę, marszałkową, a obecnie kokietuje jej syna i pragnie się za niego wydać, a mimochodem bałamuci i innych. Zdaje mi się, że ramotę tę spłodził albo sam Wędzolski, albo jego siostrunia, bo błędów ortograficznych bez liku i same takie ich familijne.. Wyobraź sobie, że ja z praktyki znam ortografję wielu rodzin podolskich i mógłbym o tym przedmiocie napisać wyczerpujące gramatyczno-heraldyczne dzieło... A wiesz, że jest i o tobie wzmianka?

— Cóż ta małpa mogła o mnie napisać?

— Zaraz... zaraz... niech sobie przypomnę... Aha... prawda! Powiada, że ciebie i pana Walerjana Zienwicza panna ta używa na straszaka, ażeby skłonić Józia marszałkowicza do oświadczyn etc. etc.

— Dam ja mu straszaka! Czekaj, czekaj, aż mu bronzy przy chomątach ze strachu pordzewiewieją... Ależ zuchwała bestja! Mówisz, że i Zienwicza zaczepił! Okrutnie dmie w te swoje krocie... Co z takim kpem robić? Czy bić się z nim? czy nie? Licho jego wie! Muszę się z Karolkiem i Jasiem poradzic... A tu w dodatku grosza przy

duszy nie mam.. Doktor! pożycz mi ze sto pięćdziesiąt rublonów... Oddam ci za miesiąc — tu przystąpił młody człowiek bliżej do gościa i klepiąc go poufale po ramieniu mówił żartobliwym tonem: — No! Nie bądź.. wiesz tem, co marchew ryje.. Pożycz! Słowo ci daję, że najdalej za miesiąc oddam...

— Wiesz dobrze, że nie mogę tego zrobić! Świetnie bym wyszedł, gdybym wam wszystkim zaczął pożyczać, — przerwał mu doktor, który nagle spoważniał bardzo. — Jeżelibym dał tobie, to musiałbym dawać i hrabiemu Karolowi i Jasiowi... i Ignasiowi Ursyńskiemu i całej waszej szajce.. Nie głupim! Jeżeli potrzebujesz pieniędzy, to sprzedaj mi karą klacz, wiesz tę, co mi się tak była ostatnim razem podobała.

— No, pal cię sześć! — zawołał, machnąwszy ręką gospodarz. — Ładna kobyła, ale do moich za mała, darmo obrok je.. Co mi dasz za nią? Ja dałem Ignasiowi dwieście pięćdziesiąt blatów.

— Hidropatja! hidropatja koniecznie ci potrzebna.. Dwieście pięćdziesiąt!.... może trzysta?... Ot wiesz, jeżeli weźmiesz sto pięćdziesiąt, to zgoda. Zapłacę zaraz i kobyłę przypnę do wózka.

— Eskulapie, jesteś korsarz, ale nie ma co robić, pieniędzy gwałtem potrzebuję; słowo się rzekło, kobyłka u płotu! Rachuj mamonę!...

— Słuchaj Władek! — zapytał doktor zaniepokojonym głosem — czy nie oślepła ona czasem? Możeby zobaczyć?

— A co? sam się dziwisz, żeś potrafił tak mnie okpić. Nie, kobyle nic nie brakuje, jeżeli nie wierzysz, to zobacz.

— Nie! nie! Wierzę ci zupełnie, tylko myślałem, żeś żartował, bo u ciebie zawsze pełno figlów w głowie. — No, bierz pieniądze—mówił dalej, wyciągając pulares i wydobywając zeń banknoty — masz tu: jedna *kateryna* *), to sto, dalej dwadzieścia pięć nowe, białe, dziesięć, dziesięć i pięć... Chowaj utracjuszu! Oh! na długo ci tego wystarczy...

— Hola, Eskulapie, nie chowaj jeszcze tego wspaniałego tłumoka.. musisz dać trzy blaty dla chłopców stajennych.

— Jakto! Aż trzy ruble dla chłopców?! Po co? Żeby się rozpijali. Na, masz rubla, nigdy więcej oduzdnego nie daję... nawet w Balinie.

— Jak chcesz... Jeżeli nie dasz, to możesz zabrać sobie pieniądze, a kobyła zostanie w stajni.

— No, to dam dwa... Słowo daję, nie mam drobnych.

— Zmieniam ci.

— A to utrapienie! Masz tu wreszcie trzy ruble, ale słowo ci daję, że to demoralizacja!...

Pan Władysław zmiął w garści sto pięćdziesiąt rubli i schował je do kieszeni od kamizelki, a zostawiwszy w ręku trzyrublowy papierek, zawołał:

— Hej, Żorż! Chodź-no tu. Na, masz trzy ruble; daj Hryniowi oduzdnego od pana doktora i powiedz mu, żeby wydał „Wydrę“ Semaniowi doktorskiemu, tylko niech zdejmie rzemienną uździenicę, a weźmie od Wicka nową parcianną i założy na klacz... Pamiętaj!

Po półgodzinnej jeszcze rozmowie, podczas której doktor miał czas opowiedzieć młodemu go-

---

*) Banknot sturublowy.

spodarzowi wszystko, co się stało w ciągu ostatniego miesiąca na obszarze pięciu sąsiednich powiatów, po wielu śmiechach i żartach, pożegnał się wreszcie i pojechał.

„Wydra,“ upięta z tyłu, biegła za wózkiem; w bramie jeszcze raz obejrzała się żałośnie na stajnię i zarżała smutnym, przeciągłym głosem.

— Ten eskulap zawsze mię okpi — pomyślał pan Władysław, lecz machnął po chwili lekceważąco ręką i zakonkludował: — Mniejsza z tem, dobrze, żem się Fiksa pozbył i bez ambarasu sto pięćdziesiąt mammoników zdobył. Teraz trzeba się zastanowić: co z tym Wędzolskim zrobić? Trzeba koniecznie dziś Karolka i Jasia sprowadzić... I zaczął chodzić dużymi krokami po pokoju, zamyślony bardzo.

II.

Po jakich dziesięciu minutach uporczywego chodzenia w kółko po pokoju, pan Władysław stanął nagle i wymówił głośno:

— Nie! Sam nie wymyślę, trzeba napisać do Karolka, niech dziś przyjedzie.

Za chwilę siedział już przed sekretarzykiem i na ćwiartce welinowego papieru pisał następujące słowa:

„Kochany Don Carlosie!

„Przyjedź koniecznie dziś w nocy. Mam Ci coś bardzo ważnego do powiedzenia. Czekam Cię z kolacją. Indyk faszerowany truflami, lody ananasowe i owoce, do tego szampańskie mrożone etc. Wszystko to czeka na Ciebie, jak zwykle o jedenastej... Przyjedź koniecznie, bo jestem wściekły i boję się, bym nie palnął jakiego głupstwa...

Do widzenia.

Twój Władysław“.

„*P. S.* Cała nasza głupia okolica nic nie robi, tylko strzępi sobie języki, opowiadając dziwy o naszych nocnych zjazdach, o klubie nietoperzy, o orgjach heljogabalowych etc. etc. Doktor mi dziś opowiadał“.

List złożył bardzo systematycznie, włożył do koperty i na niej napisał: JWPanu Karolowi hr. Wareckiemu, w Warowcach.

— Żorż! — wnet potem rozległ się głos pana Władysława, a w ślad za nim zjawił się w pokoju posiadacz strzeleckiego kostjumu, zajęty obecnie struganiem leszczynowego patyka.

Pan popatrzył nań zgorszonem okiem i zawołał:

— Rzuć mi zaraz tę struganinę! Utrapienie z tym chłopczyskiem, tylko dom zaśmieca.

Chłopak stał jak wkopany, nożyk schował do kieszeni, a kij trzymał za plecami, łajania pańskiego słuchał z wielką determinacją i zimną krwią, przywykł był znać do niego; skończyło się też wkrótce.

— Słuchaj Żorż! — mówił dalej spokojnie już Władysław — osiodłaj sobie „Kasztelana“ i jedź wolno do Warowiec, tam zajedź do księdza, zostaw na probostwie konia, a sam staraj się koniecznie zobaczyć z młodym hrabią i oddaj mu ten list... Tylko pamiętaj, do rąk własnych...

— Już ja wiem! — zawołał chłopak. — Już ja wiem! Mnie nie pierwszy raz, tak trzeba zrobić, żeby stary hrabia i pani hrabina nie zobaczyli... Mnie już nie pierwszy raz!... A samej hrabiny, to ja się tak boję, co aż strach... Taka straszna w tej czarnej sukni, jak jaka *monaszka* *)... a jak oczy wytrzeszczy...

— No! milcz, dość tego gadania — przerwał Władysław chłopcu. — Naucz się raz tego, że porządny służący powinien tylko słuchać i nic sam nie gadać, tylko odpowiadać na pytania...

*) Zakonnica.

— Słucham! — odrzekł skonfundowany Żorż, dla którego szczytem marzeń było zostać raz wreszcie „porządnym służącym“ i wyszedł do stajni.

— Czekaj-no jeszcze! — zawołał za nim pan — wstąp do kuchni i powiedz, żeby mi tu Stanisław zaraz przyszedł... Rozumiesz?

— Rozumiem! — bąknął chłopak, który na głos pana zatrzymał się był na chwilę, a teraz znowu ruszył jak strzała.

— Tylko jedź stępo, konia nie zmęcz — rzucił jeszcze za nim jako przestrogę Władysław, ale słów tych nie musiał już Jurko dosłyszeć, rad, że się wyrwie z domu i zamiast pomagać Mikołajowi w kredensie, pohula sobie w polu, na dobrym koniu.

W pięć minut później Władysław usłyszał w kredensie dobrze znane mu chrząkanie i szurowanie nogami; nikt tego tak artystycznie nie umiał wykonać, jak stary kucharz Stanisław. Chrząkanie to Stanisława było przedmiotem zazdrości Mikołaja, który — choćby się nigdy nie był do tego przyznał — napróżno starał się starego w tym kunszcie naśladować.

Stary kucharz był pierwszą powagą w całym dworze w Opolu; wychował się tu przy dworze i z wielką dumą opowiadał, że tylko dwa razy w życiu na dłużej dwór ten opuszczał: raz, kiedy jako czternastoletni chłopak był na nauce przez trzy lata w Makowie przy starym kuchmistrzu u panów Raciborowskich, a drugi raz, kiedy z nieboszczką panią jeździł na winogradową kurację do Kamionki.

— Więcej nie nosiło mię po świecie — mawiał stary, wznosząc dumnie głowę i spoglądając na

otaczających takim samym tryumfalnym wzrokiem, jak np. wielki podróżnik, który odbył trzy podróże naokoło świata.

W oczach Stanisława siedzenie i gotowanie w Opolu było równie zaszczytnem dziełem, jak dla podróżnika zwiedzanie mało znanych krajów.

W całym dworze wzbudzał on ogromny szacunek, wszyscy młodzi bali go się jak ognia, a nawet sam Mikołaj tracił przed nim kontenans i opuszczała go zwykła u niego powaga; truchlał, żeby stary Stanisław nie zaaplikował mu kiedyś przy ludziach tego, co mawiał przed nieboszczką panią:

— Hm! hm! Mikółka niczego chłopak... uczciwy, pracowity, ale zawsze to z chłopów, z poddanych...

Sam nawet pan Władysław, choć dość ostry dla wszystkich sług. miał jakąś rewerencją dla starego; co więcej, Stanisław nietylko że pozwalał sobie czasem nazywać go paniczem, ale nawet dochodził do takiej zuchwałości, że robił mu uwagi o jego postępowaniu i gderał na dobre... Zżymał się później młody pan, gniewał, obiecywał sobie wyprawić starego na łaskawy chleb, ale nigdy nie zdobył się na energję ufuknięcia Stanisława.

Teraz usłyszawszy chrząkanie w kredensie, skrzywił się trochę i z pewną nieśmiałością odezwał się do wchodzącego staruszka:

— Mój Stanisławie, proszę postarać się dziś koniecznie o dobrą kolację. Będę miał gości: hrabia Karol i może pan Jaś z Mądrówki przyjadą.

— Wedle woli wielmożnego pana — odrzekł staruszek, kłaniając się kilkakrotnie — wedle woli i fantazji... A na którą godzinę mam przygotować — na siódmą? na ósmą? czy aż na dziewiątą?

Władysław skrzywił się jeszcze bardziej, a twarz jego zdradzała niecierpliwość.

— Czyż Stanisławowi trzeba powtarzać po sto razy, że zawsze, wiele razy hrabia przyjeżdża, to kolacja nie może być przed pół do dwunastej?...

— Dziwności! dziwności niemieckie czy francuskie — zaczął stary mówić monotonnym głosem, kiwając przy tem smutnie głową. — Czterdzieści i trzy lata jak mię w Makowie wyzwolili na kucharza, od tego czasu nagotowałem się dość różnych kolacyj i za nieboszczyka pana prezesa... dziadunia, i za naszego już pana, świeć Panie nad jego duszą, i później za nieboszczki pani, ale zawsze bywało na ósmą, na dziewiątą... aż teraz panicz zaprowadził tę nową modę na dwunastą... Dalibóg, ludzie się z nas śmieją! Ot, i w niedzielę spotykam się w mieście ze starym Anastazym...

— Niech mi tam Stanisław nie zawraca głowę starym Anastazym! — zawołał zirytowanym głosem młody pan. — Proszę lepiej powiedzieć: co może być na kolację? W sobotę przysłali trufle, czy Stanisław odebrał?

— A odebrałem, ale to na taką okazyjkę szkoda marnować.

Mówiąc to, stary zrobił tak nieszczęśliwą i zrozpaczoną minę, że Władysław mimowolnie parsknął śmiechem, i po chwili dopiero, starając się ukryć swawolny uśmiech, zaczął mówić napozór bardzo serjo.

— Dla czego Stanisław mówi., że szkoda marnować trufli na taką okazję? Przecież pan Karol to nasz krewny, stary hrabia to przecież cioteczny brat nieboszczyka mego ojca.

— Ta, tak jest... tylko proszę wielmożnego panicza... pan jest jeszcze bardzo młody i nic się na polityczności nie rozumie... Nie mówię tego, żeby u nas i za dawnych czasów nie dawano trufli... O! przeciwnie — ujadali panowie ten specjał... ujadali. Na przykład, nie przymierzając, nieboszczyk pan major Bońkowski, wuj naszej pani, to jadł ich z przeproszeniem tyle, jakby jaka.. Et! aż gadać wstyd... Ale zawsze, jak się to dawało, to ze względu na kalendarz.

— Jakto, mój Stanisławie? Ze względu na kalendarz... Niech mi Stanisław wytłumaczy, co właściwie ma tu znaczyć — ten kalendarz.

Młody pan lubił bardzo starego sługę, który całe swe życie w jego rodzinie przesłużył i choć czasem nudziło go i niecierpliwiło gderanie Stanisława, to znowu innym razem wprowadzało go w dobry humor i umyślnie wyciągał go na prawienie morałów, a później, ugarnirowawszy jeszcze, opowiadał je swym przyjaciołom. Stary nigdy nie mógł się połapać, że panicz żarty sobie zeń robi, i korzystając z pozwolenia, zapędzał się czasami za daleko.

— Co znaczy kalendarz? — odpowiedział, przybierając najpoważniejszą minę.—Niby to wielmożny pan sam nie wie?.. Przecież z kalendarza to się można dowiedzieć, kiedy jakie święta, albo imieniny... Imieniny! Pańskie imieniny, to wielkie słowo!... Otóż z kalendarza bywało za dawnych państwa, daj im Boże Wszechmogący światłość niebieską, dowiadywaliśmy się, kiedy u nas mają być to święta jakieś uroczyste, to imieniny, to jakieś rocznice.. i wtenczas... nie mówię.. wtenczas bywały i trufle i indyki i lody i inne doskonałości, ale żeby tak ni z tego ni z owego

na prosty wtorek dawać trufle.. Nie! tego nigdy nie bywało i to jest źle, bardzo nie dobrze.

— A mimo to, mój Stanisławie, zrobisz nam dziś na dwunastą indyka z truflami i lody.

— In...dy..ka! — zawołał stary przestraszonym głosem, wymawiając każdą sylabę z osobna — indyka.. a zkąd ja go wezmę?

— Przecież chodzą po dziedzińcu. Popatrz! — tu wskazał staremu przez okno kilkanaście indyków..

— Et! Co mi wielmożny pan głowę zakręca... taki indyk, a podeszwa z ostrym sosem, to jednaki specjał... Przecież indyk musi skruszeć. Jakbym go dziś zarznął i zaraz upiekł, to by pan hrabia wnet się spytał: Mój kochany Stanisławie, a gdzieście zastrzelili tę wronę?.. Nie! ja tego nie zrobię.

— A cóż dasz na kolację?.

— Co? co dam! Znajdę ja i bez indyka co dać, przecież dwór, to nie ekonomska chałupa, żeby nie było co dać zjeść dla dwóch paniczów... Mamy przecież trzy kuropatwy, które sam wielmożny pan w sobotę zastrzelił, dam je na pieczyste, ze słoninką ładnie upiekę, będzie dobrze..

— No, a przed tem dasz odgotowane trufle na gorąco do masła...

— Wielmożny panie, czy to już koniecznie te trufle, gdzież tak na powszedni dzień?

— Koniecznie! koniecznie! I tak by się popsuły, bo ja jutro wyjadę na cały tydzień.

— Niech się już dzieje wola paniczowa, niech będą trufle.

— Poczekaj! — zawołał Władysław — więc mamy.. na pierwsze danie trufle, na drugie ku-

ropatwy pieczone.. a na trzecie zrób lody ananasowe.

— Przysięgam Bogu, że nie zrobię! — jęknął stary. — Jeszcze czego? Lody ananasowe. O co to — to nie! Za nic w świecie! Obraza boska!.. Śmiech ludziom powiedzieć! Nie! nie! nie! Lodów nie będzie.

Władysław aż dusił się od wewnętrznego śmiechu, mimo to nie wybuchnął, lecz przeciwnie przybierając najpoważniejszą minę, rzekł do starego:

— Wszystko to bardzo ładnie, ale niech Stanisław nie zapomina, co nieboszczyk pan major, wuj mojej matki, mawiał, że kolacja bez leguminy to tak jak lis bez ogona, a przecież on się znał na kuchni i wiedział co mówi.

Zafrasował się stary po tych słowach; zamilkł na chwilę i smutnie kiwał głową.

— Cóż Stanisław się tak zadumał? Prawda, że ja mam zawsze rację?

— To prawda, że pan major to mówił, ale to inne czasy były.. Ale niech się już dziś dzieje wola wielmożnego pana, zrobię lody.. tylko nie ananasowe, bo to by był śmiertelny grzech i obraza boska.. Mamy miesięczne poziomki, to zrobię poziomkowe i koniec.. Choć niech mi wielmożny pan wierzy, że z tego wszystkiego nic dobrego nie wyjdzie... Ale co mnie słudze dawać panu nauki, z tem wszystkiem zobaczy wielmożny pan, że z tego nie będzie nic dobrego.

— Z czego? z czego mój Stanisławie? — zapytał Władysław łagodnym, zachęcającym do odpowiedzi głosem. — Z lodów?

— Eh! ze wszystkiego — zrzędził, wpadając w zapał, stary. — Pewno, że ja nie będę mówił,

żebyśmy mieli być gorsi, niż pan hrabia Karol. Nie gorsi my, a kto wie czy nie lepsi, tak po familji sądząc... Pan prezes, jakby był zechciał, to także mógł nie raz, a sto razy hrabią zostać, ale nie chciał, bo mówił, że to wstyd dla porządnego pana.. Tylko teraz z innej przyczyny nam nie można tak szumieć jak panu Karolowi... Jabym powiedział, ale wielmożny pan znowu będzie się gniewał na starego Stanisława i znowu wielmożny pan nagada mi subjekcji, to już wolę milczeć.

— Wygadaj się już raz stary! Wygadaj! — nalegał Władysław filuternie uśmiechając się pod wąsem. — Wiem, że do zdrowia potrzeba ci wygderać się należycie.

— Ta co tu długo gadać! — zawołał, zbierając się na energję, starowina. — Już jak wielmożny pan pozwala — to powiem tak... prosto z mostu... Pan Karol, choć dużo rozrzuca pieniędzy, to jemu to nie zaszkodzi, bo na niego aż sześć wsi czeka, a stary hrabia i sama hrabina skąpią jak żydzi. A u nas co? — Jedno to Opole zostało i na nim już jest różności, i banki i nie banki, i Fiksy i Grünbergi i Gitle... Boże odpuść, a jak to stracimy — to co będzie?

Przy tych słowach konfidencjonalnego sługi, twarz młodego pana na Opolu pokryła się raptownie chmurą troski, uśmiech znikł ze świeżej wesołej twarzy, ustępując miejsca tęsknej zadumie.

— Pewnie że nam pan hrabia nie odpuści jednej ze swoich wsi... Oh! co nie, to nie!.. Boże! Boże! — ciągnął dalej stary, a w głosie jego czuć się dawał smutek prawdziwy i łzy miał w oczach. — Z takich dostatków, z pałaców, z oran-

żarni, przez trzydzieści lat doszliśmy do takiego dworku na Opolu.... Nie paniczowa to wina. Nie! Ja tego nie mówię, ale zawsze aż stygnę, jak sobie pomyślę, że i tego może nie stać.... A wtenczas, co my biedni poczniemy?

Tu stary nie mógł już ukryć łez cisnących się do oczu, odwrócił się więc, obtarł łzy kułakiem i chwytając za rękę swego młodego pana, ucałował ją serdecznie i mówił dalej głosem, w którym dźwięczał płacz.

— Eh! Stary Stanisław zawsze musi głupstwo powiedzieć. Stary zgłupiał. Stary do niczego Niech mi panicz... wielmożny pan daruje, ale to tak z serca, a z gorącości człowiekowi przyjdzie czasem.. Ot, idę już, idę... a kolacyjkę przygotuję galart, aż hrabia będzie palce oblizywać..

Pan Władysław stał ciągle na tem samem miejscu smutny, zadumany, w ziemię wpatrzony. nie zauważył nawet ostatnich słów. Staremu znać żal się zrobiło „swego panicza“, bo nadrabiając miną, zaczął gawędzić dalej z udaną wesołością.

-- Nic jeszcze złego! Nic złego! Żeby nam Pan Bóg pozwolił ożenić się, w domu osiedzieć, dziateczek dochować — tu stary rzeczywiście uśmiechał się już zupełnie wesoło — to będziemy jeszcze statecznie panowali. i znowu do kalendarza nawrócimy. A jak wielmożny pan z obiadem rozkaże? — zapytał zmieniając ton i widząc, że wszystkich poprzednich jego słów pan nie słyszał, lub nie zwracał na nie uwagi.

— Z obiadem? — odparł machinalnie jakby budząc się się ze snu Władysław. — Z obiadem? A która to godzina Stanisławie?

— Trzy na dwunastą.

— Już! To nie może być..

— Tak! Pan dziś długo pozwolił sobie spać, później ten doktor.

— To zrób mi na piątą kawełek mięsa, duży befstik z jajem.

— I co więcej?

— Nic! To mi wystarczy, po mięsie, da mi Mikołaj konfitur. Nie rób nic więcej... Pamiętaj, stary, na piątą teraz pójdę do żniwa i może gdzie kuropatwę zastrzelę..

Stary ukłoniwszy się nizko wyszedł z pokoju, a za drzwiami szeptał sobie z cicha:

— Szkoda! szkoda! Złota dusza, choć do rany przyłóż, r y c h t y k nieboszczka nasza, ta i co z tego? Zniszczą go, rozciągną, rozliżą.... Pan z panów...

Pan Władysław zostawszy sam w pokoju, rzucił w koło siebie okiem i zawołał:

— Leda! Leduś! — Gdy jednak na głos ten nikt się nie odezwał, krzyknął jeszcze głośniej — Żorż! Żorż!...

Po chwili młoda, ładna dziewczyna z talerzem w jednej, a ze ścierką w drugiej ręce zjawiła się w drzwiach.

— A to ty, Kiłyno! — rzekł młody człowiek zbliżając się do uśmiechającej się zalotnie dziewczyny — gdzież ten Żorż znowu?

— *Ta pojihaw*! — odrzekła dziewczyna wybuchając nagle wesołym śmiechem i równocześnie zasłoniła pełne karminowe usta trzymaną w ręku ścierką. — Niby to pan nie wie, że on pojechał, z pańskim listem do Warowiec, do tego hi! hi! hi! pana grafa pojechał.. do tego co

to taki naprzykrzony. On pojechał, a Mikołaj mnie zawołał myć talerze...

Najwidoczniej rumiana, czarnooka i czarnobrewa Kiłyna miała wielką ochotę zamienić mycie talerzy na rozmowę z młodym dziedzicem, dziedzic jednak nie miał zupełnie chęci do pogawędki z Kiłyną, bo nie zwracając uwagi na jej zalotne uśmiechy i filuterne spojrzenia, zapytał krótko:

— Nie wiesz gdzie Leda? Czy znowu za Żorżem nie poleciała?

— Nie! *Sochrany Boże*'.. Jest na toku.. Tam żyto młócą, a ona myszy łapie... i Mikołaj tam z nią jest, gadają sobie z gumiennym. Czy pobiedz za nią? Zawołam ją do pana!

— Nie! Zostań i myj talerze, ja sam pójdę na tok.

Dziewczyna z dość kwaśną i skonfundowaną miną wróciła do kredensu. Władysław zaś wszedł do sypialnego pokoju, zdjął strzelbę z kołka, schował kilka ładunków do kieszeni i poświstując z cicha jakiegoś walca, poszedł na tok. Gdy zbliżał się do kilku zmłocków, młócących na klepisku świeżo zżęte żyto, zerwała się leżąca dotychczas na snopach i czatująca na myszy śliczna, filigranowych kształtów, biała angielska wyżlica i łasząc się i skomląc z radości podbiegła ku niemu, skacząc mu na piersi.

— Leduś! Leduś! Pójdź tu — wołał Władysław i pieścił suczynę, drżącą z radości. — Pfe Leduś! Żeby taka psia pani, taka hrabina zajadała się myszami... No! no! dość tych karesów, pójdziemy na polowanie... Waruj! Za nogą.

Na te słowa suka przestała skomleć i skakać, i poważnie poszła za swym panem.

Pan Władysław obejrzał namłócone ziarno, porozmawiał trochę z gumiennym, zapytał o coś zmłocków i przez bramę tokową wyszedł w pole. Szedł nie patrząc przed siebie; napróżno suka łasiła się i dokazywała; na darmo obiegała ogromne koła i w figlarnych podskokach pędziła wprost na niego, żeby tuż przed nim przypaść do ziemi; nie zajmowały go dziś jej psie figle — smutny był i zadumany.

Na łanie zastał ze stu pięćdziesięciu żeńców. Zacząwszy od początku, przeszedł całą linję. Ekonom, pan Kropielnicki, prowadząc za sobą podjezdka, szedł krok w krok za panem, znacząc swą energję i życzliwość ku chlebodawcy głośnem nawoływaniem, mającem pobudzać żeńców do robienia większych snopów.. Nie zrobił jednak dziś głos pana Kropielnickiego miłego wrażenia na Władysławie, bo raz i drugi popatrzył nań niechętnie, wreszcie pozbył się jego towarzystwa, odesławszy go na drugi koniec łanu. Młode kobiety i dziewczęta uśmiechały się zalotnie do przystojnego dziedzica; zagadnięte mimochodem starały się zawiązać dłuższą rozmowę; i to nie zdołało rozpogodzić zasępionej twarzy; przeszedł cały rząd, przy końcu dał jeszcze jakieś rozporządzenie dozorcy i świsnąwszy na sukę poszedł w stronę łanu zasianego burakami.

— *To wże pewno zakochanie!* — odezwała się najbardziej wygadana ze wszystkich żniwiarek, ale też srodze już zębem czasu szarpnięta Łucyna Hryńczukowa. — Ja zaraz po oczach poznam zakochanie.

Inne się z niej śmiały i twierdziły stanowczo, że jeżeli to i jest zakochanie, to na pewno pan nie w niej się zakochał.

Pan tymczasem szedł przed siebie, nie oglądając się nawet. Kroczył po buraczanych liściach, aż trzeszczały, łamiąc się pod stopami. Leda, zmarszczywszy trochę uszy i podniósłszy ogon, szła ostrożnie naprzód, węsząc na wszystkie strony i co chwila oglądała się za swym panem. Wreszcie stanęła na chwilę, spojrzała swemi rozumnemi oczami zupełnie tak, jakby chciała powiedzieć: no, uważaj! i cichutko, pełzając prawie, zaczęła się podkradać przed siebie. Władysław odciągnął kurki, twarz ożywiła mu się nagle, w oczach błysnęła jakaś jasna iskierka; szedł tak za suką, która w tej chwili stanęła i aż prawie przysiadła do ziemi

— Pif! Leduś — zawołał.

Suka jeszcze posunęła się naprzód — stadko złożone z ośmiu sztuk kuropatw porwało się z wielkim furkotem, padł strzał jeden i drugi, dym okrył strzelca — stadko jednak poleciało dalej bez wszelkiej szkody. Suka zaskomliła żałośnie i popędziła w stronę, gdzie zapadły kuropatwy i Władysław pociągnął za nią. Jednak spłoszone raz ptaki nie dały się już podejść na strzał, porywały się ciągle na daleką metę, tak, że myśliwy zniechęcony machnął ręką i odwołał sukę — do nogi!

W pogoni za zwierzyną zrobił Władysław dobre pół mili; teraz obejrzawszy się, ujrzał się na łące, stanowiącej najdalszy punkt opolskich gruntów; łąka skoszona w czerwcu, teraz w pierwszej połowie sierpnia pokryta już była bujną *otawą* *); przez środek łąki sączył się czysty stru-

*) Otawa = potraw, drugi pokos siana.

mień, a orzeźwiający wietrzyk wiał po nad ruczajem. Młody myśliwy usiadł na murawie, głowę wsparł na łokciach i zadumał się głęboko, głęboko. Napróżno Leda łasiła się, napróżno starała się rozerwać swoimi figlami... On głaskał ją i pieścił, lecz nie zwracał na nią uwagi...

Wreszcie wstał a z ust wyrwały mu się mimowolnie słowa, wypowiedziane przed dwoma godzinami przez starego kucharza: — A jak i Opola nie stanie!...

III.

Dwór w Opolu był to długi, parterowy budynek, w połowie tylko zajęty na mieszkalne pokoje, zajmowane przez młodego właściciela; w drugiej zaś połowie domu mieściły się gościnne pokoje. Część zajęta przez Władysława zdradzała całem swem urządzeniem usposobienie, upodobania i zajęcia człowieka, który ją zamieszkiwał; wszystkie pierwiastki, które złożyły się na wytworzenie jego typowego charakteru, uwidoczniały się tu wyraźnie; niejednolitość i rozmaitość panująca w jego mieszkaniu były niejako obrazem jego wewnętrznej istoty.

Obok starych, przeszłowiecznych sprzętów, kanwowemi tkaninami krytych, a przesiąkniętych — jeśli się rzec tak godzi — tradycjami rodzinnemi, stały tu i ówdzie lekkie, wygodne meble ostatniej epoki. Pomiędzy książkami, obficie rozrzuconemi po wszystkich pokojach, można było spostrzedz poważne, w skórę oprawne „in folia“ z szesnastego wieku, sąsiadujące ze zbytkownemi edycjami paryskiemi — dziećmi ostatnich lat. Na kominie w sali jadalnej, w cieniu staroświeckiego gdańskiego zegara, który pewno pamiętał panowanie króla Jana III, kryło się całe mnóstwo drobiazgów, nabywanych za drogie pieniądze na

wiedeńskim Grabenie... I tak wszędzie poważna, zaśniedziała trochę przeszłość sąsiadowała zgodnie z najświeższą teraźniejszością — zardzewiała misiurka i druciana koszulka wisiały przy londyńskiej dubeltówce Lankastra i nowym mundsztuku z białego rzemienia. Staroświecczyzna jednak przemagała — poważne sprzęty i zczerniałe portrety stanowiły główne tło domu; nowoczesne dodatki odgrywały niejako rolę spinki z fałszywym brylantem, przypiętej do starego żupana z prawdziwego złotogłowiu.

I Władysław Kierbicz był takim samym konglomeratem starych, szlacheckich tradycyj i tej najnowszej cywilizacji — błyskotliwej a w rzeczy samej pustej i czczej. Kto go widywał przez krótki czas w towarzystwie młodych rozbawionych paniczów, ten nabierał o nim wyobrażenia, że jest lekkim, za rozrywkami tylko goniącym młodzieńcem; lecz ci, co go dobrze znali, umieli w nim odkryć i inne poważniejsze strony charakteru; bywał on czasem głęboko zamyślony o najpoważniejszych sprawach kraju... bywał smutny, zrozpaczony prawie; nikt jednak nie widywał go wówczas, bo był dumny i smutkiem nie chciał świecić przed ludźmi. Czasem nic nieznaczące napozór słowo wprowadzało go w stan takiej głębokiej zadumy, wówczas zamykał się z książką i nie pokazywał się nikomu, starając się poważniejszą pracą smutek zgnębić, zwyciężyć; albo kazał sobie siodłać ulubionego karego „Warchoła" i sam jeden błądził po okolicy tak długo, dopóki wichrowaty jeździec i koń z natury doń podobny w znużeniu nie znaleźli uspokojenia i nie zapragnęli spoczynku.

I dziś przemowa starego Stanisława wprawiła dziedzica Opola w takie pesymistyczne usposobienie. Wróciwszy z pola, zjadł milcząco kawałek mięsa, przeczytał kartkę od hr. Karola, oznajmiającą jego przyjazd dziś w nocy — i zamknął się zaraz w sypialnym pokoju. Tam pogrążył się cały w czytaniu „Sejmu czteroletniego“ O. Kalinki. Czytał z wielką uwagą i widocznem skupieniem ducha; od czasu do czasu występował na jego wysokiem, białem czole potężny, podłużny fałd; czasem cisnął książką na szesląg i dużemi krokami przechadzał się po pokoju, a z ust gwałtem cisnęły mu się słowa: Ci sami! Zawsze ci sami!

Leda, leżąca w kącie, zrywała się wówczas i biegła do pana, sądząc widocznie, że on ją woła do siebie, lecz dziś nie wiodło się jej — zamiast pieszczot otrzymywała ostre, niecierpliwe upomnienie: Leda leżeć! spać!...

Mijały godziny za godzinami. Gdy się zciemniło Mikołaj wniósł lampę i nie rzekłszy ani słowa, postawił ją na dużym stole, stojącym pośrodku pokoju. Władysław zabrał się znowu do przerwanego na chwilę czytania. Zegar w jadalni wydzwonił godzinę jedenastą, pół do dwunastej — nikt nie przyjeżdżał. Wreszcie przed samą dwunastą do uszu oczekującego i zniecierpliwionego już trochę gospodarza doszedł znany mu dobrze odgłos turkotu doróżki, którą hr. Karol zwykł był odprawiać swe nocne wyprawy.

Odgłos ten przerwał zadumę. Władysław potarł czoło dłonią i poszedł pośpiesznie na powitanie gościa. Usłużny Żorż uwijał się już koło powozu, pomagając przybyłym wysiąść.

— Jak się masz królu nietoperzy? — dźwięczał zdala świeży i donośny głos hrabiego. — *Bon jour cher ami.*

— *Bon jour! Bon jour!* — powtarzał jak echo za hrabią młodszy jego towarzysz, pan Jan Mądrowski z Mądrówki.

— Witajcie mi! Witajcie! — zawołał uradowanym głosem gospodarz. — Chodźcie prędzej do pokoju, kolacja od godziny czeka.

— *Vraiment il est horriblement tard!* — mówił hrabia bardzo prędko i nie przerywając prawie. — Ale wyobraź sobie, stała się dziś u nas awantura. Wyobraź sobie, *madame ma mère* musiała się chyba coś dowiedzieć o naszych nocnych wycieczkach, bo od chwili gdy w południe dostrzegła twego Żorża, tak cały dzień mówiła o zepsuciu panującem teraz pomiędzy młodzieżą...

— Pewno i mnie się tam dostało? Wujenka zawsze na mnie łaskawa — przerwał mu Władysław.

— Czekaj! nie przerywaj mi — trzepał dalej Karol. — Było tam wszystkiego po uszy i o nocnych orgiach i o nietoperzach. *Dame!* nudziło mię to, *mais enfin elle est mère* i trzeba to znosić. Słuchałem więc z bogobojną miną... Nie tu jednak koniec! Po kolacji widzę, jak hrabina z wielkiem nabożeństwem dźwiga ogromny jakiś foliant; dreszcz przeszedł po mnie, poznałem go bowiem, to były Skargi „Żywoty świętych.“—Mój Karolku — powiada — poczytamy dziś sobie... Uf! czytałem do jedenastej prawie. *Ah! une vie charmante...* Jaś tymczasem stał z końmi koło karczmy we wsi...

— Współczuję! współczuję! — wołał, śmiejąc się serdecznie gospodarz — ale chodźcie-że raz

do pokoju, bo widzę, że przez ciebie Jaś i u mnie nie dostanie się do wnętrza domu.

Perswazja i zaprosiny poskutkowały tym razem, bo wnet po nich młodzieńcy, śmiejąc się i rozmawiając wesoło, weszli do pokoju. Tu przy świetle dopiero, zarysowała się postać hrabiego Karola w całej swej wspaniałości. Był to słuszny, barczysty, przytem pięknie zbudowany młody człowiek; pierś szeroka, wypukła i zgrabna, w pasie wcięta figura robiły to, że wydawał się jeszcze słuszniejszy, niż nim był w rzeczy samej; twarz miał w piękny owal zarysowaną, a profil klasyczny, grecki; z oczu jego podłużnych, szafirowych zdawała się przeglądać słodycz swobodnej, młodej duszy; tylko błądzący w koło ust ironiczny uśmiech mógł się bystremu spostrzegaczowi nie podobać— aż wiało od niego sceptycyzmem.

Drugi gość był chyba umyślnie przywieziony na to, żeby hrabia jeszcze lepiej się wydał. Na niskim, pękatym tułowiu sterczała duża, okrągła głowa; twarz miał ten młodzieniec płaską, bez wyrazu, nos malutki, oczki blade; nad pełnemi wargami ledwie że wysypał się rzadki, nikły wąsik, a na spłaszczonej czaszce przeświecała tu i ówdzie przedwczesna łysina. Przedwczesna, bo pan Jaś z Mądrówki miał zaledwie—dwadzieścia cztery lat..

— Mikołaju, dawaj kolację! — zawołał na samym wstępie gospodarz — Będę wam przewodził w jedzeniu, bo wygłodziłem się porządnie... Wyobraźcie sobie, że dziś na waszę cześć nie jadłem obiadu.

— Dziękuję ci za podobną serdeczność—przerwał gadatliwy hrabia. — Zobaczysz, Jasiu, że sam wszystko spakuje... *Sans doute!* Już ja znam jego

apetyt, szczególniej gdy zapowiada, że jest głodny. Ale, *czort wazmi*! jestem już właściwie po kolacji... Ot, powiedz nam lepiej, po co właściwie wezwałeś nas dzisiaj, i z jakiego powodu wyprawiasz tę ucztę nietoperzą na cztery dni przed naznaczonym terminem?

— Eh! Czekajcie cierpliwie, powiem wam wszystko, ale po kolacji. Przyśpieszyłem, bo chciałem cię koniecznie dziś zobaczyć i mam się ciebie poradzić w pewnej sprawie; zresztą może będę musiał jutro wyjechać na kilka dni.

W tej chwili Mikołaj wniósł na półmisku, okryte serwetą gorące trufle.

— Ah! ah! — zawołali obaj goście. — Bal! Władek bal wytacza.

— Cicho! Nie krzyczcie... Karlos, napijesz się kieliszek koniaku?.. No, w twoje ręce! — Tu wychylił spory kieliszek, napełniony złotawym płynem, i podając kieliszek i butelkę hrabiemu, dodał: — Pij do Jasia, może go koniak trochę rozrusza; milczy dziś jak mumia.

— Jasiowi daj pokój!.. *Il est superbe* z tem swojem milczeniem. *Il est impossible d'être plus original*, niż on. Wszystko blednie w obec jego milczenia — mówił hrabia po wychyleniu kieliszka i w tej chwili napełniając go znowu dla milczącego towarzysza, dodał: — No, pij!

— *Est-ce que j'ai tort?* — odpowiedział tenże, na poprzednie docinki swego mistrza. Poczem wziął z jego rąk kieliszek i wychylił go do dna. Po chwili przemówił znowu: — Wolę milczeć, niż mojemi słowami przerywać twe słowa. Wiem, że tego nie lubisz.

— *Oh! il m'adore!* — zawołał, śmiejąc się spazmatycznie hrabia. — Wyobraź sobie, Władziu,

że Jaś ma dla mnie jakiś kult bałwochwalczy. Jakie to szczęście, że nie jestem panną.. bo w takim razie byłaby to miłość — nieszczęśliwa, uczucie pogardzone. Jasiu! Tyś chyba nie wzbudził w żadnej białogłowie poważniejszej namiętności. Co?.. No, przyznaj się.

Chłopak zaczerwienił się gwałtownie, usta zagryzł aż do krwi, ale nie rzekł ani słowa nauczył się już znosić dogryzki hrabiego Karola... hrabiego Karola, wprowadzającego go w arystokratyczne sfery, do których on tak pragnął się wcisnąć i w nich zostać do śmierci. Gospodarz, zauważywszy przykrość, jaką Karol wyrządził, w rzeczy samej bałwochwalczo doń przywiązanemu Jasiowi, starał się zapobiedz dalszym żartom i odwrócił uwagę od tego drażliwego przedmiotu, nastając, żeby natychmiast zasiedli do stołu i zabrali się na serjo do trufli, które mogą ostygnąć i stracić przez to smak i zapach.

Dobrej rady usłuchali goście bez oporu i zaczęła się kolacja, przerywana tylko krótkiemi pochwałami podawanych potraw i genjuszu starego Stanisława, lub błyskotliwymi wybuchami francuskiego dowcipu hrabiego, po których następował ogólny śmiech i pełne adoracji spojrzenia Jasia, rzucane w stronę niedościgłego ideału. W miarę spożywanych potraw i wypróżnianych kielichów szampańskiego wina humor biesiadników wzrastał ciągle; nawet gospodarz rozchmurzył się całkiem, a z jego czoła znikł zupełnie ów podłużny fałd, tkwiący między oczami. Z wielką werwą i dowcipem opowiedział swym przyjaciołom dzisiejsze zdarzenie z Fiksem, przestrach tegoż i pośpieszną ucieczkę. Hrabia aż kładł się od śmiechu.

— *Oh! oh! C'est très amusant!* — wołał w chwilach, kiedy mu wybuchy śmiechu na to pozwalały — Władek, ty jesteś niezrównany w pomysłach... Cha! cha! Tyfus plamisty!... plamisty!

Po chwili spoważniał nagle, przestał się śmiać, a twarz swą przyoblekł w surową na pozór powagę, pod którą jednakże bystre oko mogło było dostrzedz kurczowe drganie muszkułów, powodowane tłumieniem wewnętrznego śmiechu... Wstał i biorąc świeżo nalany kielich, przemówił uroczystym głosem:

— Panowie! Wznoszę tu zdrowie zasłużonego obywatela, godnego naszego przyjaciela i dzisiejszego gospodarza — Władysława Kierbicza!.... Zasłużonego! Tak! nawet bardzo zasłużonego. Czyż nie jest zasługą prawdziwą jego ostatni czyn bohaterski? Jak drugi Almanzor, król Alpuhary, wniósł on zarazę do obozu naszych wrogów... Tak! Rzekł im: „Wy tak możecie umierać!“ Jeżeli nawet nie poumierają, zawsze może to w nich wywołać poważne zaburzenia... w systemie trawienia — ze strachu. Niech więc żyje mściciel naszych procentów! *Vivat Ladislaus*!

I wychylił jednym haustem pełny kielich wina.

Gospodarz, śmiejąc się serdecznie, dziękował za toast. Wszyscy powstali, kolacja się skończyła. Przechodząc do położonego obok saloniku, nielitościwy hrabia miał jeszcze czas szepnąć zachwycającemu się jego wymową Jasiowi:

— Ty nigdy nie doczekasz się tak uroczystej chwili w życiu, żebyś zasłużył na toast przezemnie wnoszony, choćbyś zdołał rozniecić pożar grzesznej miłości w sercach dwunastu westalek. Oh! nie. Ty będziesz zawsze niedołęgą. Co prawda, to prawda,

trzeba oddać Władkowi sprawiedliwość, że mimo jego wszystkich wad, bywa on czasem oryginalny i miewa niezrównane pomysły, a ty...

— *Mais cependant...* — zaczął swą obronę Jaś.

— *Laissez donc!* — przerwał mu niecierpliwie hrabia. — Mów co chcesz, nie zmieni to już mego zdania... Władek jest najtęższy bub, jakiego znam, a ty jesteś i będziesz zawsze niedołęgą.

Za panami wszedł do saloniku Mikołaj, wniósł on tam czarną kawę, likwor i papierosy i natychmiast dyskretnie się ulotnił.

Zostali sami.

Hrabia pierwszy przerwał milczenie, które zapanowało przez chwilę, zapytując przechadzającego się wszerz pokoju gospodarza:

— No, Władek, powiedz nam teraz, po co nas dziś tak na gwałt sprowadziłeś?

— Właśnie chciałem przystąpić do najważniejszej sprawy — odparł zagadnięty, zbliżając się do stołu i biorąc do rąk filiżaneczkę pełną dymiącej kawy; usiadł obok i mówił dalej: — Słuchajcie! Doktor mi opowiedział dziś, że czytał własnemi oczami paszkwil, który ten błazen Wędzolski nabazgrał, czy kazał komu nabazgrać na... na Jadwigę.. na pannę Jadwigę Molską. Chciałem właśnie poradzić się z wami... z tobą Karolku; co z tym fantem zrobić?

Hrabia słuchał z uwagą natężoną słów Władysława, a w miarę jak ten mówił, czoło mu się marszczyło, a około ust zarysował się jeszcze wyraźniej ów ironiczny uśmiech, wreszcie przerwał niecierpliwie:

— *Eh bien, ça vous gêne? Est-ce que tu es jaloux?* Co cię może panna Jadwiga obchodzić?

Władysław starał się odpowiedzieć na te słowa lekceważącym śmiechem, nie udało mu się to jednak skrzywił tylko trochę usta i odrzekł:

— Ty zawsze tylko żartujesz, Karlosie... O jakiej zazdrości może tu być mowa? Nie! Nie zazdrość, ale złość mię porywa na samą myśl, żeby taki błazen, taka małpa, obskurny parwenjusz śmiał się porywać na pannę, która należy do naszego towarzystwa, jest ulubienicą i wychowanką naszej ciotki.

— *Lari fari*, *lari fari*! mów sobie zdrów — mruknął zcicha Karol, lecz wnet głośno zapytał:

— Czyś czytał ten paszkwil? Co on tam bazgrze?

— Nie! Sam nie czytałem, ale doktor mi opowiadał, że wyśmiewa się tam z niej, robi z niej żebraczkę z łaski pańskiej żyjącą, która niby to zastawia siecie na Józia marszałkowicza, która bałamuci równocześnie Walerjana Zienwicza i.. mnie.

— Cha! cha! cha! I ciebie... i ciebie! Słowo daję, że ten Wędzolski nie tak głupi, jak sądziłem dotychczas możeby go do naszego klubu zawerbować?.. Nie oburzaj się Władku, ale to prawie wszystko prawda, co on tam powypisywał, jeżeli w ogóle on to pisał, a nie sam doktor skomponował... Nasamprzód *elle flirte beaucoup cette demoiselle Hedvige*, mnie starego nie otumani, znam się na tem; dalej *elle est sans sou*, to prawda wiadoma wszystkim, a co do mądrego Józia, naszego zacnego kuzynka, to przyszłość pokaże— i śmiał się hrabia dalej niemiło, ironicznie.

Władysław, słuchając go, oniemiał chwilowo z podziwu i oburzenia. Wstał z krzesła, twarz mu się mieniła, to bladła, to ponsowiała, oczy błyskały, a usta, zaciśnięte w tej chwili, drżały

tak, iż zdawało się, że słowa przecisnąć się przez nie nie mogą... Hrabia śmiał się ciągle.

— Karolu! Karolu! — zawołał wreszcie drżącym jeszcze z oburzenia, ale już umitygowanym głosem. — Tyle razy cię prosiłem, ażebyś przedemną nie udawał gorszego, niż jesteś w rzeczy samej, żebyś się nie drapował w ten nieznośny egoizm, który cię tak szpeci... Ja nie wierzę w tę twoję pozę, znam cię doskonale i wiem, jaki jesteś w głębi, ale inni cię nie znają... Albo i teraz, cóż ci zawiniła ta biedna dziewczyna, której dobre imię pozwoliłbyś poniewierać takiemu... takiemu Wędzolskiemu?... Karolu, ty...

Podczas gdy to mówił gospodarz, hrabia także wstał, twarz jego dziwnie spoważniała, nawet ten uśmiech szyderczy znikł zupełnie, patrzył na drżącego z gniewu Władysława, a jego spojrzenie zdradzało, że widok ten robi mu przyjemność, że dumny jest z tego uniesienia swego krewnego i przyjaciela. Po chwili jednak przerwał ten wzburzony potok słów Władysława, mówiąc:

— Dość Władek! Nie wiedziałem dotychczas, żeś się tak bardzo zaszłapał, chciałem tu dziś użyć bardzo pożytecznej nieraz broni — sarkazmu. Widzę jednak, że ona na nic się już tu nie przydała, że trzeba użyć poważniejszych argumentów, ażeby cię powstrzymać nad przepaścią... uchronić od nieszczęścia całego życia...

I popatrzył śmiało, przenikliwie w oczy Władysławowi, który pod wpływem ostatnich słów hrabiego zmienił się nagle, głowę opuścił; a twarz jego okryła się gwałtowną falą rumieńców.

— Widzisz? — mówił hrabia dalej, a uśmiech zarysował się znowu koło jego pięknych ust — to nie jest trudnem do skonstatowania, *que tu es*

fou de cette demoiselle là, ale zastanów się tylko: co może wyniknąć z takiego małżeństwa?... Ona bez grosza.

— *Est-ce que je dois me marier pour avoir une existence agréable?* — zawołał gwałtownie Władysław, a w jego oczach zapłonęły znowu iskry gniewu. — Ale o czem tu zresztą mówić, nikomu się jeszcze nie śni o małżeństwie, a pannie Jadwidze może mniej, niż wszystkim innym... więc dajmy temu pokój. Teraz chodzi przedewszystkiem o to, żeby takiego Wędzolskiego nauczyć rozumu i ukarać go za kwintesencję zuchwalstwa, jakiego on dopuścił się napisaniem i rozpowszechnieniem tego paszkwilu.. Proszę więc was, moi kochani, pojedźcie jutro wyzwać tego pana w mojem imieniu.

— Władek! co ci znowu do głowy przyszło? Co za nowy koncept? — zawołał porywczo hrabia. — *Mais tu es fou mon cher, tu es absolument fou*!... Więc dobrze! — mówił dalej spokojniej już. — Przypuśćmy, że przyjeżdżamy z Jasiem jutro do Browarki... Patrz, jak Jasiowi oczy się śmieją do tego mądrego projektu — dodał, patrząc z uśmiechem na najmłodszego członka towarzystwa. — Przypuśćmy więc, że zgadzam się na twój projekt; ubieram się w czarny surdut... br.. br... nie cierpię tej rewerendy... i jadę do jaśnie wielmożnego Wędzolskiego na Browarce etc. etc. pana... Przyjeżdżamy — jak się wyżej rzekło — z Jasiem. Pan Wędzolski, uraczony naszą wizytą, zaprasza do salonu, zatrzymuje na obiad, prosi o pozwolenie wyłożenia koni, ale my, jako twoi sekundanci znamy przepisy, nie rozpinamy nawet żadnego guzika przy naszych nieposzlakowanie wspaniałych redengotach — tylko

oświadczamy mu... Hm! co właściwie oświadczamy mu? Że pan Kierbicz z Opola usłyszawszy o tem, jakoby pan Wędzolski z Browarki napisał paszkwil na pannę Molską, czuje się w obowiązku i prawie wyzwać go na pojedynek i z bronią w ręku osłonić nadszczerbioną przez onego z Browarki kawalera sławę panny Molskiej... Cóż się dzieje dalej? Wędzolski, ufetowany honorem, jaki go spotyka, ale przestraszony równocześnie perspektywą „rozprawy z bronią w ręku“, powiada kategorycznie, że paszkwilu żadnego nie pisał, ale jeżeli pan Kierbicz czuje się obrażony nawet pogłoską o podobnym fakcie, to obowiązuje się w zadośćuczynienie przeprosić i pocałować pannę Jadwigę w rękę, a pana Kierbicza... w ramię. Pozwolę się nazwać fajtlem, jeżeli się tak nie skończy.

Od początku słów hrabiego zaczęła następować zmiana na twarzy Władysława, wnet uspokoił się, ale zrazu miejsce gniewnego wyrazu i uniesienia zajęła surowa powaga, pod koniec jednak zaczął ją wyrugowywać uśmiech figlarny, a przy końcu wraz z Jasiem wybuchnęli obaj słuchacze homerycznym śmiechem. Jaś pierwszy krzyknął:

— Karlos jest wielki!

— Cicho! Słuchajcie dalej! — przerwał im, zachowując ciągle udaną powagę hrabia. — Skończyłem dopiero pierwszy akt dramatu... Wędzolski cię pocałował na przeprosiny tam gdzieś mu kazał; nie tu jeszcze koniec sprawy. Awantura! pojedynek!... Dowiadują się o tem wszystkie Ciurkowskie, wszystkie plotkarki i rozchodzi się wieść, że miałeś się bić z Wędzolskim o... nadszczerbioną sławę panny Jadwigi. Jakie będą najostate-

czniejsze wyniki i wnioski wyciągnione z tego faktu, tego ja nie wiem dziś i wiedzieć nie mogę, bo nie mam imaginacji tak lotnej, jak te panie zajmujące się sprawami bliźnich, ale w każdym razie mogę z całem prawdopodobieństwem przypuszczać, że powstanie stąd mnóstwo bajek i powieści, które ani pannie Jadwidze, ani tobie na korzyść nie wyjdą... Skorzysta tylko Wędzolski, bo będzie mógł się pochwalić, że hrabia Warowski wyzywał go w imieniu pana Kierbicza. *Mais non... cent fois non*!! Warjatem potrzeba być, aby się na to narażać... Zastanów się, Władziu, do czego to prowadzi. Zastanów się!..

— A jednak coś z tem trzeba zrobić, tak tego zostawić niepodobna...

— Dla czego niepodobna? — perswadował dalej Karol. — Cóż ciebie mogą plotki parafjalne obchodzić? Cóż cię może obchodzić gadanina takiego doktora, którego swoim porządkiem spoufaliliśmy do niemożliwości, a ani denara z tego Szajloka wydusić nikt nie potrafi!... Przecież on znany jest jako pierwszorzędny plotkarz.. Jeżeli chcesz, żebym wyzwał Wędzolskiego, to go wyzwę.. takich rzeczy się nie odmawia, choć wiem, że z moją matką będę miał należytą przeprawę... ale pytam: po co to? do czego? Poradź się przedtem kogoś doświadczonego, jeżeli mnie nie ufasz..

Władysław, słuchając cierpliwie słów hrabiego, uspokajał się zupełnie i wreszcie, gdy ten skończył, zadecydował, że w samej rzeczy z postanowieniem ostatecznem nie ma się czego śpieszyć i należy poczekać na zebranie bliższych szczegółów i na skonstatowanie współudziału Wędzolskiego w tym całym pasztecie.

— Ślicznie! ślicznie! *Mais cela ne suffit pas!* — zawołał hrabia uradowany, że przekonał Władysława i na razie zapobiegł niepotrzebnej awanturze.—Jeżeli się pokaże, że *cette canaille de parvenu* winien jest zbrodni oszczerstwa, rzucającego plamę na pannę wysokiego rodu, a która w dodatku ma to szczęście być z nami spowinowaconą to, mości panowie, wszyscy członkowie naszego klubu, wszyscy *nietoperzowie* wyzwiemy go na pojedynek.. Wyzwiesz ty, Władek... wyzwiesz ty, Jasiu... wyzwę go i ja, wyzwą go wszyscy przyszli członkowie klubu, ale mam nadzieję, że po was dwóch, a nawet po samym Władku, wyzwie go doktor.. na reperację uszkodzonej przez Władków pałasz cennej powłoki ziemskiej... Uważasz, Władek, to tak z wczorajszej lektury skorzystałem, niezaprzeczenie coraz lepiej po polsku zaczynam się tłumaczyć... *Mais il est horriblement tard*, już świtać zaczyna... Jaś, jedźmy! Przed wschodem słońca muszę wrócić na łono rodziny, bo inaczej . br... br...

— *Mais pas encore!* Dopiero trzecia... poczekaj trochę ja mam jeszcze interes do Władka. . interes pieniężny.

— Ty interes? — zawołał, śmiejąc się hrabia— interes pieniężny, *quel vilain mot!* Szkoda na to czas tracić. Zresztą, jeżeli ci Władek winien i chcesz, by ci oddał, to napróżno, bo goły, a jeżeli masz sam i chcesz mu pożyczyć, to robisz głupstwo, bo wolisz mnie ten interes zaproponować... No, zbieraj się!

— Poczekaj, Karlos niech Jaś się wygada — przerwał potok słów hrabiego gospodarz, zaintrygowany słowami Jasia. — No mów: jaki masz interes?

— Widzisz, bo... ja nie wiem, doprawdy — plątał się zmięszany Jaś — czy nie udać się wprost do twego rządzcy, ale tatko mi kazał, żebym cię zapytał.. to jest, abym u ciebie nabył sześćset pudów pszenicy twojej, tej białej sandomierki, na nasienie.. da po rublu za pud... Nie gniewaj się, że ja wprost do ciebie się udaję.. Oto sześćset rubli i.. i.. tatko prosił o zakwitowanie, żeś odebrał pieniądze i o kwit, by pszenicę wydali ze stodoły, choćby ciebie w domu nie było.. Władku! czy ty nie obraziłeś się na mnie?...

— Za co? — zawołał uradowany Władysław.— Czekaj, zaraz ci napiszę żądane kwity -- i usiadł przy sekretarzyku.

— Ah! perfido haniebna! A zdrajco! A Judaszu Iskarjoto! — wołał, udając oburzonego hrabia. — Toś ty mógł Jasiu, jechać z Warowiec aż tu do Opola, ze mną, w moim wspaniałym ekwipażu i nie przyznałeś się, że wieziesz z sobą sześćset mamonników?!.. Kwita z przyjaźni! Trzymaj się Wędzolskiego.. Kwita!...

— Ależ, Karolu... Tatko wyraźnie kazał, żebym od Władzia kupił to nasienie — sumitował się zaambarasowany Jaś. — Wy takiej pszenicy nawet nie macie.

— No, uspokój się! — rzekł, rozbawiony śmiesznem zmięszaniem się chłopaka, Karol. — Żartowałem, a ty nigdy już ponoś nie będziesz się na żartach rozumiał...

Tymczasem Władysław napisał żądane przez starszego pana Mądrowskiego dokumenty i wręczył je Jasiowi.

Nastąpiły pożegnania, przy których hrabia Karol powiedział jeszcze z dziesięć konceptów udatnych i dowcipnych, ale naszpikowanych fran

cusczyzną zatrzymując się dla wypowiedzenia ich w każdych drzwiach przez które przechodzili. Wreszcie, gdy się już znaleźli na ganku, odciągnął jeszcze Władysława na stronę i zapytał go nagle :

— Władek, powiedz prawdę, czy ci te pieniądze od tego dudka wystarczą na opłacenie żniw?.. To ja staremu tumanowi nagadałem cudów o twojej pszenicy, wiedziałem, że piszczysz... Jeżeli ci braknie, to temi dniami mogę wypompować gdzieś u braci mojżeszowego wyznania z jakie trzysta blatów... Powiedz?

— Nie! dziękuję ci — odparł serdecznym tonem Władysław — na teraz wystarczy mi to...

— A z tą panną bądź ostrożny — dodał hrabia, ściskając gospodarza za rękę — nic łatwiejszego, jak palnąć głupstwo.. Oh! z pannami z towarzystwa nie ma żartów. .

Po tych słowach, nie czekając odpowiedzi, zbiegł prędko z ganku i ulokował się obok siedzącego już Jasia.

— No, wio Andrus! Do domowego znicza — zawołał żartobliwie. — Oj! znicz, znicz! *La maison n'est pas gaie, et la vie entre papa et maman...* Eh! *Czort wazmi!* Ruszaj, Andrus!

I pojechali

IV.

Po wyjeździe gości, Władysław poszedł odrazu do sypialnego pokoju, rozebrał się prędko, kazał tylko Mikołajowi, ażeby uwiadomił ekonoma, by jutro rano widział się z nim koniecznie, bo ma do niego ważny interes,— i położył się do łóżka.

Zasnąć jednak nie mógł długo, bardzo długo. Rozmowa z Karolem szarpnęła w głębi jego duszy takie struny, które on przedtem zmuszał do milczenia; dziś struny te mimo jego woli rozbrzęczały dziwną melodją, czasem zdawały się rozlewać w koło cudną, w niebo porywającą symfonję, to znowu szarpały nerwy przykrym, zgrzytającym dysonansem. Nie mógł spać, bo w duszy jego toczyła się walka, walka zrodzonego oddawna a tłumionego dotychczas uczucia z poziomym, brzydkim egoizmem, walka nawyczek i przyzwyczajeń luksusowych, które stały się dlań drugą naturą — z miłością czystą, prawdziwą i bezinteresowną.

Wił się więc po łóżku trapiony dolegliwościami psychicznemi, tak zupełnie, jak biedak dotknięty ciężką niemocą, chorobą ciała.

— Co zrobić? — zapytywał w myśli sam siebie i nie mógł znaleźć na pytanie to odpowiedzi. Chciał zagłuszyć go, stłumić, zmusić do milczenia;

starał się myśleć o czem innem, wyszukiwał najrozmaitsze sprawy z życia codziennego, praktycznego. — Napróżno! Pytanie palące wracało uparcie i wołało bezprzestannie: — Co zrobisz? — A później szeptało mu coś w głębi serca: Życie to marnie ci płynie... Zastanów się: dokąd dążysz? Jaki jest cel twego życia? Zmarnujesz go, roztrwonisz ten dar boży na głupie miłostki... na hulanki...

Podniósł się na łóżku, zapalił papierosa, napróżno jednak: narkotyczny dym nie znieczulił rozstrojonych nerwów, pytanie wracało coraz uparciej, coraz to natarczywiej. . Kręcił się po łóżku, wił się jak wąż, a sen oczekiwany nie nadchodził, pytanie oczekiwało odpowiedzi.

— Jadwiga! — zawołał mimowolnie, a w głosie tym, który przemocą wydarł się z piersi, dźwięczał cały poemat, cała dusza ludzka; była tam i miłość namiętna, gwałtowna, ślepa, i rozpacz jakaś i zwątpienie... i pogarda dla siebie samego.

— Jadwiga! — powtórzył drugi raz cichszym już, rzewnym głosem i wydało mu się, że ból jakiś straszny, szarpiący mu nerwy ustał nagle, a miejsce jego zajęło dziwnie miłe błogie uczucie, rozkosznych wrażeń pełne; i równocześnie ukazała mu się przed oczami duszy owalna śniada twarzyczka o czarnych uroku i tajemniczego czaru pełnych oczach, o ustach rozchylonych, purpurowych, jakby szepczących cudne słowa miłośnego wyznania... Leżał cicho i pił całą rozkosz tego widziadła rozigranej fantazji.

Widziadło powoli, nieznacznie zmieniało kształt, z pięknej dziewicy przekształcało się w dziewczynkę... w dziecko prawie; i widział ją te-

raz taką, jaką po raz pierwszy spotkał w życiu, taką, jaką była wówczas, kiedy ją ciotka marszałkowa, jako biedną opuszczoną sierotę odnalazła wśród obcego ludnego miasta i jako przybraną córkę z sobą do domu przywiozła; widzi to małe wynędzniałe stworzenie o czarnych gwiaździstych oczach, błyszczących na drobnej twarzyczce; widzi jej czarne, uparte, nieposłuszne włosy, z któremi żadna pokojówka nie mogła dać sobie rady... Tak! to ona, to Jadwiga... Zawsze, zawsze ona!

Jaki fatalizm zmusił go, że on tę dziewczynę, bez rodziców i majątku, tę pannę bez posagu — musiał pokochać?... Musiał! musiał! Przecież bronił się temu uczuciu tak długo! Co więcej, ona jednem słowem, jednem spojrzeniem nie zachęcała go do tego; co więcej jeszcze — on do dziś nie jest pewny, czy ona wzajemnie go kocha? Czy podziela jego miłość, taką gwałtowną a taką skrytą bo on nigdy jej o niej nie mówił, nigdy spojrzeniem się nie zdradził, bo umiał panować nad sobą.. Nie był dotychczas zdecydowany ożenić się z nią, a zanadto szanował dom ciotki i ją samą wreszcie, by puszczał się na niebezpieczne fale flirtu salonowego i do tego... z nią, z sierotą, z panną bez posagu. Niech go ludzie sądzą jak sami chcą, niech mu zarzucają tysiące błędów i lekkomyślności, jednak nikt mu nie odważy się zarzucić podłości — a nią byłoby bałamucenie ubogiej dziewczyny. Nie! nie! On jest przecież szlachcicem i godnie szlachectwo to swoje nosił dotychczas i nosić go będzie do śmierci!

Postać jej uporczywie stała mu ciągle przed wzrokiem duszy; zmieniała kształty co prawda: widział ją to dzieckiem prawie, to znowu podrastającą dziewczynką, to wreszcie dorosłą już dzie-

wicą; lecz widział ją ciągle, bez przestanku i czuł, że nie jest w stanie oderwać się od tego widziadła wyobraźni, że choćby uciekł za wody i góry, to postać ta niepochwytna, z mar sennych i promieni ideału utkana, pójdzie z nim na drugi koniec świata i w noc bezsenną stanie znów przed nim, jak wyrzut sumienia, jako dowód zmarnowanego życia, podeptania jedynego, prawdziwego szczęścia.

— Jadwiga! — po raz trzeci szeptem już tylko wymówił i nie starał się już walczyć, nie bronił się czarowi roztaczającemu bezsporne nad nim panowanie; uległ urokowi, który wiał w jego duszę od tej postaci...

I zaczął rozpamiętywać wszystkie spotkania z nią przez przeciąg wielu, wielu ubiegłych lat... Znał ją tak dawno, ośm lat już mija, jak ją po raz pierwszy zobaczył, jak uczuł na swej twarzy ciekawe, a jakąś dziwną siłę magnetyczną posiadające spojrzenie pary dziecięcych czarnych oczu; odrazu polubił śmiałą i rozwiniętą nad wiek dziewczynkę i lubił ją już zawsze... Nieraz, gdy już podrastala, staczał z nią sprzeczki naukowe, które ciotkę i starsze panie do śmiechu pobudzały, dla niego jednak były nad wyraz przyjemne... Dziewczę się unosiło, twarzyczka jej mieniła się przytem, oczy nabierały dziwnego blasku — było jej z tem do twarzy, a on lubił, jak lubił na nią patrzeć wówczas...

Później przez dłuższy czas jej nie widział, znikła mu zupełnie z oczu, drogi ich rozeszły się. Ona pod kierownictwem zacnej swej opiekunki uczyła się, kończyła wychowanie — dla niego zaś były to czasy nieopatrznej gonitwy za wrażeniami wszelkich odcieni: letnie miesiące przepędzał wraz

ze swymi ulubionymi końmi na dalekich arenach wyścigowych, jesienie trawił wśród hucznych polowań od Karpat hen aż po Dźwinę, zimy zaś przepędzał gdzieś w dużem mieście wśród hulaszczych zabaw karnawałowych, pomiędzy takimi samymi lekkomyślnymi i nieopatrznymi rówieśnikami.

Rok właśnie mija, jak ujrzał ją znowu, ujrzał ją na balu w Hurowie jako już zupełnie dorosłą pannę. Od pierwszego spojrzenia, jakie nań rzuciła wówczas, uczuł, że coś się zmieniło we wnętrzu jego istoty, od razu poznał, że te oczy mogą mu dowolnie rozkazywać, mogą rządzić jego czynami, jego życiem, że musi rozkazów tych słuchać... Na tym samym balu poznał również, co to są katusze zazdrości... Ona z widoczną przyjemnością rozmawiała z Walerjanem Zienwiczem, z człowiekiem, do którego czuł prawdziwą sympatją dla którego chował w duszy szacunek — a wówczas wydało mu się, że nienawidzi go serdecznie... Nienawiść ta nie miała podstawy, przekonał się o tem dowodnie; Zienwicz miał trzydzieści ośm lat, burzliwą młodość po za sobą i nie myślał już starać się o żadną pannę, głośno się z tem odzywał... A jednak dziś jeszcze, gdy sobie przypomniał tę ich rozmowę przy kadrylu i wyraz oczu, z jakim Jadwiga na swego dansera spoglądała, to uczuwał znowu to samo bolesne uczucie i znowu niechęć do tego — idealnie doskonałego Zienwicza zaczynała się budzić w jego sercu.

Teraz już nie rozważał nad tem, czy ma się starać lub nie o Jadwigę? Tylko truchlał już myśląc o tem: czy ona go zechce?... Uspokoił się jednak wkrótce. Był w gruncie rzeczy optymistą.

i wszystko potrafił sobie na swą korzyść wytłumaczyć.

Pogrążył się więc w słodkiem marzeniu. Myślał nad tem, jak dom sobie urządzić na przyjęcie tego drogiego gościa, jakie zmiany porobić w umeblowaniu, jakimi końmi do ślubu pojedzie?... Wszystko miało być skromne, wszak on był na pół prawie zrujnowanym wioskowym szlachcicem, a ona — panną bez posagu. W marzeniach jednak wszystko składało się doskonale: długi płacił, dom urządzał... i kochał, kochał żonę do szaleństwa. Coraz milsze widzenia otaczały go w koło, wpadł w stan pół snu a pół rzeczywistości, ale nie był w możności rozróżnić już jednego od drugiego; wymarzony, wyśniony świat rozkoszy wziął go bezspornie pod swe panowanie, świadomość opuszczała go zupełnie... Szepnął wreszcie: ożenię się z Jadwigą — i zasnął snem twardym, kamiennym, tak, jak się sypia w dwudziestym ósmym roku życia.

— — — — — — — — — — —

Gdy się obudził, promień słońca już znowu odbywał swą codzienną wędrówkę, prześlizgiwał się z zardzewiałych pancerzy na lśniące angielskie munsztuki i ciemno polerowane lufy strzelb.

Obudził się z gotowem postanowieniem, nie był bowiem ani trochę wahającym się, miał stanowczy charakter i szedł zazwyczaj wytrwale do wytkniętego celu — tak mu się przynajmnie zdawało, takie miał o sobie wyobrażenie.

— Pojadę dziś do Walerjana, poradzę się z nim, co mam z tym błaznem zrobić — układał sobie w myśli — Walerjan jest moim przyjacielem, no i Jadwigę lubi bardzo, on mi poda najlepszy spo-

sób... A później pojadę do Uniża i oświadczę się Jadwidze; oświadczę się ciotce. Powiem, że bez Jadwigi żyć nie mogę.. Niech robią co chcą—ona musi być moją!

Zadzwonił gwałtownie; Żorż wpadł jak bomba i zaczęła się dość długa tualeta, polegająca przedewszystkiem na obmywaniu całej figury zimną wodą i następnem wycieraniu ostrymi ręcznikami... Przy operacji tej można było zauważyć, że Władysław mógł być zaliczony do najlepiej zbudowanych ludzi na świecie; choć nie olbrzym wzrostem, był prawdziwym olbrzymem siły i harmonji... Gdy się odział w bieliznę, rozpoczęły się audyencje, przy których odbywało się dalsze ubieranie.

Pierwszy wsunął się uprzywilejowany Stanisław, z zapytaniem: jak tam wielmożnym panom smakowała wczorajsza kolacyjka?... Za starym wszedł do pokoju pan Kropielnicki, ekonom, zajadły przeciwnik Stanisława i jego wróg osobisty.

Kropielnicki nie należał do dawnej służby, do tych co to z ojca na syna dziedzicznie Kierbiczom służyli. Po śmierci starego Raczyńskiego, który bezpotomnie umarł i żadnego następcy na swe miejsce nie przygotował, Władysław na opróżnione miejsce ekonoma przyjął Kropielnickiego, który miał bardzo pochlebne świadectwa z kilku gospodarstw przy cukrowniach. Staremu Stanisławowi odrazu nie podobał się ten nowy zawiadowca nieużywanego już dziś nahaja.

— Farmazon! proszę łaski wielmożnego pana—mawiał poufnie stary. — Farmazon! Ludziom od s o b a k ó w i gadzin srokatych wymyśla, a nasi do tego niezwykli, do kościoła nie chodzi, kiełbasę

żarłby i w wielki piątek, nastarczyć mięsiska mu nie można i... będzie kraść!... Dalibóg, będzie kraść!.. Ale ja mu nie dam, nie dam, żeby na owinięcie palca co ukradł, to mu z gardła wyciągnę, a pańskiego nie dam ruszyć.

Teraz, stanąwszy obaj przed Władysławem, rzucili na siebie zawistne spojrzenie i czekali aż pan przemówi.

— Panie Kropielnicki — ozwał się wreszcie Władysław—kazałem panu przyjść, bo chcę zostawić dyspozycję i pieniądze na wypłatę za żniwa... Muszę na kilka dni wyjechać.

— Na nic się nie zdało! — zawołał zaperzony stary kucharz. — Kto widział kiedy, żeby jaki pan w same żniwa jeździł... Co tu bez pańskiej osoby będziemy robić? Sodoma i Gomora! i koniec!

— Nie wiedzieć czego pan Stanisław się obrusza — przerwał staremu słodkim i przyciszonym głosem Kropielnicki. — Czy to jaśnie pan niewolnik? Czy to jaśnie pan nie ma oficjalistów i sług, żeby musiał się na porę oglądać? Jaśnie pan może jechać i niech będzie spokojny, że tu wszystko będzie tak samo, jakby jego godna osoba sama w domu była...

Kropielnicki wbrew przyjętemu we dworze i całej wsi obyczajowi nie tytułował młodego dziedzica wielmożnym, ale jasnym panem; w pierwszych dniach swego pobytu w Opolu usiłował mu nawet hrabiowski tytuł narzucić, ale złajany raz, poprzestał na jasności.

— Niechno i pan Kropielnicki tak bardzo nie gada — odpowiedział drżącym z gniewu głosem Stanisław — już ja wiem, co mówię. Proszę mnie za język nie ciągnąć, bo jakbym to ja przed wiel-

możnym panem gdzie co opowiedział, toby się i cała jasność na nic nie zdała... Niby to ja nie wiem, jak to z sianem było, z temi kopicami wytycznemi... Co? Co, panie Kropielnicki? Niech jaśnie pan jedzie — przedrzeźniał stary głos ekonoma — to my to samo i z pszenicą zrobimy.

Przy ostatniem zdaniu starego widoczne zmięszanie ogarnęło ekonoma, ale opanował go wnet i starając się przybrać minę obrażonego, niesłusznie posądzonego a uczciwego człowieka, zaczął mówić podniesionym głosem:

— Ha! Jeżeli Stanisław już złodzieja ze mnie przed jasnym panem robi, to ja..

Nie skończył zdania, bo przerwał mu nagle rozkazujący, potężny i uniesieniem drżący głos pana:

— Milczeć mi obaj! Co to jest? Kłótnie mi tu rozpoczynać będziecie? Prosiłem cię, Stanisławie — mówił dalej spokojniej, zwracając się do starego — ażebyś raz nauczył się trzymać język za zębami i historji z całym światem nie rozpoczynał, bo wreszcie i moja cierpliwość się wyczerpie.

— Ależ bo proszę... — zaczęli równocześnie obaj.

— Milczeć! — zawołał znowu Władysław takim głosem, że aż szyby w oknach zadźwięczały i stuknął przytem nogą w ziemię tak, że aż coś w podłodze jękło. — Milczeć i słuchać, co wam każę zrobić. Wiele jest kóp pszenicy? — zapytał znowu spokojniejszym głosem ekonoma.

— Nażętych dwa tysiące sto trzydzieści — odparł tenże bez zająknienia, a będzie jeszcze — jest w Bogu nadzieja — jakie czterysta.

— To znaczy: będzie wszystkiej około dwóch tysięcy pięćset — mówił dalej dziedzic.

— Et! Jakie to kopy? — przerwał znowu z lekceważeniem patrząc na ekonoma Stanisław — poprostu pomiotła. Za nieboszczyka pana...

— Stary milcz! — zawołał teraz udając już tylko gniew Władysław — słuchaj dalej... Jak tylko skończą jutro żąć, Stanisław pojedzie z Kropielnickim w pole i we dwóch przerachujecie wszystkie kopy, później zaraz zrobicie wypłatę za żniwo. Oto masz Stanisławie sześćset rubli... po dwa złote od kopy, to ci wystarczy na dwa tysiące kóp, co zostanie reszty niech poczekają do mego powrotu. Dziś pojedź stary do Rajpola i rozmień pieniądze — i płacić obaj razem, aby omyłki nie było.

— Słucham, jaśnie panie! — odpowiedział drżący cały z ukrywanego gniewu ekonom. — Nie wiem tylko czy to wypada, żeby w wielkim skarbie pan kuchmistrz za kasjera...

— Niech Kropielnicki nic nie gada, tylko słucha dalej — przerwał mu stanowczo Władysław. — W sobotę wypada dworskie święto, proszę posłać do Oliniec na noc remanent, niech przyciągną maszynę, przez niedzielę ustawią, a w poniedziałek zaczniecie młócić pszenicę, wozić swojemi podwodami, a woły niech orzą przepęd od Gudzowego lasku, ten zarośnięty... W Olińcach nic nie trzeba żydowi od maszyny dawać, wziął zadatek, jak przyjadę, to poszlę mu znowu sto rubli... Co tam jeszcze? — I zaczął się znowu namyślać.

— A co, jaśnie panie, z ordynarją zrobić? — zapytał słodziutko Kropielnicki — upominają się i parobcy i dworscy; ot, i wczoraj Stanisławowa wnuczka, aż odkazywać już zaczęła..

— Kto? moja Hania! — wmięszał się znowu do rozmowy stary — dam ja jej!...

— Aha! ordynarja... — przerwał obu Władysław — dobrze, że mi Kropielnicki przypomniał. Żyta wczoraj namłócili, jęczmienia namłócą dziś, grochu przeszłorocznego jest jeszcze dziewięć korcy, a dziesięć korcy kukurudzy przywieźli wczoraj od Merdka z młyna... Proszę więc rozdać wszystkim kwartalną ordynarję. Jakby się co stało niespodziewanego, to poszlijcie dać znać do hrabiego... Teraz bywajcie zdrowi... Niech Stanisław powie Hryniowi, żeby zaraz przygotował mniejszy szaraban i niech założy Hubę i białego w angielskie szorki. No, bądźcie zdrowi i dobrze się sprawujcie!

Dyspozycja skończyła się. Władysław za chwilę potem był gotów, poprawił jeszcze drugi raz włosy przed źwierciadłem, podkręcił bujne, jasne wąsy i wychodząc do jadalnego pokoju kazał Żorżowi, żeby spakował mu potrzebne do podróży rzeczy i sam się przygotował, bo jak tylko Hryń konie założy, to z nim razem pojedzie.

Przy herbacie siedział zamyślony i nie odpowiadał, prawie nie słyszał bezustannych zapytań Mikołaja, odnoszących się do ważnych spraw gospodarstwa domowego. Nagłe wejście furmana Hrynia przerwało tę zadumę.

— Czy prawda, wielmożny panie, że my mamy jechać? — zapytał nieśmiało.

— Czyż nie kazał ci Stanisław konie zakładać? — odrzekł mu niecierpliwie Władysław. — Biegnij do stajni, śpiesz się, już dziewiąta, a o dziesiątej najpóźniej musimy wyjechać.

— *Bidnaż moja hołoweńka!* — zawołał, wbrew przyjętemu zwyczajowi, rusińskim narzeczem Hryń-

ko — białego zaprzęgaj! A com się nagadał kowalowi wczoraj.. Andruchu.. Andruchu, okujcie konia... Ot, proszę wielmożnego pana, nic z tego, biały nie pójdzie, bo rozkuty...

— Licho wam nadało samym się rządzić w stajni! — zawołał zniecierpliwiony do reszty Władysław. — Mówiłem ci, durniu, tysiąc razy, żebyś nie śmiał włosa koniowi uciąć bez mojej wiedzy... Tu jechać, a on konia rozkuł.. Ruszaj mi do stajni zaraz i zaprzęgaj Irmę i Elegantkę. Jak lunie deszcz i ja młode konie pozbawiam, to co? ty mi za nie zapłacisz?.... No! Idź już i zaprzęgaj prędko.

Hryń poskrobał się systematycznie w głowę, obejrzał się kilka razy i pomrukując coś z cicha, wyszedł.

Widocznie jednak nie było przeznaczonem, żeby Władysław dziś mógł w spokoju zjeść śniadanie i wypić herbatę. W minutę po wyjściu Hryńka wsunęła się cichuteńko do pokoju pani Bielecka, okazała klucznica, „jejmością“ przez służbę tytułowana.

— Całuję rączki wielmożnego pana! — mówiła cicho, rzucając w koło siebie przestraszone spojrzenie. — Choć Stanisław mi mówił, że wielmożny pan dziś nie w humorze, ale sumienie i obowiązek... święty obowiązek — tu wzniosła babina oczy w górę i westchnęła uroczyście — każą mi powiedzieć wielmożnemu panu, że.. że Krasa porzuciła dziś w nocy cielę. Tak było: z wieczora powiadam Danyle, weź krowę do osobnej klatki, ale on..

Władysław widząc, że się na długą opowieść o nieszczęściu Krasej zanosi, przerwał pani Bieleckiej, mówiąc:

— Każ pani cielę psom wyrzucić, a krowę przez tydzień w domu zostawić — i odwrócił się w drugą stronę.

Klucznica nie rada znać z przerwania ułożonej przez się widocznie z góry opowieści, stała nie ruszając się z miejsca, ale zauważywszy, że Władysław ani myśli wrócić do przerwanej rozmowy, zaczęła znowu jeszcze słodszym i pokorniejszym głosem :

— Prosiłabym łaski wielmożnego pana zadecydować: co my mamy zrobić z rabym wieprzem ?... z tym co w drugim karmniku siedzi... Mówiłam Stanisławowi: Ej, zobaczycie, że z niego nic nie będzie, bo ma bardzo wielkie kły i na moje wychodzi. Teraz... pieni i pieni, aż straszno wejść do karmnika.

Monotonny, jak krople wody deszczowej spadające z rynny, jednostajny głos klucznicy widocznie irytował Władysława do najwyższego stopnia, bo twarz aż mieniła mu się od zniecierpliwienia, wreszcie nie mógł wytrzymać dłużej, zwrócił się ku klucznicy i rzekł drżącym, przerywanym, gwałtem stłumionym głosem :

— Tyle razy mówiłem Bieleckiej, żeby mi takiemi głupstwami głowy nie zaprzątała... Pieni się wieprz, nie chce jeść, źle się tuczy — to każ go aspani zarznąć. Teraz będzie młocarnia parowa, będą maszyniści... zresztą czeladź... Zarznąć i koniec, a mnie tem nie dokuczać.

I znowu odwrócił się, wypił spory haust herbaty i zapalił świeżego papierosa.

Bielecka miała jednak widocznie nieprzepartą ochotę do rozmowy z dziedzicem, bo ciągle stała na tem samem miejscu i ciekawe spojrzenia rzucała w stronę Władysława, jakby pragnęła wy-

naleść najstosowniejszą chwilę na rozpoczęcie ponownej gawędy. Gdy zwrócił się na chwilę w jej stronę, dla wypicia reszty herbaty, zaczęła mówić znowu:

— Jeszcze mam jeden interes do wielmożnego pana, nawet ważniejszy i sekretniejszy, niż tamte... Ta Kiłyna bardzo sobie pozwala i pysk rozpuszcza tak, że aż strach, słuchać trudno...

Tu wyczerpała się do dna cierpliwość Władysława, jakby pobudzony prądem elektrycznym, zerwał się w jednej chwili na równe nogi i wrzasnął tak, że babina zadygotała i aż do ziemi przysiadła.

— A do miljon krocset sto tysięcy djabłów! Czy ja już we własnym domu chwili spokoju nie mogę mieć? Jak mi wasani będziesz tak głowę zawracać, to razem ze wszystkiemi Kiłynami, Horpynami, Paraskami każę cię za kopce graniczne wywieźć... A to skaranie boskie z temi babami... No! nie stój mi pani tu! Ruszaj do spiżarni, bo doprawdy...

Nie skończył, bo Bielecka, zanosząc się spazmatycznie płaczem, wyszła z pokoju, a szlochanie jej dochodziło z dziedzińca aż tu do niego.

— Może wielmożny pan pozwoli drugą filiżankę — zapytał cichym głosem Mikołaj, wchodząc na palcach do pokoju.

— Nie! Daj mi pokój, ta baba do śmierci mnie zamęczy... Ale, ale. Mikołaju, jeżeliby dowiadywał się kto od pana hrabiego tu do mnie, to każecie powiedzieć mu, żem do Zienpola do pana Walerego pojechał.

— Słucham, wielmożny panie, ale może doprawdy drugą filiżaneczkę i może jeszcze szynki ukroić...

do Zienpola opętanych pięć mil, prawie sześć — to wielmożny pan na śmierć zgłodnieje.

— No, to dawaj! — odparł udobruchany już Władysław, odsapnął tylko i z apetytem zabrał się do szynki, którą popijał herbatą. Takie już miał usposobienie, że kiedy był w złym humorze, to byle co mogło go do gniewu doprowadzić, gniew ten nie trwał długo i znikał wkrótce, tak, jak topnieje śnieg pod promieniami wiosennego słońca... Słudzy znali go z tej strony i unikali zwykle sposobności rozgniewania go... Nie wszystkim się jednak to udawało, jeden Mikołaj tylko tak poznał swego pana, że nigdy nie zdarzyło się, żeby dał powód do chwilowego choćby gniewu.

Za chwilę dał się słyszeć brzęk dzwonków Władysław wstał, wydał jeszcze kilka rozporządzeń Mikołajowi, polecił mu uważać na Ledę i wyszedł na ganek; dwie śliczne półkrwi, brudno-kasztanowate klacze grzebały niecierpliwie ziemię kopytami i wyrzucały łbami, pobrzękując przytem dzwoneczkami, zawieszonemi na długich, łabędzio wygiętych szyjach; Żorż, przystrojony odświętnie, wkładał właśnie kuferek pod szeroki kozioł lekkiego, węgierskiego wózka. Władysław podszedł nasamprzód do koni, pogładził lewą klacz po szyi, później, zbliżywszy się do wózka, jednym susem znalazł się na koźle, wziął lejce z rąk furmana, cmoknął z cicha i konie w lansadach ruszyły z miejsca...

Stanisław stał obok wózka i kłaniając się machinalnie raz poraz, mówił:

— Szczęśliwej drogi, wielmożnemu panu! Szczęśliwej drogi! Już ja tu wszystkiego dopilnuję.

Nie słyszał jednak słów tych pan Władysław, konie tak z miejsca rwały, że wnet znalazł się za bramą.

Stary kucharz, straciwszy z oczu swego ukochanego panicza, zrobił pobożnym ruchem krzyż w powietrzu w stronę w którą pojechał i spuściwszy głowę, powlókł się do oficyny. Przed oficyną, mieszczącą w sobie kuchnię, piekarnię i inne gospodarskie zakamarki, stała cała gromadka służby, prowadząc ożywioną rozmowę... Kropielnicki tyłem do zbliżającego się Stanisława obrócony, perorował najgłośniej i najzajadlej:

— W tym dworze przyjdzie dalibóg zginąć! Żadnego człowiek poszanowania nie ma, a inni panowie to aż strach jak za mną konkurują. Ot i tej wiosny pan z Browarki, ten Wędzolski. aż trzy razy faktora po mnie przysyłał. Tam i pensja większa i pieniądze zawsze na czas... Sam nie wiem, skąd nasz i tak wziął te pieniądze na żniwa?

W tej chwili stary Stanisław, który już od kilku chwil stał za plecyma Kropielnickiego, niewidziany jednak przez tegoż, chrząknął raptem tak złowrogo, że przestraszony ekonom odrazu przestał mówić i niespokojnie zwrócił się ku staremu.

— A wstydziłbyś się, panie Kropielnicki — przemówił uroczystym głosem kucharz. — Czy ci się tu jaka krzywda dzieje? Przysyłał ten... ten... Wędzolski — było do niego iść. Co do mnie, to wolałbym świniom karmnym kluski kukurudziane gotować, niż u takiego pana służyć... Ale panu Kropielnickiemu nic na tem nie zależy. Co jemu? On może choćby i u żyda służyć... Ale, co ja mówię u żyda? Gdzie u żyda? Ten... ten z Bro-

warki to gorszy jeszcze od żyda. Ja, ja sam pamiętam, jak on trzydzieści lat temu na Wygnance gęsi pasł... a tatunio jego kradł u nieboszczyka pana prezesa, aż się kurzyło. Ale panu Kropielnickiemu wszystko jedno.

Kropielnicki odpowiedział staremu, ten znowu jemu, inni słudzy się wmięszali i zawiązała się kłótnia jeneralna, która potrwała dobre pół godziny; przerwał ją dopiero kozak z Warowiec, który nadjechał konno z listem od hrabiego, dowiedziawszy się jednak, że Władysław wyjechał, listu nie zostawił, tylko konia obrócił i pogalopował z powrotem.

V.

Jasne, żarzące słońce wzniosło się już wysoko nad piękną podolską ziemią.

Władysław, wyjechawszy ze wsi, znalazł się na szerokim, staremi, cienistemi drzewami obsadzonym trakcie, konie mu się uspokoiły, jechał więc równym, wyciągniętym a szalenie szybkim kłusem. Słupy telegraficzne i wierstwowe tylko migały się, dzwonki nie dzwoniły, jeno rozjęczawszy się raz, wydawały jakiś przeciągły, jednostajny melancholijny ton. Podróżni, spotykani na trakcie, z daleka już zobaczywszy ten po warjacku szybko posuwający się ekwipaż, zwracali co prędzej z drogi, zostawiając mu wolne do przejazdu miejsce.

Z obu stron traktu rozciągały się okiem niezmierzone, równe, czarnoziemnie łany, tu i ówdzie zakończone czerniejącym się na skraju horyzontu lasem. Łany te czerwieniły się wysoką, bujną ściernią pszenną, na której stały długie rzędy, nieskończone *staje* — złotych snopów, albo znowu zieleniały szmaragdowym kolorem liści buraczanych, tu i ówdzie widniały ponure, czarne kominy młocarni parowych, przygotowanych już do wkrótce zacząć się mających omłotów tegorocznego zbioru; niektóre z nich nawet zionęły w powietrze gęstymi, czarnymi kłębami dymu.

Pośród łanów tych rysowały się rzadko rozrzucone wsie i folwarki, znacząc swe kontury zielenią drzew ogrodowych i białemi ścianami obszernych gospodarskich budynków.

Dziwny urok posiada ten na pozór jednostajny i monotonny niby krajobraz podolski; tkwi w nim nieprzeparty jakiś czar, przykuwający ludzką pamięć... ludzkie serca. Są ludzie, którzy ukochawszy go, a straciwszy nagle, tęsknią za nim długie lata; tęsknią, choćby mieli przed oczyma najcudniejsze gór widoki, najdziwaczniejsze wybrzeży morskich załomy; tęsknią za czarem, który otacza tę ziemię, krwią bohaterską obficie zlaną; tęsknią za tymi szeptami tajemniczymi, a dla kochającego ucha zrozumiałymi, które po nad role i łąki, po nad jary i pagórki, po nad burzany i kurhany płyną — i do duszy się wciskają, by w niej na długo, długo... do samej śmierci pozostać; tęsknią i więdną duchowo i modlą się skrycie, by przed śmiercią jeszcze na te łany spojrzeć, by do nich powrócić i pod czarną ziemią skołatane serce na wieczny spoczynek złożyć.

Władysław miał w duszy takie same bałwochwalcze przywiązanie do tej ziemi i umiał odczuć całe jej piękno. Nieraz wśród gwaru zabaw i rozrywek gdzieś w dalekiem i ludnem mieście uczuwał nagle tęsknicę straszną za oddechem równin podolskich, zrywał się wówczas gwałtownie, rzucał wszystko, zabawę, gry, nierzadko miłostkę i pędził dzień i noc, bez ustanku, i uspokajał się dopiero wówczas gdy znalazł się wśród tych czarnoziemnych obszarów i odetchnął balzamicznem powietrzem... Przywiązanie to do rodzinnej okolicy ochroniło go od wynarodowienia się... wylatywał

na chwilę z pod strzechy rodzinnej, lecz wrócić do niej musiał, bo nie mógł inaczej.

Konie szły doskonale, najdłużej w trzy kwadranse po wyjeździe z domu ujrzał Władysław bielejące się na pagórku białe ściany żydowskich domostw oddalonego o dwanaście wiorst Rajpola. Na ten widok figlarny uśmiech przeleciał po jego otwartej i wesołej twarzy, zebrał konie krócej na lejce i cmoknąwszy, ruszył jeszcze raźniej pod pagórek i z taką samą szybkością wjechał w szeroką ulicę miasteczka. Gdy mijał najokazalsze domostwo, postać jakaś żydowska, w najstraszniejszym negliżu siedząca na ganku, zerwała się nagle i wołając głośno, dawała mu rękoma jakieś znaki. Siedzący z tyłu obok Hrynia i plecami do pana zwrócony Żorż odwrócił się nagle i pociągnąwszy Władysława za rękaw, szepnął:

— Proszę wielmożnego pana, tam Fiks czegoś tak macha rękami i krzyczy, pewno chce, żeby pan stanęli.

— Niech macha zdrów! — odparł, śmiejąc się Władysław.—Siedź cicho, kiedy ci dobrze i nie ucz mnie rozumu.

— Ta ja myślał, że wielmożny pan nie zajrzeli go... taj przez to...

Nie skończył nawet chłopak, bo ujrzal, że daremnieby się zatrzymywali — Rajpol był już daleko w tyle, a przed nimi widniała znowu wstęga traktu obramowana zielonemi drzewami i złociły się ściernie i piętrzyły szeregi półkopków pszennych.

Po czterech godzinach jazdy zatrzymał Władysław spocone trochę, ale nie zasapane klacze przed gankiem zienpolskiego dworu. Naprzeciw niego wyszedł stary, zgarbiony i jak gołąb siwy

kamerdyner i powiedział mu, że pan dziś rano na kilka dni wyjechał do Kamieńca. Z Zienpola do Kamieńca było jeszcze czterdzieście kilka wiorst, z przyjemnością więc przyjął Władysław propozycję starego sługi, który go namawiał, by kazał konie popaść i sam coś przekąsił i wypoczął.

Dwór w Zienpolu i jego otoczenie miały w swej powierzchowności coś dziwnie poważnego, coś uroczystego prawie; przejeżdżający obok, spoglądając na ten poważny, długi, o dwu bocznych pawilonach budynek, na te dachy kryte od starości zczerniałą dachówką, na te olbrzymie drzewa rozciągającego się w koło parku — musiał koniecznie w duchu się pytać: Kto jest właścicielem tej starożytnej siedziby? Jak ten właściciel wygląda? Co za zacz jest?

Władysław lubił bardzo dom zienpolski, lubił go dla tego może że lubił, raczej kochał prawie jego właściciela. Gdy znalazł się teraz w tych obszernych, z poważną surowością dawnych czasów urządzonych pokojach, stanął mu natychmiast w pamięci sam Walerjan; przypomniał dokładnie, jakie ich stosunki łączyły, i żal mu się zrobiło, że nie zastał go teraz w domu, że stracił sposobność przepędzenia z nim kilka dni sam na sam, jak to sobie układał, na potocznej gawędzie i poważniejszych rozmowach.

Dziwna sympatja wiązała tych dwóch dziś napozór tak różnych od siebie ludzi; wszyscy się jej dziwili i wytłómaczyć jej sobie nie mogli — Władysław, młody wartogłów, hulaka, sportsmen i pędziwiatr, był w serdecznej zażyłości, w najszczerszej przyjaźni z Walerjanem Zienwiczem, człowiekiem o całe dziesięć lat od niego starszym, doskonałym gospodarzem, człowiekiem rachunko-

wym, robiącym majątek, jednem słowem z gwiazdą podolskiego kawalerskiego stanu. Rozwiązanie zagadki leżało w przeszłości Walerjana — przeszłości, o której ludzie zapomnieli już, mieli czas zapomnieć, ale on sam pamiętał ją doskonale.

Lat piętnaście temu Walerjan, młody chłopak podówczas, szalał tak samo, jak szalał dziś Władysław. Popełniał tysiące najstraszniejszych głupstw, od których resztki włosów dębem stawały na łysych głowach poważnych ojców rodzin; matki i ciotki na jego widok przybierały srogie miny i stawały się podobne do kwoczek broniących swych piskląt przed napadem drapieżnego jastrzębia — one broniły córek i siostrzenic przed spojrzeniami czarnych źrenic Walerjana, który miał słusznie zasłużoną opinję najstraszniejszego bałamuta. Pilna ta opieka zwykle nie odnosiła pożądanego skutku — i każda z pań, które były pannami w epoce świetnych szaleństw Zienwicza, bardziej lub mniej skrycie wzdychały do niego; a były i takie, które głośno afiszowały swe uczucia dlań, które szturmem pragnęły zdobyć to niezwyciężone męzkie serce i zapomocą sakramentu przykuć go na wieki do swego głośno bijącego serduszka, a jego właściciela zmienić na człowieka — porządnego, tj. na zwierzę pociągowe dobrze ułożone, do ciągnięcia małżeńskiej bryki...

Zienwicz nie ożenił się, ale i bez tego sakramentu stał się zupełnie porządnym człowiekiem. Mając lat 26 zgrał się raz strasznie w kijowskim klubie; strata ta bardzo znaczna, a jednorazowa uratowała go: oprzytomniał nagle i stał się odrazu porządnym człowiekiem. Przestał grać zupełnie; z sześciu wsi odziedziczonych po rodzicach trzy sprzedał, a przy trzech pozostał i

wkrótce dokazał tego, że te trzy pozostałe dawały mu teraz dwa razy tyle dochodu, ile dawniej wszystkie sześć razem.

Po kilku latach, — jak ongi bały go się wszystkie matki — tak teraz gorąco zapragnęły ujrzeć go mężem swych córek; Zienwicz jednak był nie zdobytym.. Różnie ludzie szeptali i komentowali to uparte stronienie od małżeństwa, tę wierność kawalerskiemu stanowi. Szeptano sobie na ucho o jednej z pań bardzo świetnie urodzonej, która dla majątku wyszła za miljonowo bogatego parwenjusza, ale kochała ponoś i przed ślubem i po ślubie nie męża — a Zienwicza... On sam, zapytywany przez poważniejszych ludzi — dla czego się nie żeni? odpowiadał, uśmiechając się smętnie, że musi jeszcze popracować, aby odkupić sprzedane majątki — i zwykle dodawał jeszcze cichym głosem: nie spotkałem takiej, którąby mi się prawdziwie podobała.

Władysław, wszedłszy do wnętrza domu w Zienpolu, skierował się do czytelni, która sąsiadowała z salą jadalną. Miał zamiar przeczytać ostatnie dzienniki i przejrzeć wspaniałe ilustrowane wydawnictwa z dziedziny sztuki, w której obfitował dom zienpolski.

Usiadł na wygodnej, skórą obitej sofie, lecz nawet do rąk nie wziął żadnego pisma; oczy jego błądziły bezmyślnie po rozwieszonych na ścianach pięknych malowidłach, utworach pendzla polskich artystów. Siedział i marzył, czy rozpamiętywał ubiegłe lata swego życia. Marzycielstwo, do którego w gruncie rzeczy niezbyt był skłonny, opanowało go od wczoraj zupełnie i bezspornie. Siedział zapatrzony w mały obrazek przedstawiający młodą dziewczynkę o rozegzaltowanej twarzy, za-

patrzoną w płonący ogień na kominie. Zwolna jasne oczy wymalowanego na obrazie dziewczęcia zaczęły jakby ciemnieć i wkrótce zdawały mu się być zupełnie czarnemi i włosy nagle poczerniały i cera rumiana zmieniła się na matowo śniadą... Patrzył na obcy obraz, a rozbujała wyobraźnia malowała mu inny, przez niego ukochany, w duszy jego mieszkający, sercem drogi — obraz ukochanej dziewczyny.

— Jadwiga! — zawołał znowu i z gniewem zerwał się z sofy. Przechodząc się po pokoju, szepnął sam do siebie: — Wszędzie ją widzę... Żyć bez niej nie mogę.

Rozmyślania te przerwał mu swem wejściem stary kamerdyner i zapytał: co woli, czy cielęcinę, czy wołowe mięso?

Odpowiedział, że jest mu to zupełnie obojętne. Stary wytresowany sługa poznawszy, że gość nie jest usposobiony do rozmowy, wyszedł natychmiast i Władysław został znowu sam. Lecz raz spłoszony, rozwiany czar nie wraca; na próżno teraz spoglądał na obraz zadumanej dziewczyny— teraz widzi tylko jasne, popielatawe loki i błękitne oczy i buzię rumianą — tamta czarnooka zniknęła. Obrócił się więc w drugą stronę i ujrzał przed sobą portret gospodarza domu dziesięć czy dwanaście lat temu malowany, to jest na kilka lat pierwej, nim poznał go Władysław po raz pierwszy. Portret, malowany przez jednego z mistrzów pendzla, był niesłychanie podobny, artysta potrafił pochwycić nietylko podobieństwo rysów, ale mogło się zdawać, że z obrazu tego przeziera cała dusza człowieka...

Tak patrzył nań Walerjan, gdy po raz pierwszy się spotkali... Tak! Władysław przypomniał

sobie w tej chwili spojrzenie to i wszystkie okoliczności towarzyszące temu zapoznaniu się, wszystkie smutne okoliczności. Pamięta, że był wonczas zaledwie dwudziestoletnim chłopakiem; rodzice odumarli go, zostawiając mu olbrzymią, ale niesłychanie zadłużoną fortunę, interesy trudne i zawikłane potrzebowały niezwłocznego ratunku, zajęcia się niemi; a tu jak na to kurator przez szlachecką opiekę mu naznaczony, dla ulżenia sobie kłopotów, przeprowadził sądownie uznanie go pełnoletnim; pełnoletność ta dogadzała młodzieńczej zarozumiałości, ale była dla majątku bardzo niebezpieczną — wprost szkodliwą. Władysław, stawszy się panem znacznej fortuny i kierownikiem rozległych interesów, skorzystał z pierwszego pretekstu i zaraz pierwszej zimy pojechał do Kijowa na kontrakty, niby w celu załatwienia kilku spraw majątkowych. Lecz przybywszy na miejsce, zamiast interesom, poświęcał czas hulance i hazardownej grze. Był wówczas w Kijowie jeden dom, którego pani pomimo arystokratycznego nazwiska, jakie nosiła, nie wahała się utrzymywać po prostu domu gry. Władysław tam zaczął bywać i grał. Na jego nieszczęście — jak to zwykle u nowicjuszów bywa — wygrywał zrazu dość znaczne sumy. Po tygodniu jednak zgrał się zupełnie, zgrał się do tego stopnia, że przegrał o dwa tysiące rubli więcej, niż miał przy sobie.

Tego samego dnia, w tym samym salonie poznał się z Walerjanem, który nie grał, tylko zdaleka przypatrywał się grze. Władysław przegrawszy wstał od stołu i zbliżył się do otwartego okienka, ażeby zaczerpnąć świeżego powietrza, wówczas podszedł ku niemu Walerjan i zaczął z nim rozmawiać. Dźwięk głosu, sympatyczna twarz,

wreszcie temat rozmowy pociągnął odrazu młodego chłopaka ku znanemu i głośnemu światowcowi, podówczas już sławnemu gospodarzowi. Walerjan mówił mu o jego niedawno zmarłych rodzicach, widocznie cenił ich bardzo, bo słowom jego towarzyszyło dziwne drżenie głosu i zdawało się nawet Władysławowi, że piękne oczy Walerjana pokryła była na chwilę jakaś mgła, niby wzbierająca łza. Chwycił go odrazu za serce i po kwadransie rozmowy nakłonił do opuszczenia tego towarzystwa, pożyczywszy mu przedtem *par force* pieniądze potrzebne na zapłacenie dzisiejszej przegranej.

Wyszli razem i w tydzień później wyjechali razem na Podole. Walerjan stał się duchem opiekuńczym Władysława; pomógł mu do uregulowania interesów; swoim wpływem zrobił to, że Władysław jako tako posprzedawał odleglejsze folwarki, a przy Opolu, wówczas zupełnie czystem, pozostał... Lecz tu koniec. Chociaż przyjaźń zawarta została i nadal w całej swej sile — wpływ jednak wywierany przez Zienwicza na Władysława pierwotnie był przejściowy i ustał z czasem zupełnie. Władysław czuł wdzięczność i serdeczną sympatję dla Zienwicza, ale towarzystwo człowieka oddanego żmudnej pracy nie wystarczało młodemu, wrażeń i rozkoszy żądnemu paniczowi; znalazł inne, które go zaprowadziło na arenę wyścigową. Jedną stałą korzyść wyciągnął Władysław z poznania się z Zienwiczem — przestał raz na zawsze grać w karty..

Dumania te i wspomnienia znowu przerwane zostały wejściem starego kamerdynera, który przyszedł zaprosić go do sali jadalnej dla zjedzenia naprędce przygotowanej przekąski. Wspomnienia

źle jakoś usposobiły apetyt Władysława, wbrew zwyczajowi jadł bardzo mało, wypił tylko szklankę czerwonego wina i monosylabami odpowiadał na uprzejme zapytania staruszka, czującego się w obowiązku bawienia gościa przy stole.

„Pewno albo się kocha, albo pieniędzy nie ma“ — mruknął pod nosem zniechęcony stary i dalej nie wysilał się na grzeczności i pytania.

Wypiwszy filiżankę czarnej kawy, kazał Władysław zaprzęgać, kiedy mu jednak powiedział Żorż, że konie dotychczas zgrzane i obroku nie zjadły, poszedł do gościnnego pokoju i położył się spać. Zmęczony wczorajszą bezsennością znużony wreszcie dzisiejszym upałem i pospieszną jazdą, zasnął odrazu twardym snem i byłby spał do rana, gdyby nie to, że Żorż — wiedząc o tem iż mają jechać do Kamieńca — zbudził go koło piątej godziny. Pogderawszy trochę na chłopaka, że go za późno obudził, choć w gruncie rzeczy rad, że się wyspał i odpoczął, raźny i w dobrym już humorze siadł na wózek i pojechał dalej.

Zienpol leżał zaledwie o kilka wiorst od traktu wkrótce więc znalazł się na nim znowu; był więc spokojny, że choćby się i sciemniło zupełnie, to dojedzie bez przypadku do Kamieńca, droga bowiem była sucha i utarta dostatecznie. Słońce, które świeciło mu rano z lewej strony, spoglądało teraz z prawej, rzucając coraz bardziej ukośne promienie. Droga taka sama szeroka i prosta nie przecinała teraz równin, ale ustawicznie pięła się pod górę, a po obu jej stronach wznosiły się strome pasma pagórków to lasem pokrytych, to znowu sterczących olbrzymiemi, dziwacznie spiętrzonemi przyskałkami z szarego wapienia — to pasmo gór Toutrami zwane.

Z powodu dość stromo w górę wznoszącej się drogi, musiał jechać wolniej, miejscami stępo nawet, ale konie zmęczone poranną szaloną jazdą nie rwały się teraz i szły zupełnie spokojnie. Wreszcie znalazł się na samym grzbiecie tego skalistego odłamu Karpat. Przed jego oczami odsłonił się cudowny widok, a chociaż tyle razy widział go i podziwiał, to jednak i dziś zatrzymał zasapane konie, by trochę wytchnęły, a sam patrzył przed siebie.

Od stóp jego rozciągała się łagodna spadzistość—coraz niżej, niżej aż do końca widnokręgu. W purpurowych, jaskrawych promieniach prawie już całkiem chowającego się za czerczecki las słońca, na lewo widniały zabarwione na różowo białe mury etapu*) nihińskiego, a z po za nich wyzierały słomiane strzechy wiejskich chatek i budynki pocztowej stacji na prawo zaś rozciągał się łańcuch gór ciągnący się równolegle prawie z pocztową drogą; ku południowi na stokach gór wznosiły się tu i ówdzie fantastyczne budowle, które wola bujną wyobraźnią obdarzonego magnata porozrzucała bezładnie po to, by uchodziły w oczach podróżnych za ruiny feudalnych zamków; wprost przed sobą, w dwudziestopięcio-wiorstwowej odległości mógł dojrzeć, mgłę szarą zasnutą, potężną masą szarych i białych kamieni, to ściany budynków, to turma kamieniecka... To sam Kamieniec. A między nim a Kamieńcem sfalowana, ku południowi pochylona równina, pełna zżętego zboża, pełna ruchu pracującej ludności, urozmaicona tu

*) Etap, więzienie przy traktach pocztowych, gdzie nocują więźniowie prowadzeni na Syberję.

i ówdzie kominem lokomobili, ziejącym czarnemi kłębami dymu.

Czar jakiś wspomnień historycznych, tradycji rycerskiej unosił się nad równiną tą, zlaną tylekrotnie krwią bohaterską i na jej widok w umyśle Władysława zrodziły się dziwne myśli, przypominał sobie wiele to razy rycerstwo polskie swą mężną piersią odpierało tu nawałę azjatycką; wiele krwi szlachetnej wsiąkło w tę czarną tłustą ziemię, wiele szabel poszczerbionych w niej po dziś dzień spoczywa... I zdawało mu się, że widzi potężne chorągwie pancerne z szumem skrzydeł husarskich, z szelestem jedwabnych proporców, pędzące jak huragan, łamiące przed sobą niezmierzone okiem zastępy, druzgocące potęgę Islamu.

Łagodne dotknięcie ręki Hrynia wyrwało go z tego upojenia.

— Jedźmy panie! — prosił milczący zazwyczaj woźnica — noc się robi, będzie bardzo ciemno, księżyca z wieczora nie widać.

Przetarł oczy, westchnął i szepnął z cicha:
— Sen... Sen rozwiany raz na zawsze, bezpowrotnie! — i ruszył dalej. W Nizinie słońce mu zaszło zupełnie, a na „trójkącie“, koło karczmy tę nazwę noszącej, o pięć wiorst od miasta odległej, zrobiło się tak ciemno, że nic prawie nie widział przed sobą, zwolnił więc koniom i jechał lekkim truchcikiem...

Minął wreszcie cmentarz, na prawo zostały mu białe mury „turmy“ i wózek wtoczył się na bruk, przejeżdżał teraz przez „polskie folwarki“ ku nowemu mostowi.

Z wyniosłości tej widział całe miasto jak na dłoni. Wśród czarnej nocy jaskrawo odbijały się

tysiące świateł rozrzuconych po stoczystościach nadsmotryckich skał.

Stanął i kazał Żorżowi zdjąć dzwonki z końskich szyi i znowu zatopił się w podziwie nad cudownem połączeniem piękna przyrody z dziełem rąk ludzkich. Gdy ruszył dalej, to jechał już ciągle stępo. Na nowym bulwarze odbywał się jakiś festyn ludowy; różnokolorowe lampiony oświetlały cały na stoku góry roztaczający się ogród, a ognie sztuczne i rakiety co chwila wznosiły się w powietrze, ażeby stamtąd spadać deszczem jarzących iskier.

Na moście ujrzał całe koryto w koło otaczającej miasto rzeki Smotrycza. Skaliste jej brzegi oświetlone były światełkami przedzierającemi się z okienek domków ubogiej nadrzecznej ludności, które schodziły aż do samych brzegów szerokiego strumienia. On znajdował się o jakie 200 stóp nad niemi...

Most się skończył i czar prysł. O dwieście kroków za mostem wjechał w wąską bramę hotelu „Belle Vue“. Szwajcar zadzwonił, usłużny Michel „miszures“ zjawił się i pospieszył podać mu rękę przy wysiadaniu.

— Czy pan Zienwicz jest? — zapytał „miszuresa“.

— Jest, proszę jaśnie pana — odparł żyd — pod trzecim numerem, ale teraz wyszedł do doktora Holego.

— Masz wolny numer?

— Jest, siedmnasty! — i ruszył żyd na schody, Władysław poszedł za nim.

VI.

Żorż znosił tłumoczki chłopak hotelowy przyniósł i zapalił świecę, a Władysław tymczasem siedział na fotelu i przysłuchiwał się relacjom Mechla.

— Chwała Bogu, co jaśnie pan przyjechał — mówił, cmokając ustami na znak zadowolnienia. — Nieuroku mamy teraz państwa dość, cała „gościnnica“ [1]) pełna, ten jeden numer tylko wolny, niby umyślnie dla jasnego pana się został.

— Któż tu jest? — pytał Władysław.

— Kogo tu nie ma? — odparł z dumą żyd. — Jest stary hrabia Sępiński, jest pan Wales z Zienpola, jest pan Ignac Ursyński.

— No, że ten jest, to nic dziwnego, on podobno od was już nigdy nie wyjeżdża, zdaje się, że tu stale mieszka. Któż jest więcej?

— Kogo tu nie ma? Jest pan Wicio, pan Dolko, pan Oleś, jest pan Edmund Mekieciński... on stoi pod drugim numerem, zaraz koło pana hrabiego, tam dziś u niego całe popołudnie grali w karty i wczoraj grali... Pan Ignaś wygrał od samego pana Edmunda tysiąc dwieście rubli. Nu, i teraz on pan, będzie sprawiał dziś u nas w re-

---

[1]) Hotel, zajezdny dom.

stauracji użyn[1]) dla tej Licharowej... Pst! Jaśnie panie, to właśnie pan Ignaś idzie, musiał zobaczyć pańskie konie i idzie się zwitać.

W tej chwili rozległy się z pierwszego pokoju słowa wymówione dźwięcznym, doniosłym głosem:

— Hej, Żorż! Jest twój pan w domu?

Władysław wstał i podszedł ku nowoprzybyłemu.

— Jak się masz Ignaś dawno tu siedzisz?

— Ah! wieki już, mam bardzo ważne interesy — tu obejrzał się w koło i ujrzawszy Mechla, zwrócił się do niego: — Mechel! Nie masz czego tu siedzieć, lepiej idź do „huńskiej krynicy“, tam, za most, siądź nad wodą i proś Pana Boga, żeby dał zdrowie rabinowi sadogórskiemu, miałem dziś telegram od jego sekretarza, że rabin bardzo chory.

— Nu! jaśnie panie, po co to nawet powiedzieć takie słowo? — odparł urażonym głosem żyd. — Po co takie żarty? Lepiej powiedzieć: idź Mechel, bo my mamy pogadać i Mechel pójdzie—to mówiąc wyniósł się na korytarz.

— Władek! — zawołał Ignacy, śmiejąc się wesoło z żydowskiej jeremiady i obrażonej miny miszuresa. — Władek, nie mogłeś nic lepszego zrobić, jak dziś tu przyjechać. Wyobraź sobie, że muszę dziś zaprosić na kolację tego nudnego *sowietnika* [2]) z okręgowego sądu, Licharowa w dodatku ponoś będzie i jego żona.. No, wiesz ta, Ekatierina Timofiejewna... Nudy, powiadam ci, nudy okropne. Dla sprawy, którą mam u tego starego, musiałem

---

[1]) Kolację.

[2]) Radzca.

im tę kolację urządzić, ale truchlałem, co pocznę. Z samym Licharowem, to jeszcze pół biedy, dałbym był sobie radę, ale co zrobić z jejmością?... Dobra gwiazda cię tu przywiodła, przyjdź o dziesiątej do gabinetu w restauracji i zjedz z nami kolację.

— Pi! pi! Jakiś mądry — odparł, śmiejąc się Władysław. — Umizgasz się do Licharowej, a ja mam ci za parawan służyć i starego sowietnika bawić... *Pas si bête!* Radź sobie sam.

Ignacy, słuchając słów tych, przybrał arcykomiczną minę, która miała oznaczać gniew i oburzenie i patetycznym głosem odrzekł:

— I ty Władku już przyłączyłeś się do ogólnego chóru potwarców!... Więc i w twojem przekonaniu niczem nie jest rzucić plamę na cześć niewieścią.. To mnie smuci, to mnie boli!... Mów sobie jednak co chcesz, a ja ci głośno powiem i powtórzę przy wszystkich, że — Licharowa jest bez zarzutu... Cienia najmniejszego nie ma na jej sławie... I to mówi ci człowiek, który ma w tym względzie pewne wiadomości, przecież w mieście nazywają mnie — księgą hipoteczną niewieściej cnoty.

— Wierzę! wierzę! wierzę! — przerwał mu Władysław. — Nawet z ochotą-bym przyszedł na twoję kolację, gdyby nie to, że przyjechałem umyślnie po to, żeby się z Walerym zobaczyć i nie mam czasu na kolacyjki... Muszę iść Zienwicza szukać.

— Możesz go szukać do jutra rana... Idź! idź szukaj! Nie znajdziesz go z pewnością. Ja wiem, gdzie Walery, jeżeli pójdziesz na kolację, to ci powiem.

— Wiem ja i sam.. poszedł do Holego.

— Otóż nie wiesz! Prawda, że poszedł do Holego, ale go tam nie ma, bo oni obaj, zabrawszy jeszcze starego Sępa, pojechali do Zielonej. Dziś Eustachego imieniny, wrócą dopiero nad ranem... Możesz więc przyjść na kolację. Liczę na ciebie i do widzenia!

— Zobaczę — odrzekł mu Władysław.

Ignacy podał mu rękę na pożegnanie i wyszedł natychmiast. Zaraz po wyjściu Ursyńskiego wcisnął się znowu do pokoju Mechel.

— Jaki to *umny* człowiek ten pan Ignac — mówił konfidencjonalnie żyd. — Taki umny, co aż strach. Nikt tak „dzieła“ nie rozbierze, jak on i wszędzie sobie da radę... Nasze żydki bardzo na niego odkazują i rajpolskie i zalesieckie mają na niego *ispołnitelny listy* [1]... To i co z tego, on do sprzedaży nie dopuści.. Naznaczą na ten dzień, on sobie żartuje, przychodzi naznaczony dzień, a on z *bumagą* [2]) się jawi i powiada *Sudiebnemu prystawu*: *Astanawitie prodażu po takoj to a takoj priczinie* [3]). A jaśnie pan wie, co on wszystko przez te... *żenszczyny* [4]) robi. Jemu wszystko jedno: Licharowa, Farcucowa, Olgina, on ich wszystkie zna, a jak ma *dzieło*, to do nich i one za nim proszą i zawsze zrobią.

— Cóż żydki na to? — zapytał Władysław.

---

[1]) Wyrok sądowy, nakazujący zaplacenie długu i dający wierzycielowi prawo sprzedaży ruchomości dłużnika.

[2]) Papier.

[3]) Powiada komornikowi: — Proszę zaniechać sprzedaży z takiego to a takiego powodu.

[4]) Kobiety.

— Co? Płaczą! On tu stoi w piątym numerze, to cały przedpokój zawsze pełny i w *koridorze* jest ich *propast'* [1]... A ten jego lokaj, ten Justyn, to im tylko herbatę nalewa i prosi: niech pan kupiec się napije... a ten jego faktor Berko ciągle im mówi: Sza! sza! Wszystkim im będzie zapłacone, tylko jaśnie pan z banku weźmie pieniądze. Oni durnie czekają bo co mają robić.. Chyba się ożeni, to im odda, inaczej to *ferfał!*

Opowiadanie żyda, chociaż komicznie, nie wywołało uśmiechu na usta Władysława; znał on smutne interesy Ignacego, ale też wiedział z doświadczenia, że nie jest to zbyt trudno wpaść w podobne tarapaty, wczorajsze przejście z Fiksem wiele go nauczyło i nie pozwalało mu żartować z kłopotów sąsiada.

— Niech oni mu tak nie dokuczają — po chwilowem milczeniu przemówił do żyda — to dobry i uczciwy człowiek, jak mu trochę pofolgują, to on im odda.

— Ni! nie odda on im, bo nie ma na tyle, a tak co udrą, to ich... Przynajmniej herbaty się ponapijają.

— No, ruszaj Michel, bo muszę się przebrać — powiedział do żyda i zawołał na chłopaka: — Żorż! Daj-no mi granatowy garnitur.

W pięć minut później wyszedł z pokoju. Na dziedzińcu skierował się nasamprzód do stajni, obejrzał konie, które Hryń wycierał słomianemi wiechciami Dał Hryniowi kilka rubli na obrok dla koni i „strawne“ dla niego i Żorża i poszedł ku bramie wjazdowej. Przed bramą zatrzymał się jednak, namyślając się: — co ma z sobą zrobić?

[1]) Mnóstwo.

gdzie pójść? Na zegarze miejskim było właśnie pół do dziewiątej, miał półtorej godziny czasu. Namyślając się, stanął przed bramą, tuż obok schodów, prowadzących do restauracji. W tej chwili rozległo się na ulicy głośne palenie z bata i jakiś powóz zaprzężony czterema ogromnymi skarogniadymi końmi wtłoczył się na dziedziniec; konie były okrutnie zgonione, para z nich buchała i sapały tak, że o sto kroków można było słyszeć.

— Karlos! — zawołał Władysław, podbiegając do drzwiczek powozu. — Skąd się tu wziąłeś?

— Cóż to ty myślisz, że tylko tobie wolno nawiedzać naszę stolicę — odrzekł hrabia Karol, wysiadając z powozu — W domu wytrzymać nie mogę! *Je m'ennuie, je m'assomme, et... je m'embete!..* Posłałem dziś rano do ciebie z listem posłaniec nie zastał cię już w domu, powiedziano mu, żeś do Zienwicza popędził. Nudziłem się w domu szatańsko; wymyśliłem więc sobie jakiś interes do Walera i od rodzicieli otrzymałem pozwolenie wyjazdu... Waler jest w łaskach, każą go naśladować... Przyjeżdżam tam, powiada mi ta jego mumia stara, żeś był, ale nie zastawszy pana w domu, pogrzmiałeś za nim do Kamieńca... Cóż robić? Powiadam do Jakowa: Grzmij i ty! No i dociągnęliśmy się, choć nie wiem, czy zacne papuńciowe dromadery nie przypłacą tego życiem, lub co najmniej cnem zdrowiem.

— Powinienbyś sobie inne konie kupić, a te zostawić, niechby tam wujostwa do kościoła woziły.

— *C'est facile à dire* — odparł, krzywiąc się hrabia. — Wiesz doskonale, że znalazłbym mamonę na kupienie, ale cóżbym z niemi robił? Chyba bym u księdza gdzieś w tajemnicy trzymał. *Tu est heureux toi!* Choć twoje Opole trzeszczy pod

naporem żydowskich wierzycieli, choć długów tych masz po same uszy, choć wkrótce zaczniesz wieść Ursynowski żywot. .

Nie dokończył mówić, bo w tejże chwili w bramę hotelu wpadła jak bomba bryczka zaprzężona w poręcz czterma stepowymi mierzynami, na szyjach wszystkich czterech koni wisiały ogromne grelety, wydające głuchy, ponury dźwięk.

— Jaś! Jasiek! Słowo daję! — zawołał pierwszy hrabia. — Co cię tu przygnało? Ale nasamprzód każ poodczepiać te bałabony, bo cię na policję wezmą, wiesz, że nie wolno z dzwonami i brzękadłami po mieście uganiać.

— Co mi zrobią? — odpowiedział, zeskazując z bałagulskiego małego wózka Jaś. — Czterech *stójkowych* [1]) leciało za mną, ale niech spróbują zatrzymać mi konie, kary doniec na lewym orczyku stratowałby cały bataljon, a nie tam dopiero kilku policjantów... No! Jak się macie?

— Dobrze! dobrze! — odrzekł mu Władysław trochę kwaśnym głosem. — Powiedz-że nam, co cię tu przygnało? Boję się że rodzice Karlosa i twój ojciec będą narzekać, że ja was do miasteczka wyciągam, do włóczęgi zaprawiam. Po co przyjechałeś?

— Powiem ci prawdę — mówił głosem, naśladującym nosowy sposób wymowy hrabiego Karola — nudzę się w domu. *Je m'ennuie, je m'assomme, je m'embete*!

Obaj słuchacze parsknęli głośnym śmiechem.

— I ostatnie to nie trudne — wtrącił złośliwie hrabia.

---

[1]) Policjant.

— Czegóż się śmiejecie? — zapytał, patrząc na nich zdziwionym wzrokiem, nie wiedział nawet, że był śmieszny; naśladował hrabiego bezwiednie zupełnie.

— No, nic! Gadaj dalej — przestając śmiać się, rzekł Władysław.

— Pojechałem do Karola, tam powiedziano mi, że on wyjechał do Zienpola, a że już oddawna wybierałem się do pana Walerego, więc podążyłem za Karolem. W Zienpolu powiedziano mi, że wszyscy jesteście w Kamieńcu, więc przyjechałem za wami aż tu.. Dynyś! — zawołał, zwracając się do furmana, który stał jeszcze z końmi u podjazdu. — Wyprzęgaj konie, nogi wysmarować kamforowym spirytusem, obrok dopiero po północy, a sam się nie upij. bo... bo... bo..

— Bo co? — zapytał, śmiejąc się hrabia.

— Bo kości-bym mu połamał...

— Pewno już nie miałby ani jednej całej, gdybyś był słowny i spełniał swe przyrzeczenia — szepnął przez zęby Władysław. — Ale gdzie się tu pomieścicie? — dodał po chwili — w całym hotelu nie ma już żadnego wolnego numeru.

— Jest! jest! — zawołał, jak z pod ziemi zjawiający się Mechel — dla pana hrabie zawsze musi być numer... Nawet nie przystojno-by było, ażeby taki pan, taki hrabia gdzieindziej zajechał... nie do *Bel-wi.*

— Czegożeś mi mówił. że już nie macie numeru, że mój ostatni? — zapytał gniewnie Władysław. — Po co kłamiesz?

— No, tak sobie... To tak ładnie powiedzieć: Dla jaśnie pana ostatni numer się daje.

Rozmawiając, stali ciągle na ganku prowadzącym do restauracji i do numerów, mieszczą-

cych się w środkowym budynku. Nagle ze schodów prowadzących z pierwszego piętra rozległa się wesoło nucona francuska piosnka i w ślad za nią zbiegł po schodach zgrabny, ładny chłopak. Młody był bardzo, nie miał więcej jak dwadzieścia lat; twarz miał owalną, usta wiecznie uśmiechnięte, a oczy nawet teraz w świetle latarni świeciły dziwnie mocnym blaskiem

— Ha! ha! Sowy! Klub nietoperzy! — zawołał nowoprzybyły, poprawiając małej, wojskowej czapeczki, tkwiącej mu na czubku głowy i puszczając z rąk końce płaszcza, który miał zarzucony na ramiona. — Słowo daję, cały klub! Władzio, Karol i ty... ty... rezerwo nietoperzy, z mądrych najmędrszy Mądrowski... Czołem wam!

— Jak się masz Wiciu! — wyrwało się powitanie z wszystkich trzech piersi.

— Dobrze! dobrze! — mówił narwany Wicio dalej. — A miałbym się jeszcze lepiej, gdybym był sam do tej naszej dziury przyjechał... Ale nie udało mi się, jest ze mną stary sęp, mój papuś — mówił, wydymając dolną wargę — hrabia Sępiński... chytry starzec, znany całemu światu. Dziś chwała Bogu, pojechał sobie gdzieś z tym nudnym Zienwiczem i doktorem na jakieś nudne imieniny do jakiegoś nudnego szlachcica. Korzystając z tego ja z Dolkiem urządzamy wielkie przyjęcie dla artystek miejscowego teatru — mówił z przesadną komiczną powagą. — Oprócz primadonny będą trzy pierwszorzędne artystki i komik naszej sceny. No, chodźcie do teatru. Dolko tam już jest, ja spóźniłem się bo zaspałem... No chodźcie!

— No, to chodźmy! — zawołał hrabia Karol, któremu uśmiechać się zaczęła pohulanka z prowincjonalnemi aktorkami.

— Ja nie mogę iść do teatru — wtrącił Władysław — obiecałem Ignasiowi, że przyjdę na kolację, którą on wyprawia dla Licharowych.

— Dla Licharowej, chcesz powiedzieć — przerwał mu Wicio — *une superbe femme*... Ignaś się ponoś do niej zaleca.

— Wypchaj się razem z twoim Ignasiem i Licharową — zwracając się do Władysława, krzyknął prawie Karol. — Co ciebie zawsze ciągnie do takich sznapautów jak ten Ignaś? *Tu es complètement fou*!... Zaprosił cię na kolację później on z babą pojedzie, a ty będziesz musiał za trufle i szampan płacić.

— Przestań Karolu! cicho! Ludzie słuchają, nie wypada tak głośno krzyczeć. Doprawdy, że ten Ignaś nie jest złym chłopcem. Zresztą obiecałem mu, muszę zostać.

— Zostań! zostań z nimi na kolacji — wmięszał się do rozmowy Wicio — a jak skończycie, to przyjdź do teatru, albo my po ciebie tu wstąpimy. Nasza uczta u Wróbla, drugi pokój na prawo. Kazałem przywieźć wspaniały bukiet... No, chodźcie, dziewiąta już bije, nasze diwy muszą się niepokoić, że mnie nie ma.

Nasunął czapkę bez daszku na czoło i pogwizdując arję z „Barona cygańskiego“ poszedł naprzód, Karol i Jaś, tak jak zleźli z wózka, nie przebrawszy się nawet, poszli za nim. Władysław zaś poszedł przez most na nowy bulwar przejść się trochę i równo z uderzeniem dziesiątej godziny znalazł się w bilardowej sali restauracji hotelu „Belle-Vue“.

— Jaśnie pan Ursyński czeka już na jaśnie pana w gabinecie — wygłosił uroczyście przyodziany w załojony frak pierwszy garson restau-

racji — proszę jaśnie pana za mną i wskazał mu drzwi na prawo.

— Bardzo ci dziękuję, żeś dotrzymał słowa — powiedział Ursyński, wyciągając do Władysława rękę na powitanie. — Licharowych tylko co nie widać. Kazałem im zrobić: szterleta odgotowanego tylko z masłem i kartofelkami, po angielsku, rostbef, przepiórki i kompot ananasowy. Nic lepszego tu nie dostanie. Wino sam wybrałem u Kulczyckiego. Mumm, dobrej marki.. No, jak ci się to wydaje, nie zła kolacja?

— Doskonała! — odparł machinalnie Władysław.

— Możebyśmy się wódki napili nim oni przyjdą? Widocznie jesteś zmęczony drogą, to cię pokrzepi — dodał Ursyński, spoglądając na Władysława, który w rzeczy samej miał kwaśną minę i zdawał się być znużony.

— Dobrze, napiję się! Chodź do bufetu — i wyszli obaj do bilardowej sali.

Lecz zaledwie zdołali wypić po kieliszku koniaku, wpadł służący z doniesieniem, że przyjechał pan sowietnik z żoną. Ignacy wybiegł na przeciwko nowoprzybyłych i za chwilę wprowadził do restauracji słuszną, bardzo przystojną szatynkę, za nimi postępował z opuszczoną głową niski, potulny małżonek Ekatieryny Timofiejewny, szanowny Porfiryj Wasilewicz. Władysław w ślad za tą procesją udał się do gabinetu. Dwóch dragońskich junkrów[1]) grających w bilar, spojrzeli rozciekawionemi oczami na Ignacego i Licharową i poszeptawszy coś z lokajem, przypieczętowali rozmowę dosadną klątwą.

---

[1]) Kandydaci na oficerów.

W gabinecie Ursyński przedstawił Kierbicza pani Licharowej, jako swego najlepszego przyjaciela, i zajął się wyłącznie poważnym sowietnikiem, który jadł za trzech i odpowiadał monosylabami. Pani za to z ożywieniem rozmawiała z Władysławem. Rozmowa toczyła się po rosyjsku; Licharowa była patrjotką, należała do sławianofilów i nie lubiła mieszania do rozmowy francuszczyzny.

Wkrótce pod wpływem hojnie dolewanego przez Ursyńskiego szampańskiego wina i pod ogniem zalotnych spojrzeń pięknej kobiety, zły humor Władysława znikł zupełnie, rozbawił się, ożywił; zaczął sypać dowcipami, tak, że aż Ignacy kilka razy rzucił nań zaniepokojone spojrzenie. Ekatieryna Timofiejewna z coraz większym zajęciem zaczynała się przysłuchiwać rozmowie młodego Polaka; urok zaś jej piękności działał upajająco na zmysłową naturę Władysława. Jasno różowa suknia, ubrana przejrzystemi koronkami, pozwalała podziwiać ciekawym oczom młodego człowieka cały, cudownie piękny, śnieżnie biały biust młodej kobiety; krótkie rękawy odsłaniały piękne jej łokcie aż po ramiona... W zapale ożywionej rozmowy delikatna i drobna ta ręka niejednokrotnie spoczęła na ręce sąsiada i czuł on wówczas, jak szalone prądy wrzącej krwi przepływały mu przez cały organizm, a w ślad za niemi przychodził dreszcz jakiś rozkoszny, nieokreślony... Spojrzał śmiałem, wyzywającem, pożądliwem wzrokiem wprost w oczy tej rozkosznej kobiety; ona odpowiedziała mu takiem samem, może jeszcze bardziej wyzywającem spojrzeniem, a usta jej rozchyliły się na pół ironicznym, na pół lubieżnym uśmiechem.

— Zdrowie wasze, piękna pani! — szepnął nachylając się prawie aż do jej piersi Władysław i jednym haustem wychylił szklankę perlącego się płynu.

Licharow był tak zajęty rozmową z Ursyńskim, że nie zauważył hołdu, jaki Władysław złożył jego żonie.

— Przyjmuję i dziękuję! — odpowiedziała, usuwając się trochę Licharowa i wypróżniła również kieliszek szampańskiego. — To za zdrówie polskiej młodzieży!.. Czy pan lubisz Rosjan? — zapytała go po chwili, uśmiechając się zalotnie i znowu zbliżając się doń wyzywająco.

— Jak jakich? — odparł, pożerając ją wzrokiem—są między nimi tacy... to jest są takie, które lubię, lubię, lubię strasznie.

— Sza! — szepnęła, kładąc mały, różowy palec na ustach i równocześnie oczami wskazała na Licharowa, zajętego rozmową z Ignacym. — Pan jesteś najczystszej wody Polakiem, lekkomyślnym i nieopatrznym... ale przyjemnym.. Panie, tam mój mąż siedzi, a pan w jego obecności robisz mi najwyraźniejsze wyznanie miłości.. Cha! cha! — zaśmiała się swobodnie. — Przebaczę to panu, tak dużo wina wypiłeś... Ja-bo bardzo lubię Polaków — dodała po chwilowym milczeniu — są tacy rycerscy, tacy uprzejmi, czuli... Ja was lubię, lecz was żałuję... Macie coś w sobie z tych średniowiecznych trubadurów, którzy to od uczty, od uścisków kochanki, z pieśnią wesołą na ustach, ciągnęli na bisurmana i tam ginęli, w walce za wiarę... — Tu rzuciła płomienne spojrzenie w stronę herkulesowej postaci Ignacego.— Spójrz pan tylko na niego — mówiła dalej — na Ignacego Francowicza. Kształtami ciała i rysami twarzy przypo-

mina Jowisza kapitolińskiego; jest tak piękny i dobry, że nie ma kobiety na świecie, któraby go nie pokochała... Pan wiesz dobrze, że i ja go teraz kocham — dodała, spoglądając mu śmiało w oczy — a jednak to nie mężczyzna — to słaba, tkliwa kobieta. I wy... wy Polacy wszyscyścy tacy... Ach, jakbym pragnęła choć raz w życiu spotkać prawdziwego mężczyznę.

I ręka jej w tej chwili spoczęła w dłoni Władysława, który rozmarzony wypitem winem, do szaleństwa doprowadzony zmysłowemi spojrzeniami tej kobiety, ściskał tę rękę i pieścił namiętnie.

— Są na świecie mężczyźni... są! — szeptał jej do ucha.

— Pan będziesz u nas... Nieprawdaż? — odpowiedziała mu, niby zaczynając nową rozmowę. — Ja nudzę się w domu. Mój mąż albo w sądzie, albo w klubie siedzi... Ignacy tak rzadko przyjeżdża..

Kolacja skończyła się już była; poważny sowietnik sprzątnął dwa talerzyki kompotu, chwaląc świeżość i zapach ananasów, wypił filiżaneczkę kawy, wlał na nią dwa kieliszki likworu, zapalił hawańskie cygaro i wstając, zawołał rozweselonym głosem:

— *Spasibo! Ignatii Francowicz!* Doskonała kolacyjka, pan to umiesz urządzać. Sprawa ta, o której mówiliście mi — zrobi się... No, Ekaterina Timofiejewna, czas do domu, odprowadzę was, a sam muszę skoczyć jeszcze na minutkę do klubu, zobaczyć się z prokuratorem w sprawie Ignatija Francowicza. Jutro będzie się ona rozbierać w sądzie. Bardzo rad jestem, żem pana poznał — dodał, zwracając się do Kierbicza — jeżeli jaka sprawa

w sądzie się trafi, proszę do mnie... *Abdiełajem* [1])...

Wszyscy zaczęli szukać kapeluszy, Ignacy okrył Licharowę szeroką rotundą, podał jej ramię i w tym samym porządku co pierwej wyszli wszyscy z restauracji.

— Jutro podaj mi rachunek — szepnął przez zęby Ursyński do kłaniającego mu się nisko lokaja. — Powiedz kucharzowi, że przepiórki zanadto było czuć, bardzo już nieświeże.

Przed gankiem restauracji czekał fiakier. Licharowa, nim wsiadła do powozu, zwróciła się jeszcze do Władysława i uścisnąwszy mu rękę, szepnęła czule:

— Nieprawdaż, że jeszcze pana zobaczę. Przyjdź pan koniecznie! Zawsze koło czwartej jestem w domu. Pana przyjmę i wcześniej.

Powiedziawszy to, lekko wskoczyła do powozu.

— *Do swidanija, monsieur Kierbicz!* — zawołała wesoło z powozu już. — *Ignatii Francowicz zanimajtie wasze mieste* [2]) — i rozkazującym ruchem ręki wskazała mu, by usiadł obok niej w powozie. — *Porfiryj Wasilewicz saditicś na kozły* [3]).

Ursyński, zanim zadość uczynił uprzejmym zaprosinom Licharowej, miał czas jeszcze szepnąć do ucha Władysławowi:

— A co, prawda, że szyk kobietka, jeżeli ci się podobała, to ci ją mogę odstąpić, ale aż za mie-

---

[1]) Obrobimy, załatwimy.
[2]) Zajmij pan swoje miejsce.
[3]) Siadaj pan na kozioł.

siąc, teraz mi jeszcze koniecznie potrzebna, bo bez niej nie poradziłbym sobie z tym jej mężem, który jest *bruta bestja.*

Ścisnął mu rękę i wskoczył do powozu i za chwilę Licharowa, Licharow i Ursyński znikli z oczu Władysława, który stał jeszcze na ganku, zadumany jakiś i niezdecydowany, co robić dalej.

VII.

Po pewnym czasie do uszu Władysława doleciał turkot kilku dorożek przejeżdżających pospiesznie obok hotelu, jedna z nich najwyraźniej zatrzymała się przed bramą i wkrótce rozległ się pytający głos hrabiego Karola:

— Szwajcar! Nie wiecie, czy pan Kierbicz nie wyszedł do miasta?

— Nie, proszę jaśnie pana! Zdaje mi się, że jest jeszcze w restauracji; wiem, że jadł kolację z panem Ursyńskim, ale ci państwo, co z nimi byli, już pojechali.

— Czego chcesz, Karolu? — odezwał się Władysław do zbliżającego się w ciemności hrabiego.

— Ah! ty tu! Chodź do Wróbla! Powiadam ci, heca babilońska, doskonała zabawa... Byłem za kulisami... Powiadam ci jest tam Ladowa *c'est une fille superbe*, *de petite mains*, *blanche*... Powiadam ci *j'en suis fou*. Chodź! chodź! Cała ta hałastra pojechała już do Wróbla. Jaś, powiadam ci, *amuroso* robi okropnie czułe oczy do Ladowej, a ona mu pantoflem nos obciera... Chodź, Władek!...

— Jakoś nie mam ochoty — odparł powoli Władysław — zdaje mi się, że mam na dziś dość tych kombinowanych uczt. Nudzi mnie to!

— Eh! jesteś zabawny. Czy może boisz się złamać wiarę dla... dla *mademoiselle* .. *chose*... aha panny Jadwigi? No, Władek, nie daj się wyśmiać! Chodź! Powiadam ci pyszna zabawa, nigdy się u Sitowej tak nie bawiłem. Jest ich cztery, jedna lepsza od drugiej. Chodź! wszyscy czekają.

Wziął jego rękę pod ramię i wyprowadził go z hotelu — za kilka chwil znaleźli się w pobliskiej restauracji „Victoria,“ utrzymywanej przez Wróblewskiego vulgo Wróbla.

Sam gospodarz wyszedł na ich spotkanie i kłaniając się do ziemi przeprowadził ich do osobnego pokoju zajętego już przez rozbawioną młodzież i aktorki. Był to najwspanialszy pokój w całej restauracji, przeznaczony na przyjęcia polskiej szlachty. Na ścianach wisiały sztychy i olejne reprodukcje. Najbardziej zwracała na siebie uwagę widza duża, jaskrawa kopia obrazu Kossaka: „Sobieski pod Wiedniem“, mniej w oczy bijące staloryty z obrazów Matejki kryły się w cieniu. Na środku pokoju stał wspaniale nakryty, kwiatami przystrojony stół, na którym nie tknięto jeszcze nakryć. Całe wesołe grono rozsiadło się na obszernej sofie, stojącej pod ścianą w poprzek pokoju, lub biegało, goniąc się naokoło stołu.

Wicek Sępiński porozpinał huzarski mundur, czapkę nasadził na tył głowy i uganiał się za małą zwinną aktoreczką Olgą Schut, uciekającą przed nim zawzięcie. Dolko Rossochacki zasiadł poważnie na fotelu i wpatrywał się w klasyczne rysy Amiety Karwiny, weteranki odeskich i kijowskich scen. Jaś Mądrowski z otwartemi ustami słuchał, co mu opowiadała młoda i śliczna Sadowa... Równie ładna, choć trochę pełniejszych kształtów Dunia Berowa musiała poprzestać na zaba-

wnej rozmowie, którą raczył ją pan Welou, komik kamienieckiej trupy.

— Władek, popatrz na Jasia — zawołał wchodząc Karol. — Patrzy na Sadowę, jak wół na słońce... Władziu — szepnął doń ciszej — jeżeli ja nie potrafię, to ty postaraj się koniecznie, żeby ona go na dudka wystrychnęła, zrób to Władek dla mnie.

— *Czeławiek, wodki!* — zawołał w tej chwili Wicio Sępiński, który wraz z mundurem gwardyjskich huzarów przyjął i maniery gwardyjskie i gwardyjski sposób wyrażania się. — Dajcie wódki, ażeby wypić zdrowie tych dwóch hrabiów, którzy teraz przyszli... Słuchaj Olga, nie uciekaj darmo — mówił, zwracając się do wciskającej się w drugi koniec pokoju aktorki. — W końcu muszę cię złapać, a jeśli cię nie złapię, to sama przyjdziesz. Znam ja was!.. Ot, przyjdź lepiej sama. Tu, tu bliżej... to przedstawię ci nowego znajomego... Hultaj nad hultaje, prezes tego sławnego klubu nietoperzy, co zjada na obiad po sześć serc pełnoletnich dziewic... takich naprzykład jak ty, a później zagryza ten specjał dwunastoma serduszkami takich małoletnich aniołków, jak naprzykład Sadowa.

— Nibyto ona młodsza odemnie — rzekła nadąsanym głosem Olga i zbliżyła się do nowo przybyłych.

— Oto jest *swietlejnyj kniaź Kierbicz-chan-Ogła*, pan na złotej i kiperackiej hordzie, brat słońca, ojciec księżyca, rodzony dziad gwiazdy Wenery — recytował głosem dozorców w menażerjach Wicek. — Zbliżcie się *hu-ysy i odaliski* i pokłon mu należny oddajcie, bo on jest pan a władca wasz sprawiedliwy.

— Milcz, żabo wrzaskliwa! — zawołał Władysław i wyciągnął rękę na powitanie do każdej ze zbliżających się aktorek.

— Że panie pozwalają mu tak krzyczeć, bębenki w uszach mogą popękać od tego wrzasku.

— On taki zabawny, taki ucieszny — zaczęły mówić wszystkie razem na wyprzódki. — *Prelest'* [1]) nie Wicio, a do tego *grodzieniec...* [2]) Jemu wszystko wolno!

W tej chwili Wicio schwycił Olgę w pół i wycisnął jej na ustach gorący pocałunek, w mgnieniu oka później zrobił to samo i trzem pozostałym.

— Ach! ach! Ty szkaradzieńcze, ty obrzydliwcze! — wołały piskliwemi głosami dziewczęta, więcej udając oburzenie, niż czując je w rzeczy samej.

— Mnie wszystko wolno! — odpowiedział chłopak, ująwszy się prawą ręką w bok i przybierając zawadjacką minę. — Same powiedziałyście, że mnie wszystko wolno... Ja grodzieniec.. gwardzista.

— Jak się masz Władziu! — rzekł wreszcie zbliżający się powoli do stojącej pośrodku pokoju grupy Dolko Rossochacki, aranżer dzisiejszej uczty, młody, bo zaledwie trzydziestoletni człowiek, ale znudzony już życiem, zestarzały przed czasem i chory w dodatku.— Jedzcie jak kto chce. Ja nie mogę, bo coś jestem niezdrów... Panie Wróblewski każ mi pan podać trzy butelki oporto. Wiesz Władziu, że już nic innego nie mogę pić tylko

---

[1]) Rozkosz.

[2]) Żołnierz grodzińskiego husarskiego pułku gwardji.

oporto i koniak... Czasem napiję się starki, byle dobrej.

Wniesiono półmiski, otwierano butelki i szampańskie wino lało się strumieniem; artystki piły jak smoki, młodzieńcy godnie współubiegali się o zwycięztwo.

Jaś Mądrowski nie odstępował Sadowej, która jednak dość chłodno i ozięble przyjmowała te hołdy, a od chwili wejścia Władysława, bezprzestannie rzucała na niego rozciekawione i zalotne spojrzenia.

Władysław nic nie jadł, pił mało i nie mięszał się prawie do rozmowy; jakieś myśli smutne i bolesne cisnęły mu się do mózgu i tłumiły wesołość; słowa wyrzeczone przez Licharową utkwiły mu w pamięci. „Wyście tacy lekkomyślni i niekonsekwentni, jak tamci... truwerowie średniowieczni i jak oni zginiecie!“ Słowa te pięknej Rosjanki powtarzał w duszy i przykrość mu one tem większą czyniły z powodu, że miał przed sobą żywą ilustrację tych słów i sam w niej czynny brał udział. Smutek ten jednak nie opanował całej jego istoty; czuł, że w głębi jego, gdzieś tam w węzłach nerwowych rodziła się i potężniała wszechmocna, oporu nieznosząca pożądliwość, brutalna żądza rozkoszy cielesnej. Rozmowa i namiętne spojrzenia Licharowej, jej wdzięki dla oczu jego w całości przystępne rozbudziły w nim zmysłowe popędy; otoczenie zaś tych dziewcząt pięknych, młodych, dowcipnych, a nieokiełznanych dopełniło reszty. Nadaremnie czarne oczy Jadwigi przesuwały się przed wzrokiem jego wyobraźni, smutne jakieś i niby zapłakane; napróżno tkwiące tam gdzieś w głębi poczucie obowiązku szeptało mu, by rzucił to wszystko i uciekał. Zapóźno już było,

krew gorąca i nerwy rozuzdane wzięły górę, choć na pozór smutny i zamyślony, jednak z przyjemnością już brał udział w tej orgji.

Hrabia Karol, zatopiony napozór zupełnie w rozmowie z pulchną Dunią, nie spuszczał jednak oczu z Władysława; przypatrywał mu się z uwagą, a od czasu do czasu ironiczny uśmiech przelatywał mu po pięknej twarzy. Nagle kazał napełnić na nowo wszystkie szklanki winem, wstał wyprostował się, przybrał wyraz przesadnej powagi, który potęgował jeszcze bardziej komiczne wrażenie słów jego.

— *Mesdames et chevaliers*! — zawołał z patosem. — To, co tu powiem, będzie niejako pochwałą siebie samego, lecz jeżeli nikt nas nie chwali, musimy sami to robić... Zauważyłem, że całe szanowne grono zebranych tu osób uznało za stosowne w karygodny sposób zamilczeć o najpoważniejszej naszej narodowej instytucji, świeżo zawiązanej i szczęśliwie rozwijającej się w naszych smutnych czasach... Mówię tu o sławnym już i znanym w dalekich nawet stronach naszej ojczyzny — Klubie nietoperzy. Wnoszę więc zdrowie szanownego klubu, do którego mam zaszczyt sam należeć!... Wznoszę zdrowie czcigodnego prezesa i przewodnika tego klubu, obecnego tu między nami Jaśnie wielmożnego kawalera Władysława Kierbicza.. Niech nam żyje! *Vivat*!

Wszystkie szklanki wzniosły się w górę, wszystkie stuknęły o szklankę Władysława i w pokoju zapanował nagle hałas piekielny: — Niech żyje! Vivat!

— Proszę wychylić do dna! — grzmiał po nad ten gwar głos hrabiego Karola.—Władek dokończ! Jaś, coś nie możesz dać sobie rady z tą Sadową..

bierz-no się ostrzej! Hej! służba! nalewać wina... Moi państwo! — zaczął znowu uroczystym głosem — ze smutkiem muszę wam jeszcze powiedzieć, że tak szczęśliwie zawiązanemu i świetnie rozwijającemu się klubowi grozi wielkie niebezpieczeństwo... niebezpieczeństwo rozbicia zupełnego, niebezpieczeństwo utraty czcigodnego prezesa.... Tak! tak! panowie i panie, wróg rodu kawalerskiego... miłość sakramentalna wkradła mu się do serca.

— Karol, proszę cię, milcz! — zawołał, zrywając się z krzesła Władysław.

— *Mon cher, sois tranquille!* — mówił dalej hrabia, zwracając się do Władysława, a mówił z tak komiczną powagą, że nawet sam Władysław musiał się rozśmiać. — Uspokój się, mój drogi, imię tej nowej Ewy, która stara się podkopać istnienie naszego klubu nie będzie tu wymówione.. Tak, panowie! — mówił dalej — straszne niebezpieczeństwo grozi naszemu prezesowi, grozi przez to samo i nam, całemu klubowi... One panny, kapłanki wolnej miłości, anioły niekrępowanych uczuć, artystki w całem tego słowa znaczeniu, postarajcie się odegnać od serca naszego prezesa tego demona.. To wasza rola, to wasz święty obowiązek.. A teraz wypijmy razem zdrowie wesołej, nieopatrznej, wolnej miłości. Niech nam żyje! Niech nam oświeca szare dnie powszedniego życia!

I znowu podniosły się wszystkie szklanki do ust i wypróżnione do dna spoczęły na stole. Karol objął pełną kibić pięknej Duni, przycisnął dziewczynę do piersi i na jej ustach złożył długi, przeciągły pocałunek.

— Jasiu, w moje ślady! — zawołał na Mądrowskiego, który jakoś nie mógł w żaden sposób zdo-

być względów swej sąsiadki. — Jasiu! Jasiu, ostrzej!...

Lecz w tej chwili Sadowa zerwała się, krzyknęła przeraźliwie: — *No, astawtie! Kakoj niewieża!* [1]) — i jednym skokiem znalazła się na kolanach Władysława, obnażonemi rękoma objęła go za szyję i patrząc mu w oczy, zaczęła szeptać cichym, pieszczotliwym głosem:

— Ty jeden mi się tu podobasz! Ja ciebie lubię! Ty musisz być grzeczny, dobry i rycerski. Pocałuj mię!...

Jak na nagromadzone prochy wkradzenie się jednej drobnej iskry wywołuje straszny wybuch i szerzy w około spustoszenie, tak dotknięcie obnażonych ramion dziewczyny, jej łona drżącego od strumieni krwi gorącej — sprawiło we Władysławie wybuch nieokiełznanej, strasznej namiętności. Oczy mu zapałały dziwnym fosforycznym blaskiem, błękitne żyłki na skroniach wystąpiły wyraźnie, przez całe ciało przeszedł dreszcz upojenia... Demon śpiący w głębi ludzkiego ciała obudził się. Prawą ręką przyciskając kibić dziewczyny do szerokiej piersi, lewą delikatnie zdjął z jej małej nogi atłasowy, zgrabny trzewiczek i położywszy go przed sobą na stole, zawołał:

— Hej! nalejcie mi jeszcze wina! Nalejcie i sobie. I ja powtórzę zdrowie wolnej, nieokiełznanej miłości. Niech nam żyje wesoła teraźniejszość, chwila szału i upojenia... Precz smutek wszelki!

Nalano szklanki, Władysław swoję włożył w trzewik aktorki i wypróżnił ją do dna, nie wstając nawet z krzesła Wicio Sępiński ściskał na kanapie Olgę; Dolko całował wybielone ramię

---

[1]) Zostaw pan! Cóż za źle wychowany człowiek!

klasycznie pięknej Aniuty-Karwiny; Dunia podkręcała piękne, delikatne wąsiki Karola, a Sadowa siedziała na kolanach Władysława i wpatrzona namiętnie w jego oczy, szeptała: — Ty musisz być dobry! Ty pewno umiesz pokochać prawdziwie. *Ty gałubczyk mój!* [1]).

Szanowny komik kamienieckiej sceny rozmawiał z Jasiem Mądrowskim i statecznie wypróżniał jednę po drugiej szklankę szampańskiego wina. Mówili o trudnych dzisiejszych warunkach sztuki dramatycznej. Nagle Władysław wstał pierwszy i powiedział:

— Dość już tego, wypiliśmy morze wina. Ja więcej pić nie będę; i tak głowa mi się kręci... Płaćmy rachunek — i każdy w swoję stronę... Hej Wróbel, rachunek!

Za chwilę wcisnął się do pokoju mały, pękaty, łysy człowieczek, kłaniając się pokornie na wszystkie strony

— Na rozkazy jaśnie hrabiów! — wyszeptał.

— Panie Wróblewski, proszę podać rachunek — mówił, występując naprzód i obejmując rolę gospodarza Dolko Rossochacki. — Wiele się panu należy?

Mały człowieczek nachylił się nad długim paskiem zapisanego papieru, z którego czytał coś pospiesznie i bardzo cichym głosem coś sumował, wreszcie, podnosząc głowę, zawołał głośno:

— Dwieście sześćdziesiąt siedem rubli, trzydzieście dwie kopiejki. Niech jaśnie pan sprawdzi — dodał, podając Dolkowi trzymaną w ręku ćwiartkę papieru.

---

[1]) Mój gołąbek.

— Djabeł-by mu tam sprawdził! Jeżeliś co poszachrował, to twoja rzecz!... Kto ma szachrować, jak nie taki Wróbel? — zawołał Władysław, a w głosie jego drżała niecierpliwość. — Jest nas pięciu, niech każdy da po sześćdziesiąt blatów i koniec.

Papierki posypały się na stół.

— Masz pan tu trzysta rubli — mówił Władysław, ubierając kapelusz i podając Sadowej rękę— proszę wziąć sobie, co mu się z rachunku należy, resztę zaś dać służbie... Czy dorożki są przed restauracją?

— Są! są! Proszę jaśnie pana — zawołali gospodarz i wszyscy lokaje, odprowadzając z niskimi ukłonami wesołą młodzież do drzwi restauracji.

Władysław z Sadową wyszli pierwsi, pijany komik wysunął się tuż za niemi, a gdy Władysław pomógł wsiąść dziewczynie do powozu i zabierał się usiąść obok niej, uczuł nagle, że coś go ciągnie za ramię.

— Kto tam? — zawołał niecierpliwie.

-- To ja, Welon — odpowiedział, zataczając się pijany aktor. — Panie hrabio, ta dama została powierzoną mej opiece, ja nie mogę pozwolić, żebyś ją hrabia... tego, to jest... hrabia... żebyś ją samą... to jest... odprowadzał.

— Welon, idź stary spać! — zawołała niecierpliwie z powozu aktorka.

— Panie hrabio! — bełkotał niezbity z tropu, przestępując z nogi na nogę i kiwając się bezustannie komik. — Wy macie charakter... grafie, wy macie honor szlachecki!... Ona sierota... artystka, tego... ma powołanie! Grafie, mój święty obowią-

zek... — i złapał go znowu za rękaw od paletota.

Zebrani w drzwiach restauracji współtowarzysze uczty i służba restauracyjna, zabawieni tą sceną, śmieli się głośno i wrzaskliwie. Władysława zaczynało to już niecierpliwić.

— Puść rękaw! Bydle przeklęte! — zawołał do pijanego aktora, zapominając już o konwenansach.

— Nie! *Jej bohu*, nie puszczę. Ja opiekun!... ja nie dam jej upaść!... Grafie, sumienie!... Grafie, jasny promień sztuki!... Grafie...

Nie skończył, bo Władysław zniecierpliwiony do ostateczności, zawołał: — Pójdź precz, pijane bydle! — i tak go pchnął, że zataczając się upadł aktor o piętnaście kroków poniżej na chodnik. Rzuciwszy jeszcze zebranym u drzwi restauracji i cieszącym się z przypadku Welona towarzyszom zwięzłe: do widzenia wsiadł Władysław do powozu i spytał tulącej mu się do ramienia dziewczyny:

— Gdzie mieszkasz?

— *Zwoszczyk* [1]) już wie, on mię zawsze wozi. On i ciebie teraz będzie woził... — dodała ciszej. — Nieprawdaż?...

Odpowiedział jej pocałunkiem.

Powóz toczył się szybko po nierównym bruku, luzując się na zakrętach wązkich uliczek, wreszcie zatrzymał się. Władysław wysiadł, podał rękę dziewczynie i zbliżył się do drzwi domu; fiakra odprawił.

— Znam ten dom—szepnął przyciskając ramieniem rękę dziewczyny mocniej do siebie. — To Fahrenholza, ulica Kuźniecka.

---

[1]) Fiakier.

Stróż, na odgłos dzwonka, drzwi domu otworzył. Dwoje młodych weszło w głąb bramy. Bramę wnet zatrzaśnięto i cisza zapanowała na Kuźnieckiej ulicy— — — — — — — — —

Przed szóstą rano drzwi domu Fahrenholza otworzyły się znowu i ukazał się w nich Władysław. Stróż ze zdziwieniem ścisnął banknot, dany mu za trud otwierania drzwi — do tak hojnych podarunków nie był przyzwyczajony. Władysław wyszedłszy, spojrzał w koło siebie.

Ulica była pusta. Cień wysokiego muru otaczającego ogród, należący do gimnazjum, osłaniał całą wązką uliczkę, tylko wznoszące się po nad mur minaretu i dach katedralnego kościoła błyszczały w promieniach porannego słońca. Ze szczytu kościelnej wieżyczki rozlegał się tęskny dźwięk sygnaturki, wzywający wiernych na poranną mszę.

Władysław szedł przed siebie smutny jakiś i głęboko zadumany. Niesmak i obrzydzenie do siebie samego, do własnej istoty, zajęły dziś miejsce wczorajszego szału. Przez zwykłą reakcję, lepsze, idealniejsze, wznioślejsze pierwiastki jego natury, brały teraz w nim górę; ze wstrętem odczuwał teraz wszystkie ohydne strony wczorajszej orgji... i zapomnienia. Głęboko estetyczna jego natura wzdragała się na wspomnienie ordynaryjnej, poziomej bachanalji.

Głos dzwonka rozlegał się ustawicznie, co raz to rzewniej, co raz żałośniej i wpływał do duszy jego i budził tam uśpione na dnie uczucia i pragnienia, zaszczepione przez ukochaną matkę, przez przedwcześnie zmarłego ojca Wstyd jakiś okropny ogarnął całą jego istotę i zarumienił się cały, tym zdrowym, uczciwym rumieńcem, zna-

mionującym duszę nieskalaną jeszcze, nie przegniłą do dna samego.

Gdy mijał otwarte drzwi, czernią wieków okrytej katedry, uczuł nagle w duszy nieprzepartą potrzebę modlitwy, ukorzenia się przed Panem wszechświata, zaczerpnięcia tam, w tej poważnej świątyni Pańskiej, sił do walki, do oporu, do zmiany sposobu życia.

Z pochyloną głową wszedł do wnętrza. Kościół był prawie próżny; w bocznej kaplicy na lewo, ksiądz, staruszek biały jak gołąb odprawiał cichą mszę; a z tych ciemnych, marmurowych ścian, z tych grobowców i tablic pamiątkowych, wiała dziwna jakaś powaga; zdawało się Władysławowi, że nawa kościelna napełnia się postaciami, które od wieków już spoczywały pod murawą tej ukochanej, kresowej ziemi, tam w mogiłach, wznoszących się na pobojowiskach — że widzi, poznaje w tłumie i te także twarze, które widuje u siebie w domu na portretach rodzinnych, które zna tak dobrze — a wszyscy oni, ci pancerni, ci karmazynowi, spoglądają nań z obrzydzeniem, wskazują nań palcami i szepcą: Zdrajca! Zaprzaniec! Marnotrawca mienia narodowego! Gwałciciel tradycyj rodzinnych!.. — I zrobiło mu się tak ciężko, tak gorzko w sercu, że bezwładnie prawie padł na kolana, głowę oparł na zimnych marmurowych płytach posadzki i korzył się przed Bogiem i przed tym tłumem, mocą własnej wyobraźni wskrzeszonych kresowych rycerzy.

Istnieje stan duszy ludzkiej, w którym staje się ona tak potężną i jasnowidzącą, że przenika jednem spojrzeniem całe życie ludzkie, całą przeszłość, teraźniejszość i przyszłość nawet; nie

ma dla niej wówczas zapory ziemskiej, śmiałem okiem sięga ona za kręgi zmysłom przystępne i wkracza w niezbadane dla zwykłych dusz ludzkich krainy.

Taki stan duszy miewali dawniej wielcy wieszcze i prorocy starego zakonu, w taki stan pogrążeni są czasem siwowłose starce, patryarchowie ludowi... A spoglądający na nich z podziwem lud żegna się wówczas pobożnie i szepcze trwożliwie: — Cicho! cicho! dziad z Bogiem rozmawia! Lecz nie tylko starcom jest dane rozmawiać z Bogiem, są i inni ludzie, młodzi i grzeszni, którzy jeżeli w ich duszy złożono w dzieciństwie iskrę prawdziwej wiary, to miewają i oni w życiu chwilę takiego natchnienia, takiego uduchowienia i w wówczas wznoszą się na wyżyny przystępne zazwyczaj tylko wieszczom, prorokom i starcom siwowłosym.

Władysław klęcząc w murach kamienieckiej katedry, uczuł w duszy tę dziwną egzaltację, i ujrzał nagle, od razu, wszystkie swe błędy i zobaczył przed sobą jasną, wyraźną, świetlaną drogę obowiązku.

Do uszu jego doleciał głos dzwonka — podniósł głowę i ujrzał na stopniach ołtarza siwego kapłana wznoszącego biały opłatek..... Hostję świętą. Pochylił więc znowu czoło i bił się w piersi i szeptał drżącym ze wzruszenia głosem: *Mea culpa! mea culpa... mea maxima culpa!...* I jaśniej mu się zaczęło robić w duszy i lżej na sercu i strumień jakiś ożywczy rozlał mu się po wszystkich tętnicach. Uczuł, że nowe życie dlań się zaczęło; życie opromienione zdrowem i ożywczem światłem.. Demon — jak go zwał hrabia

Karol — a właściwie anioł biały zwyciężył... Klub nietoperzy stracił swego prezesa.

Msza się skończyła. Władysław wstał z klęczek i raźno z podniesioną głową wyszedł z kościoła. Czytał teraz jasno w duszy własnej. Czuł teraz wyraźnie, że kocha Jadwigę, nie tą ziemską pożądliwą miłością, do której czuł w tej chwili wstręt i obrzydzenie, ale innem, podnioślejszem uczuciem. Nie kocha on li oczu jej czarnych, ust purpurowych, nie marzy o jej alabastrowem łonie... lecz czci w niej symbol, czci przyszłą kapłankę domowego ogniska, przyszłą matkę rodu, która zaszczepi w duszach i sercach jego dzieci te uczucia, te przekonania, które przekazywały matki synom przez cały szereg pokoleń, od kiedy ród jego istnieje. Czuł, że kocha on i pożąda nietyle jej osoby, jak uzdrowienia, jak karbów obowiązku, jak słodyczy domowego ogniska, które ona mu wraz z sobą przyniesie.

Był już zupełnie zdecydowany.

Pewnym i śmiałym krokiem wszedł do swego pokoju, obudził Żorża, kazał mu nie wpuszczać nikogo do pokoju, nie budzić go pod żadnym warunkiem przed dwunastą godziną — i położył się spać. Spokój duszy, który w nim teraz zapanował i znużenie fizyczne spowodowały, że zasnął odrazu, mocno i spokojnie... A we śnie widział — tak jak na jawie — jak biała, wyanielona postać jego matki zbliżyła się do niego i wyciągnęła ręce nad głową syna, błogosławiąc go na drogę nowego życia.

VIII.

O pół do dwunastej obudził się Władysław. Czekający jego przebudzenia Żorż podał mu natychmiast herbatę i powiedział, że kozak pana z Zienpola dowiadywał się już dwa razy, czy pan wstał, a wreszcie sam pan przed kwadransem przychodził.

— Idź no zaraz do pana Zienwicza — zawołał porywczo Władysław — i powiedz mu, żeby był łaskaw zatrzymać się chwilę jeszcze w domu, bo mam ważny do niego interes, jak tylko się ubiorę zaraz tam przyjdę.

Chłopak wybiegł w celu spełnienia polecenia, a Władysław zaczął się myć i pospiesznie ubierać, nim chłopak wrócił był już prawie gotów.

— A co? — zapytał wchodzącego.

— Pan mówili, że poczekają ale prosili, żeby się pan spieszył, bo muszą wyjść za godzinę.

Skończył więc Władysław jak najspieszniej ubieranie i na wychodnem wyjął z pugilaresu dwa ruble, dał je chłopcu na strawne i obrok dla koni i obrachował znajdujące się tam jeszcze pieniądze; z wziętych za klacz od doktora sto pięćdziesięciu rubli zostało zaledwie trzydzieście kilka, reszta poszła na wczorajszą ucztę.

— Pal go tam sęk! — szepnął sam do siebie Władysław — to już ostatek. Więcej tego nie będzie! — I z temi słowami na ustach wyszedł z pokoju.

Pospiesznie zbiegł ze schodów, przeszedł dziedziniec i w kilka sekund później wchodził do numeru zajętego przez Walerego Zienwicza. Na jego widok piękny i młodo jeszcze wyglądający człowiek, siedzący dotychczas na kanapie i zajęty czytaniem jakiejś książki, powstał i odkładając książkę na bok, wyciągnął doń rękę na powitanie.

— Jak się miewasz Walery! — zawołał głośno Władysław, lecz uczuł nagle, że pod spojrzeniem przenikliwych a poważnych oczu starszego przyjaciela zarumienił się gwałtownie. — Mam do ciebie ważny interes, umyślnie aż tu za tobą z Zienpola przyjechałem — mówił coraz pośpieszniej, jakby dla dodania sobie odwagi. — No! jak się masz? Co porabiasz?

Walery wnet odczuł całe zmięszanie się Władysława i znał dokładnie jego przyczynę, żal mu się chłopca zrobiło i postanowił skierować z razu rozmowę na obojętne tory.

— Co porabiam? Czytam właśnie sławną powieść panny Rodziewiczówny „Dewajtisa“. Czy znasz ją?

— Tak! znam... to jest znam ją... przezierałem, nie miałem czasu dotychczas przeczytać od deski do deski.

Walery uśmiechnął się nieznacznie, lecz wnet zupełnie poważnie mówił.

— Szkoda, wielka szkoda, żeś ty powieści nie przeczytał. Ciekawa... bardzo ciekawa... Napisana z wielkiem ciepłem, ale jest tam pewne zapatry-

wanie się, pewien dogmat — na który ja zgodzić się nie mogę... I nie ona pierwsza wnosi go do naszej literatury. Zaczyna mi się już przez uszy przelewać to rozpowszechnianie bałwochwalczego przywiązania do ziemi... to ubóstwianie tej ziemi.

— Przecież w naszem położeniu — zaczął mówić Władysław i czuł, że coraz silniejsze rumieńce biją mu na twarz.

— Czy w naszem, czy nie w naszem położeniu — przerwał mu niecierpliwie Zienwicz — to zawsze jest jedno. Zapewne posiadanie ziemi daje narodowi pewną siłę odporną, pewny ciężar gatunkowy, że się tak wyrażę, ale są rzeczy, są uczucia, które na szali historji narodu zaważą dużo więcej, niż posiadanie samej martwej ziemi. Ja się boję, że nasi zmaterjalizowani dziś powieściopisarze podniosą w umysłach narodu pragnienie posiadania tej ziemi do tego stopnia, że ogółowi na inne uczucia miejsca już nie stanie... A jednak mamy w historji przykłady, że państewka małe, pozbawione ziemi, władały obszernemi zhołdowanemi dzierżawami, a nie mieliśmy jeszcze przykładu, ażeby naród posiadający choćby najobszerniejsze, najżyźniejsze role, a nie mający patrjotyzmu, poniewierający tradycją narodową — oparł się przemocy sąsiadów. Ale dość tego, za dalekobyśmy zajechali... Powiedz mi, jaki masz do mnie interes? Coś wczoraj robił? — Tu uśmiechnął się na pół żartobliwie, na pół smutno.

— Ah! Już ci pewno opowiadano o naszych wczorajszych historjach. Djabli mię ze złości biorą, żem się dał w to zamięszać... Kto ci mówił? Mechel?

— Nie! Na dziedzińcu, idąc rano do ciebie, spotkałem starego barona Möncha, zatrzymał mię

i z ubolewaniem opowiadał mi o tem, że i ty do tej orgji należałeś. Stary gadał mi takie rzeczy, że pewny jestem, iż połowa co najmniej z tego jest nieprawdą... Zwykłe małomiejskie ploteczki! Opowiadał, że zapłaciliście za kolację i wino tysiąc z górą rubli, żeś się upił okropnie i... żeś obił na ulicy jakiegoś aktora w kłótni o aktorkę. Wiesz, że ja nie mam prawa potępiać nikogo za takie rzeczy, bo niezbyt dawno popełniałem takie same szaleństwa i znam tego szatana, który wówczas gnieździ się w duszy ludzkiej, ale zawsze ucieszyłbym się serdecznie, gdybyś raz porzucił te historje i to towarzystwo.

Choć słowom Zienwicza nic nie można było zarzucić, jednak w tonie, jakim wypowiedziane były, leżał jakiś dziwny chłód, coś, co zmroziło odrazu całą serdeczność, z jaką Władysław doń śpieszył.

— Eh! nie warto o tem mówić — odparł z lekceważeniem, uśmiechając się trochę ironicznie — najzwyklejsza, bardzo skromna kolacyjka z aktorkami, byłeś na stu pewno wspanialszych, a co do aktora... ah! prawda, kopnąłem jakiegoś tam kpa nogą przy wyjściu z restauracji, ale też był niemożliwie pijany i nudził mię okropnie... Zostawmy zresztą całą tę sprawę, nie ma o czem mówić. Ja mam inny, bardzo ważny interes do ciebie.

— Słucham cię! — odpowiedział Zienwicz, a w głosie jego czuć było coraz więcej wzbierający smutek.

Władysław opowiedział mu wszystko co wiedział od doktora o paszkwilu napisanym na pannę Jadwigę, Walery słuchał uważnie od czasu do czasu marszczył gniewnie brwi, czasem oko błysnęło mu dzikim jakimś połyskiem, ale ani razu nie

przerwał Władysławowi opowiadania. Gdy ten skończył, Zienwicz zapadł w głęboką zadumę, głowę oparł na łokciach i milczał, a twarz mu się dziwnie mieniła i łamała pod wrażeniami różnych uczuć. Wreszcie podniósł głowę i patrząc przenikliwie w oczy Władysława, zapytał nagle:

— Właściwie o co chcesz się mnie poradzić?

— No! Oto czy wyzwać Wędzolskiego? Czy nie? — odparł niecierpliwie Władysław.

— Czy wyzwać Wędzolskiego? — powtórzył, namyślając się Walery. — Zapewne, że panna Jadwiga jest tego rodzaju kobietą, że warto w obronie jej dobrej sławy narazić nie jedno, ale trzy życia.. — Powiedział to z takim zapałem, że aż sam go się zawstydził, przerwał więc na chwilę i później mówił już zimno.— Lecz nim odpowiem ci na twoje pytanie, muszę postawić trzy inne... Mianowicie: Czy z Wędzolskim można się w ogóle bić?... Pamiętam jak twój dziad opowiadał o jego zacnym rodzicu, że był złapany jako ekonom w jednym z waszych folwarków na złodziejstwie, że został za to obity i haniebnie wygnany.

— To najmniejsze! — przerwał Władysław. — To był jego ojciec... Dziś z żydami nawet już się ludzie biją. Mów, co dalej.

— Po drugie czy gadanina lub pisanina takiego Wędzolskiego może zaszkodzić sławie panny Jadwigi? Co? A widząc, że Władysław nie odpowiada, mówił dalej. — Po trzecie, mój kochany, tu przychodzi najdrażliwsza kwestja ze wszystkiego. Czy ty masz prawo stawać w obronie sławy panny Jadwigi? Czy ona cię do tego upoważniła?

Słowa te mówił powoli, dobitnie, a zdawało się, że oczami pragnie przejrzeć do głębi duszy

Władysława... Po chwilowem milczeniu rzekł znowu:

— Przed godziną był tu Karol, mówił mi, że ty kochasz pannę Jadwigę. Czy to prawda? Co do mnie...

Nie skończył, bo Władysław przerwał mu zrywając się nagle z krzesła i stając przed nim, był przytem dziwnie blady i drżał cały. Już zapał, z jakim mówił Walery o pannie Jadwidze, nie podobał mu się bardzo, zranił go boleśnie, a ostatnie pytanie, odkrycie tajemnicy — którą uważał za świętość, za skarb własnej tylko duszy — uznał za świętokradztwo. W tej chwili uczuł gwałtowną konieczną potrzebę ukrycia swych uczuć, choćby kosztem zaparcia się ich, choćby przyszło okupić mu to ukrycie ceną — kłamstwa.

— To nie prawda! — zawołał gwałtownie. — Skąd Karolowi mogła podobna myśl przyjść? Nigdy mu nic podobnego nie mówiłem. Sam wybudował w swej pustej głowie całą tę ramotę i nie dość, że mnie nią zamęcza, ale jeszcze i ludziom rozpowiada. Nie! nie! nie!.. — tu przerwał, bo z oburzenia głos mu tak drżał, że nie mógł słowa więcej wymówić.— Jeżeli nawet miałem zamiar wyzwania Wędzolskiego — mówił dalej — to tylko dla tego, że ta podła kreatura, którą marszałek rozzuchwalił do reszty, za wiele sobie pozwala. Chciałem go ukarać za to, że śmiał szczekać na wychowankę mojej ciotki, zresztą na moję daleką kuzynkę, na pannę bądź co bądź należącą do naszego towarzystwa... Żadnych innych ukrytych przyczyn nie miałem.

W miarę słów Władysława, zasępiona dotychczas twarz Zienwicza stopniowo rozpogadzać się zaczęła, a gdy skończył młody zapaleniec mó-

wić, odetchnął pan Walery tak swobodnie, jakby mu jaki wielki ciężar spadł z piersi; z pięknych jego oczu strzelił jakiś dziwny promień zdradzający szczęście i wewnętrzne zadowolnienie.

— Mojem zdaniem mój drogi — przerwał Władysławowi Zienwicz — z takimi jegomościami jak ten pan porządni ludzie bić się nie powinni... *Une belle épée monsieur Wędzolski!...* Najlepiej ponoś kończyć podobne sprawy pogardliwem milczeniem... Ale, ale — dodał po chwilowym namyśle, jakby coś sobie nagle przypominając. — Czy będziesz u Möncha? Okrutnie się o ciebie dopytywał; siedzi tu już od trzech dni z oboma pannami. Młodsza wcale niczego, byłem wczoraj po obiedzie u nich i nie źle się bawiłem.

— Nie! nie pójdę do nich — odpowiedział niechętnie Władysław — stary jest to nieznośna nadęta purchawka, podszywająca się ponoś pod obce nazwisko i tytuł; cała ta ogromna fortuna djabli wiedzą skąd się wzięła; no, a panny są okropnie nudne z tem swojem bezustannem wzdychaniem i z całym tym sentymentalnym aparatem... Wyobraź sobie Nina zaczęła mi kiedyś czytać księgi Ga..bry...je...li.. .uciekłem natychmiast...

— Przepraszam cię Władziu — przerwał mu Zienwicz — ale ja muszę przed pierwszą być w banku... Punkt o pół do drugiej będę w restauracji, tu na dole. Przyjdź, to zjemy razem objad.

Władysław wziął za kapelusz i wyszli razem. Na dziedzińcu pożegnali się milcząco. Walery poszedł do miasta, a Kierbicz wrócił do swego pokoju.

— Żorż! — zawołał wchodząc — spakuj mi natychmiast rzeczy, Hryniowi każ, niech da du-

beltowy obrok na południe, napoi i niech ma konie przygotowane, po objedzie wyjeżdżamy.

Żorż stanął zdziwiony i patrzył się na pana tak, jakby nie rozumiał słów, które słyszał.

— Jak, jak proszę wielmożnego pana?... to my mamy dziś jechać?

— Jak słyszałeś! — krzyknął niecierpliwie Władysław. — Koniom dubeltowy obrok, rzeczy spakować, po objedzie marsz!

— Słucham! — odpowiedział bezdźwięcznym głosem chłopak, ale widocznie dyspozycja ta nie zrobiła mu przyjemności...

W tej chwili zastukał ktoś dwa razy systematycznie do drzwi i na głośno wymówione przez Władysława: proszę! wszedł do pokoju słuszny, suchy o siwych włosach, a czarnych farbowanych wąsach i faworytach staruszek; trzymał się prosto z żołnierską brawurą; chociaż nogami suwał już niezdarnie, to ogolona i wyświeżona twarz nie pozwalały jeszcze na zastosowanie doń nazwy starca.

— Kochanego pana Władysława! — zawołał rozkrzyżowując szeroko ręce — a w głosie jego brzmiał wyraźnie cudzoziemski jakiś akcent. — Nie chciała góra do Mahometa, to przyszedł Mahomet do góry... Jakże tam zdrowie?... Hi! hi! hi! figlarze... hi! hi!... wiem ja, jak to wy przepędziliście wczorajszą noc... No! no! To nic złego! Pamiętam.. hm! hm! nie jedną taką i w pruskich kirasjerach, pułk księcia Alberta i w rosyjskich kawalergardach.. Tak, tak, kochany panie Władysławie, w obu tych sławnych pułkach służyłem... Znam się na takich zabawach! Znam!.. No! ten hrabia Karol, to tęgi chłopiec, tak śmiałem się, gdy opowiadał mi, jak to wykierowaliście na dudka

tego Mądrowskiego... Ha! ha! Po co jemu do panów się pchać!?

Władysław milczał ogłuszony, oszołomiony nieokiełznanym potokiem wymowy barona, a stary widząc, że gospodarz nie odpowiada mu, nie przerywał swej oracji.

— Panie Władysławie kochany — trzepał baron dalej — moje panienki wysłały mnie tu z prośbą do pana, ażeby pan z hrabią Karolem koniecznie dziś przyszli do nas na herbatę... i przyprowadźcie z sobą tego pana Sępińskiego.. to podobno bardzo przyjemny chłopiec.. Hrabiego, jego ojca, znam, ale nie bywamy u siebie..

Byłby tak trzepał bez końca, gdyby nie to, Władysław odpowiedział mu, iż przyjść dziś nie może, bo zaraz po obiedzie musi jechać. Później przypomniał sobie, że trzymał od kwadransa starego barona stojąc na środku pokoju, poprosił go więc, by usiadł, potraktował papierosem, usiadł naprzeciwko gościa i.. słuchał I byłby go słuchał do wieczora, do późnej nocy może, gdyby nie wpadł do pokoju Żorż z doniesieniem, że pan z Zienpola poszedł do restauracji na obiad i prosi żeby i pan Władysław zaraz przychodził.

Wstał więc baron, wzdychając wyjawił Władysławowi swój żal, że nie będzie miał przyjemności widzieć go dziś u siebie i pożegnał go mówiąc, że musi iść do córek, które u siebie w numerze u „Narolskiego“ razem z ojcem obiadować będą. Pożegnali się więc bordzo czule i Władysław odprowadziwszy barona do bramy poszedł do restauracji.

W sali bilardowej zastał całe wczorajsze towarzystwo, zgromadzone koło bufetu i Zienwicz był z nimi, bawili się wszyscy wesoło nie wyj-

mując i Zienwicza i Dolka Rossochackiego, który wypijał szósty już z rzędu kieliszek wódki i opowiadał, że musi pocieszyć się po zawodzie, jakiego doznał po poznaniu się z klasycznie piękną Karwiną.

— Władek, miałeś nos! Powiadam ci, nos! — mówił zwracając się do wchodzącego w tej chwili Kierbicza — w twoje ręce Władek!.

— Powiadam ci, rano nie mógł się chłopak doczyścić paletota, tak był z prawej strony zawalany blanszem. Pytał się bestja: com we młynie robił? Słowo wam daję! Zresztą wierzcie, lub nie wierzcie, wszystko mi jedno! Władek! Cóż ty nie pijesz?

— A daj mi pokój! Cóż ty myślisz, żem taka nie możliwa do napełnienia kufa, taka beczka dziurawa, jak ty! — odpowiedział, witając się tymczasem ze znajomymi Władysław — Od tej waszej wczorajszej bachanalji jeszcze mię głowa boli i zgaga nieznośna piecze. Hej tam! — krzyknął do podchodzącego słu ącego — daj no mi Walek zaraz kwaśnego barszczu... Czy gabinet na prawo wolny?

— Nie, proszę jaśnie pana, oba zajęte, ale jest jeden stół w pokoju na prawo wolny, pan Zienwicz kazał tam dla panów podawać.

— Zostawcie tego opoja przy bufecie — zawołał Władysław zwracając się znowu do towarzyszy, — chodźcie jeść, bo głodny jestem jak żbik .. Chodź Karlosie!.. Mam ja z tobą na pieńku, porozpowiadaliście już całemu światu o wczorajszej kolacji .. Dziś baron do mnie przyłazi i gada mi.. dziury w brzuchu świdruje opowieściami z wczorajszej nocy .

— Dolku! *Viens vite!* Słuchaj!—zawołał hrabia Karol na wypróżniającego już ósmy kieliszek Rossochackiego. — Twoje projekty w łeb wzięły, Władek pewno myśli o baronównej, bo łaje mnie za to, że zdradziłem przed baronem tajemnice wczorajszej nocy.

— Są dwie baronówny! — odparł flegmatycznie Dolko — można się podzielić. Garson, nalej mi jeszcze dziewiąty kieliszek wódki.. To już ostatni!..

W pokoju, do którego całe to towarzystwo weszło, było dwa stoły: jeden zupełnie wolny, przy którym rozsiedli się nowo przybyli, przy drugim zaś siedziało czterech mężczyzn zajętych jedzeniem i ożywioną rozmową. Zienwicz, wchodząc pierwszy, skinął lekko głową w stronę tych panów, na co odpowiedzieli mu oni jeszcze mniej znacznem skinieniem; hrabia Karol, Władysław, Wicio udali, że sąsiadów swych zupełnie nie widzą.

— Szaraczki się i tu już złażą — szepnął Karol do ucha Wiciowi i rzucił w stronę sąsiadów drwiące spojrzenie.

— Patrz! patrz! jaki krawat? niebotyczny, fioletowy w zielone grochy — odpowiedział mu głośniej już młody huzar — a co za łańcuszek. Zarazbym go odesłał do jakiego smoka na edukację, on by się talmudu poduczył, a ja zgarnąłbym sporo mamony... To muszą być jakieś *tantne* kawalery.

— Śmiecie! — huknął na to przez zęby Karol i zabrał się do podanej zupy.

Towarzystwu przy drugim stole prezydował słuszny mężczyzna o dość przystojnej, ale pospolitej twarzy, okolonej bujnemi czarnemi fawory-

tami, odziany był z pretensjonalną przesadą, więc nie smacznie; suknie jego choć z dobrego materjału zrobione, leżały na nim niezgrabnie jakoś i tak, jakby nie na niego były uszyte. Siedział na pierwszem miejscu i widocznem było, że trzej inni uważali go za wyższego od siebie, bo z widocznem uszanowaniem i pewną czołobitnością się doń zwracali. Od czasu do czasu rzucał ten pan niechętne i zawistne spojrzenia w stronę nowoprzybyłych, lecz robił to niespostrzeżenie i w ogóle starał się udawać, że nie zwraca na nich uwagi.

— Powiadam wam, panowie, nie ma jak Warszawa! — mówił podniesionym głosem — byłem tam w czasie wystawy, a choć równocześnie odbywały się i wyścigi, mimo tego nie czuć było tej nieznośnej, aroganckiej paniczerji.

Słuchacze kiwali potakująco głowami; Karol uśmiechał się złośliwie i ironicznie; Wicio to bladł, to czerwieniał, ale Zienwicz tak popatrzył nań, że przykuł go do krzesła.

— Pojadę i w czasie karnawału — mówił dalej pachnący paczulą kawaler — zabawić się można; nasza arystokracja nie bardzo spieszy do Warszawki, bo jej tam ciasno, ludzie nie pozwolą sobie imponować, tak, jak u nas się to robi.

— Dolku! — zawołał, parskając śmiechem hrabia Karol. — Wiesz, że ja tego roku wybieram się na karnawał do Pacanowa. Do Warszawy i innych miast nie pojadę, bo tam taka moc sznapantów różnego rodzaju się ściąga, że wytrzymać trudno.

— *Bon! Nous allons partir a Pacanów* — odpowiedział zgodny Dolko i kazał sobie podać drugą butelkę oporto.

Przy drugim stole, choć słyszano dobrze rozmowę hrabiego z Dolkiem, nie zwrócono na nią uwagi, tylko wspaniały amfitrjon zmarszczył brwi, rzucił w stronę hrabiego kilka spojrzeń, nacechowanych pogardą, i mówił dalej z powagą:

— Czyś czytał, Sławku — zwrócił się z zapytaniem do długiego, chudego, o głupkowatej twarzy młodzieńca, siedzącego obok niego po prawej stronie — tę poezję, którą napisał ktoś na tę pannę z Uniża?... Podobno bez grosza i bałamuciła naszego Michałka Wędzolskiego, a do innych paniczów słodkie oczy robiła...

Na dźwięk tych słów Zienwicz zbladł jak kreda, usta mu zaczęły drżeć konwulsyjnie, lecz nadludzką siłą woli opanował szalony gniew, który go porwał, wstał tylko i zbliżając się do jegomości o czarnych faworytach, przemówił doń powoli i z widocznem panowaniem nawet nad tonem głosu:

— Jestem Walery Zienwicz.

— Adolf Mebelski, do usług pana dobrodzieja! — odparł pospiesznie drżącym głosem zagadnięty i zrywając się z krzesła wyciągnął rękę ku Zienwiczowi.

Lecz Walery nie zauważył, czy nie chciał zauważyć tego ruchu, tylko patrząc na pachnącego eleganta piorunującym wzrokiem, mówił dalej:

— Czy pan wiesz, panie... Mebelski, kto napisał ten paszkwil na pannę Molską?

— Nie! Słowo panu dobrodziejowi daję, że nie, niech mnie zabiją, jeśli wiem! — mówił coraz ciszej i niewyraźniej Mebelski, zgnębiony wzrokiem i słowami Walerjana.

— Szkoda, że pan nie wiesz — przerwał mu Zienwicz — poprosiłbym pana, ażebyś raczył powiedzieć owemu szanownemu autorowi, że za takie dzieło można dostać kijami... A panu, szanowny panie Mebelski, radzę serdecznie na przyszłość nie wspominać w miejscach publicznych nazwisk mało znanych lub zupełnie panu nieznanych pań, bo tego nie robią nigdy dobrze wychowani ludzie, bez względu na to, czy są arystokratycznych, czy demokratycznych przekonań... Żegnam pana, panie Mebelski.

I kiwnąwszy głową, wrócił na dawne miejsce.

W całym pokoju zrobiła się cisza głucha, trwająca kilka minut; pierwsi przerwali ją Mebelski i jego towarzysze, którzy skończywszy już jeść wstali i ukłoniwszy się Zienwiczowi, wyszli do sali bilardowej, by tam przy bufecie zapłacić za obiad. Po ich wyjściu przemówił pierwszy Jaś Mądrowski, milczący dotychczas zawzięcie.

— Dobrze mu tak! — mówił zuchowato. — Nie mogę znosić głupiej facjaty tego Mebelskiego, przybiera to zawsze jakieś tony.

— Żeby był pan Walery nie dał mu tej nauki — przerwał Jasiowi dobrze podpity już Wicio Sępiński — to ja byłbym mu jej udzielił... Tylko po swojemu... po gwardyjsku, raz dwa w gębę, później nogą gdzie należy i fora za drzwi.. *Swołacz kakaja* [1]).

— To źlebyś pan był zrobił, mości hrabio — odparł, surowo nań spoglądając Zienwicz. — Nikt z nas tu nie ma prawa wywoływać burdy, w którą byłoby wmięszane nazwisko panny Molskiej..

[1]) Jaka lichotka.

Zdaje mi się, że ten pan i tak dostał dostateczną nauczkę.

Hrabia Karol siedział milcząc uśmiechał się tylko ironicznie i spoglądał na przemiany to na Zienwicza, to na Władysława.

Władysław był pochmurny, jak noc grudniowa; zachowanie się Zienwicza zaimponowało mu ogromnie, podziwiał go; podziwiał jego spokój, jego zimną krew; nie mógł sobie jednak darować, że nie on to zrobił, że nie on skarcił głupiego parafjalnego fanfarona; czuł jednak wyraźnie, że nie byłby potrafił zrobić tego tak — jak to zrobił Walery; że byłby się uniósł i zrobił awanturę. To przeświadczenie najbardziej go gnębiło. Milcząc, dokończył obiadu, duszkiem wypił czarną kawę, pożegnał się ze wszystkimi kiwnięciem głowy i wybiegł pośpiesznie z restauracji. Na dziedzińcu kazał Hryniowi zaprzęgać konie, a Mechlowi podać rachunek i poszedł do swego numeru. Żorż miał już rzeczy spakowane i wynosił je właśnie na wózek.

Władysław siadł ciężko na fotel i zamyślił się głęboko, był sam na siebie rozgniewany straszliwie, pogardzał prawie sobą Czuł, że popełnił dziś dwa błędy, których nie dopuściłby się nigdy prawdziwie odważny i rycerski człowiek: nasamprzód przed Zienwiczem — dawszy się unieść jakiemuś małodusznemu wstydowi — zaparł się swej miłości dla Jadwigi, a później temuż samemu Zienwiczowi dał się uprzedzić w obronie jej czci... jej honoru...

Nienawidził siebie, ale też uczuwał w głębi piersi rodzącą się nienawiść ku temu zimnemu, wyższemu ponad tłum zwykłych śmiertelników, bez wszelkiego zarzutu doskonałemu. . przeciw te-

mu dawnemu przyjacielowi, który go na każdym kroku przyćmiewał, na drugi plan spychał. Niewyraźnem jakiemś przeczuciem duszy był już teraz prawie pewny, że od tego doskonałego człowieka spotka go jakaś boleść wielka, że on mu odbierze skarb najdroższy.. Zaciskał tylko pięści i drżał bezsilnym gniewem, tak, jak drżą dzieci i kobiety...

— Wyście wszyscy nie mężczyźni, wyście tkliwe kobiety — przypomniał sobie słowa Licharowej... Ten jeden tylko prawdziwy mężczyzna — szepnął sam do siebie — i tylko współzawodnictwa tego Jednego się boję.

— Jaś, idź do swego numeru, doleciał go z korytarza głos hrabiego Karola — mam coś do pomówienia z Władkiem, czego ty słuchać nie masz potrzeby.

— Przecież i ja jestem nietoperz! — odparł mu zuchwało, należycie podpity Jaś — mam więc prawo być obecnym przy waszych naradach.

— Głupiś! Wracaj do pokoju. Wyłysiałeś już, a nie wiesz, że nietoperz nierówny nietoperzowi... tyś z drobnych nietoperzy.. No idź!. Hrabia był zirytowany do tego stopnia, że zapomniał nawet o francuzczyznie, głos mu drżał i lada chwila można było spodziewać się wybuchu, zrozumiał to wreszcie Jaś i nie nalegając więcej zbiegł po schodach na dół; Karol wszedł do pokoju Władysława.

— Władek! — zawołał hrabia porywczo, wpadając do pokoju — Co ty najlepszego robisz? *Es tu enragé*? Gdzie jedziesz? Po co konie każesz zaprzęgać?

Władysław wstał i przeciągle spoglądając na wchodzącego rzekł:

— Jadę do Uniża.

— Po co? Marszałkowa z panną pojechały już do Badenu... Sępiński mi mówił, był tam niedawno i nikogo w domu nie zastał.

— Jeszcze są, jadą dopiero za tydzień — odparł niechętnie Kierbicz i odwracając się, zapalił papierosa.

— A choćby i za miesiąc, to nie zmienia sprawy — wołał hrabia, unosząc się coraz bardziej. — Po co tam pojedziesz? Wiem, że ci ta Jadwiga zajechała w głowę, ale to na darmo: goły jesteś, a ona za gołego nie pójdzie, bo sama taka... A gdyby była przypadkiem taka głupia i zdecydowała się iść, to ty miej rozum i nie top się... Pamiętaj, że winniśmy na wspólne weksle do trzydziestu tysięcy rubli i tu i w Odessie i w Kijowie...

— Z tego moich jest tylko siedm — przerwał mu Władysław smutnym i przybitym głosem. .

— Mniejsza z tem — mówił dalej, nie dając sobie przerwać Karol — miałem nadzieję, że ty się pierwszy bogato ożenisz i zapłacisz te długi, a ja ci oddam po śmierci moich rodziców... Żeniąc się z tą panną Molską, gubisz siebie i gubisz mnie... Żydzi dowiedziawszy się, żeś się ożenił bez grosza posagu, zwalą się wszyscy na mnie i będę zgubiony, rodzice moi dowiedzą się o wszystkiem... Brrr!... Choć w łeb sobie strzel... Władek, zastanów się! Opamiętaj się! Nie gub mnie i siebie... Ja ci nie mogę na to głupstwo pozwolić.

Ostatnie słowa wyczerpały do reszty cierpliwość Władysława, stuknął porywczo nogą i zawołał:

— Proszę cię, nie mięszaj się do moich spraw! Prawda, że winien jestem na nasze wspólne weksle siedm tysięcy rubli, ale zapłacę je przed ślubem jeszcze.. zapłacę z tegorocznej krestencji.. A teraz daj mi pokój!

— Władziu! nie bądź warjatem — przemówił doń hrabia innym już tonem i zbliżając się ku niemu wziął go za rękę. — Ty wiesz, że ci najlepiej życzę. Nie gub się! Ożeń się z Mönchówną. Nina szaleje za tobą.. Pewno, że ten Mönch, to taki Mönch, jak ja Hamilton, ale dziwament nie zbyt szpetny, a stary baron każdej z córek daje w dzień ślubu trzykroć sto tysięcy blatów w doskonałych akcjach cukrowarnianych i w chersonesach[1]. Jeżeli już koniecznie masz się żenić, to żeń się z Niną, nie zła dziewczyna.

— Karolu! — przerwał mu Władysław, a wyrazista jego twarz przyoblekła się niezwykłą powagą — Ty mnie znasz od dziecka i wiesz, że tylko ożeniwszy się z kochaną kobietą mogę stać się porządnym człowiekiem. Nawet gdyby Jadwiga nie zechciała pójść za mnie, to... przebolałbym ten cios, ale nie straciłbym przynajmniej szacunku dla siebie samego. Sprzedawszy się takiej Ninie za jej akcje, od razu zrównałbym się z takim Dolkiem, z takim Jasiem Mądrowskim, z takim Sępińskim...

— A żeniąc się z Molską — zawołał Karol, unosząc się znowu — zrównasz się z takim Ursyńskim i żydzi cię rozdrapią, staniesz się parobkiem Fiksa, Gitli et consortes. Zastanów się tylko, co ty poczniesz? Znam cię lepiej, niż ty sam

[1]) Papiery chersońskiego banku ziemskiego.

siebie. Konie lubisz i musisz ich mieć zawsze więcej niż potrzeba; służby starej, której oddalić nie możesz, masz bez końca; musisz się ubierać u najlepszego krawca, mieć doskonałą kuchnię, pić wyborne wina... Cóż więc poczniesz?.. Będziesz kręcić światem tak, jak Ursyński, tu pożyczać, tam oddawać.... aż wreszcie przyjdzie katastrofa.... bo przyjść musi i wraz z żoną znajdziesz się bez dachu.

— Nie marnuj, Karolu, słów nadarmo i wiedz, że wolałbym nawet znosić los takiego Ursyńskiego i wyżej go cenię, niż tę całą hałastrę, która się nas czepia... Te Dolki i Jasie, to wszystko zera... Prawda, że Ursyński ma więcej długów, niż włosów w swej bujnej czuprynie, że ma ciągle nowe romanse, ale z tem wszystkiem jest w nim coś poetycznego, coś wyższego, niż nasze hulanki i orgje; on sam przed sobą udaje przynajmniej uczucie, okpiwa sam siebie — my zaś i tego trudu nie zadajemy sobie... Nie! nie! Mam tego po same uszy i muszę raz z tem życiem skończyć.. Bądź zdrów!

I podawszy mu rękę na pożegnanie, wyszedł z pokoju, zbiegł śpiesznie po schodach, wsiadł na wózek i tak gwałtownie chwycił lejce w ręce, że aż klacze spięły się dęba

Karol zamyślony zszedł za nim; z uśmiechem popatrzył na szalony wyjazd i mruknął z cicha:

— Figa z tego będzie! Już ja w tem!

Spytawszy Mechla o mieszkanie barona, poszedł do Mönchów z wizytą.

IX.

Tego samego dnia, w którym Władysław w tak niecierpliwy i pośpieszny sposób wyjeżdżał z dziedzińca kamienieckiego hotelu — w Uniżu, wbrew zwyczajowi, nie było gości.

Marszałek Różycki, zaraz po kawie, nie spojrzawszy na plik listów i gazet, siadł na mierzyna i pojechał w pole do żeńców. Ważny to był dzień dla gospodarza: na łanach głównego folwarku w Uniżu ze czterystu robotników kończyło właśnie tego dnia zbiór pszenicy. Pan marszałek, który głównie swej sławie zawołanego gospodarza i administratora zawdzięczał swą popularność między szlachtą i tytuł marszałkowski, nie potrafiłby za nic w świecie tego dnia w domu usiedzieć, a tem bardziej gdzieś w sąsiedztwo wyjechać...

Marszałkowa, która dla miłości męża z taką samą troskliwością zajmowała się sprawami gospodarskiemi, również od rana była na nogach; odbyła już konferencję z klucznicą w celu naradzenia się nad przygotowaniem chleba, sera i ogórków dla całego tego tłumu robotników, który niechybnie przed wieczorem przyjdzie z łanu przed pałacowy ganek, mając na czele „pannę młodą,“ najpilniejszą tegoroczną żniwiarkę, niosącą na głowie wianek z pełnych kłosów pszennych. Pani Marja Rożycka, pomimo że nad jej kołyską jaśniała

mitra hrabiowska, pomimo że miała w swem drzewie genealogicznem i infuły i buławy, mimo tego wszystkiego nie zaniedbywała zajęć gospodarskich i była wskazywana przez mężów z trzech sąsiednich prowincyj — jako wzór do naśladowania; za to niektóre panie, należące do tak zwanego „wielkiego świata'" nie lubiły jej serdecznie, zwały ją — w poufnych gawędach — klucznicą, lub kwoką. Głośno jednak odezwać się z tem żadna nie śmiała, stanowisko bowiem społeczne pani marszałkowej było tego rodzaju, że stało wyżej wszelkich krytyk parafjalnych; górowała ona nad wszystkiemi choćby najbardziej eleganckiemi sąsiadkami — urodzeniem, stosunkami rodzinnymi, majątkiem olbrzymim i wreszcie tym cichym, nikomu nie narzucającym się rozumem polskiej matrony, który mimowolnie zmusza otaczających do szacunku i uwielbienia.

A jednak wieleż to przyczyn miały te panie do nielubienia pani marszałkowej!.. Wszak pamiętały one te czasy, kiedy pani Marja była jeszcze panną. Nadzwyczajnie piękną nie była ona nigdy; robiła wrażenie hożej, zdrowej, skromnie po bożemu wychowanej wiejskiej panienki; głośne jednak, senatorskie nazwisko którego była prawowitą a ostatnią dziedziczką i blask ogromnej fortuny sprawiały właśnie to, że wszyscy młodzi ludzie z tej epoki ubiegali się o rękę panny hrabianki...

Już wówczas wszystkie rówieśnice zazdrościły jej serdecznie; już wówczas bywała przedmiotem pokątnej uszczypliwej obmowy. Jednakże obmowa ta kryła się troskliwie, bo każda z tych pań, z tych panien miała brata, lub kuzyna, który ubiegał się o względy panny Marji,

pochlebiały więc jej aż do znudzenia, i choć niechętne, w duszy kłamały przed nią przyjaźń i serdeczność.

Lecz była w życiu pani Rożyckiej i taka epoka, w której głośno zaczęto ganić jej postępowanie i w której jednogłośnie powstały na nią wszystkie pseudo-przyjaciółki, wszystkie matki, siostry i kuzynki tych licznych konkurentów.

Było to wówczas, kiedy ona odrzuciwszy oświadczyny całego grona świetnych zalotników, idąc za radą mądrego, lecz za dziwaka uważanego ojca — zdecydowała się oddać rękę panu Ludwikowi Różyckiemu, najpospolitszemu — jak głoszono — jednowioskowemu szlachcicowi. Hałas ten jednak i jawna niechęć nie długo potrwały. Pan Ludwik od razu umiał zająć stanowisko, na jakiem go postawiło ożenienie z miljonową spadkobierczynią senatorskiego rodu.

Złośliwi a zawistni utrzymywali, że daje się zupełnie kierować i powodować młodej, a dziwnie cichej i słodkiej żonie i jej to przypisywali rychłe wyniesienie się pana Różyckiego nad ogół szlachecki. Wiele w tem było prawdy? Nikt na pewno nie mógł powiedzieć. To tylko wszyscy wiedzieli, że z chwilą ożenienia się pan Ludwik nabrał dziwnej powagi i obycia w towarzystwie; wieść mu się też zaczęło ogromnie, fortuny przysparzał, a w trzy lata po ślubie, szlachta powiatu, w którym leżał główny majątek pani Różyckiej — Uniże, i w którym młoda para stale mieszkała, wybrała go swoim marszałkiem.

Chociaż urzędowanie to było przyczyną wielu łez i zmartwień pani marszałkowej, chociaż skończyło się ono zdala od rodzinnego powiatu, jednak faktem jest, że było ono jedną z pierw-

szych przyczyn ogromnej popularności marszałka pośród współobywateli.

Przez urzędowanie to, połączone z wielu ofiarami, młody marszałek wyrósł w oczach sąsiadów, zmężniał jakoś dziwnie i otoczył swą wyniosłą postać niepochwytną aureolą — bohaterstwa...

Gdy urzędowanie i jego następstwa skończyły się, stanowisko marszałka było już takie, jakiem pozostanie do końca jego życia: został najpoważniejszym obywatelem w gubernji, stał się stałym członkiem wszystkich komisyj obywatelskich, mających na celu działy majątkowe; uważano go za niezbędnego superarbitra przy wszystkich kompromisach szlacheckich.

Wprawdzie złośliwy nad wyraz stary hrabia Sępiński, daleki kuzyn pani marszałkowej, mawiał, że Różycki posiada prawdziwie salomońską mądrość, bo w każdym kompromisie, bez względu na słuszność, każe się spornym przedmiotem podzielić obu stronom, roszczącym do niego prawo; żarty jednak starego jowialnego hrabiego przebrzmiewały bez echa, a taktyka marszałka widocznie musiała być wyższą po nad zarzut, bo adwokaci kamienieccy zaczynali już narzekać na tą działalność rozjemczą pana Różyckiego i głosili, że wkrótce będą się wynosić z tego miasta, bo stracili zupełnie wszelką szlachecką klientelę z powodu sądów kompromisarskich marszałka.

Jednem słowem państwo Różyccy byli szczęśliwi; majątek rósł, ludzie ich szanowali, na wszystkie uroczystości familijne w Uniżu zjeżdżali się z daleka nawet, marszałkowi zapomnieli jego jednowioskowego gniazda i słomianej strzechy, z pod której wyszedł; zazdroszczono im

obojgu powszechnie... A jednak i oni mieli móla, który ich gryzł okrutnie.

Mólem tym, zmorą tą była okoliczność ta, że dzieci się im nie chowały... Z czworga, które na świat przyszły, żyło tylko jedno: chłopak wątły i chorowity.

Józio marszałkowicz — tak go w sąsiedztwie nazywano — miał już obecnie dwadzieścia dwa lata, a robił wrażenie szesnastoletniego, nierozwiniętego chłopaka... Od najmłodszych lat było to dziecko chore, gdy miał dwa lata lekarze przepowiadali, że się nie wychowa — miał bowiem wodę w głowie i rozwijał się zupełnie nienormalnie, zachodziły nawet obawy, czy nie zostanie idjotą. Obawy nie ziściły się w całem tego słowa znaczeniu, w każdym razie jednak Józio nie zapowiadał, by kiedy potrafił zająć stanowisko społeczne przez ojca swego dzierżone.

— Już to synek się im udał — mawiał, śmiejąc się stary Sępiński, odrzucony niegdyś konkurent pani marszałkowej — wdał się zupełnie w arystokratycznych przodków matki, nie znać w nim świeżej, szlacheckiej rasy ojca... panicz... panicz, ma zupełnie burboński, barani wyraz twarzy.

Pociechą w strapieniu tem dla marszałkowej była wychowanica, córka dalekiej krewnej—Jadwisia Molska... Znalazła ją pani Marja przy umierającej, w ostatniej nędzy pogrążonej matce, gdzieś w Dreźnie na przedmieściu, przygarnęła ją do siebie, wychowała i pokochała biedną sierotę jak rodzoną córkę... Ludzie mówili, że chce z niej synowę swą uczynić; pan Wędzolski utrzymywał, że sama Jadwisia o tem marzy... Jak sprawa ta w rzeczy samej stała, nikt na pewno nie mógł wiedzieć.

Na wieży pałacowej oficyny wybiła właśnie dwunasta godzina, w chwili gdy marszałkowa, odbywszy przegląd całego domowego gospodarstwa i wydawszy klucznicy rozporządzenia, odnoszące się do dzisiejszej uroczystości, powracała do pokoi.

W gabineciku na pierwszem piętrze, sąsiadującym z recepcyjnym salonem, siedziała, zatopiona nad jakąś kanwową robotą, hoża, młoda dziewczyna. Teraz, słysząc zbliżające się kroki opiekunki, podniosła swe czarne, rozmarzone oczy i skierowała w stronę drzwi, w których miała się pojawić marszałkowa.

— Ty ciągle nad robotą ślęczysz — przemówiła, wchodząc i rzuciła na pracownicę spojrzenie, mające uchodzić za rozgniewane. — Ach, ty nieposłuszna dziewczyno! Co ja z tobą pocznę? Zdrowie sobie rujnujesz

— Nie bój się, cioteczko! — zawołała zagadnięta, a zerwawszy się z krzesła podbiegła ku ciotce i zaczęła z czułością całować jej ręce.

— No! no! przymilajska, poczekaj, jak tylko nie będziesz mię słuchać, to powiem wujowi, a ten cię nauczy subordynacji — mówiła marszałkowa głosem, który chciała uczynić ostrym, w którym jednak dźwięczała cała czułość i bezgraniczne przywiązanie, jakiem otaczała ukochaną pupilkę.

— Wujowi! — zawołała z niepokojem dziewczyna. — Za nic, ciociu! Za nic! Nie można mówić wujowi, bo wszystko przepadnie.

— Cóż znowu tak strasznego? Skąd ta obawa przed marszałkiem? — zapytała, śmiejąc się pani Marja.

— Widzi ciocia — odpowiedziała jej Jadwiga — za trzy tygodnie św. Ludwika, imieniny wujaszka... Chcę.. chcę koniecznie skończyć moję robotę na

ten dzień... przeznaczam ją na wiązanie dla wujcia... A jakby ciocia powiedziała — mówiła teraz grubszym głosem, udając niby rozkapryszenie — o tem słowo to wszystko przepadnie, wuj się naprzód o wszystkiem dowie i moja robota będzie na nic, a ja będę nieszczęśliwa...

— No! no! uspokój się moje dziecko, nie powiem nikomu, a szczególniej wujowi ani słówka— odrzekła ciotka całując ją w czoło, a później zmieniając temat rozmowy i jakby sobie coś przypominając, zapytała nagle: — Nie było tu Józia?

— Na usta dziewczyny wybiegł jakiś niepochwytny, mgnienie oka tylko trwający ironiczny uśmieszek, zgasł on jednak natychmiast a miejsce jego zajęła powaga i wyraz smutku.

— Był tu— odpowiedziała— siedział koło mnie z pół godziny, czytał jakąś książkę o doświadczeniach fizycznych, później zerwał się nagle i poszedł, mówiąc, że idzie do stolarni, kazać sobie przygotować jakieś aparaty potrzebne mu do doświadczeń...

Cień boleści prawdziwej złamał spokojne zazwyczaj oblicze marszałkowej, jakiś groźny fałd, zmarszczek jakiś podłużny zjawił się jej pomiędzy oczami, a oczy te słodkie i łagodne patrzyły obecnie przenikliwie na mówiącą dziewczynę, jakby pragnęły zajrzeć jej do głębi duszy. Zwolna jednak wyraz jej oczu złagodniał znowu, a miejsce przenikliwości zajęła teraz łza cicha, która niespostrzeżenie spłynęła po zwiędłym już policzku. Cała jej szczupła, wyniosła i wiotka postać pochyliła się ku ziemi, a z zaciśniętych ust wyrwały się mimowolnie słowa:

— Biedne nieszczęśliwe dziecko!

W tej chwili do uszu rozmawiających pań doleciał odgłos zamaszystych kroków i urywane słowa wypowiedziane donośnym do rozkazywania przywykłym głosem.

— Ciociu! Ciociu, chodźmy ztąd — zawołała nagle Jadwiga — Chodźmy ztąd i zamykajmy drzwi za sobą... To wujaszek nadjechał i jak broń Boże przyjdzie tu szukając za nami, to wszystko przepadło..

Mówiła to bardzo prędko i przerażenie zupełnie niekłamane dźwięczało w jej przestraszonym głosie, malowało się na jej dziecięco pięknej twarzyczce. Nagłym ruchem chwyciła ciotkę za rękę i gwałtem prawie wciągnęła ją do drugiego pokoju, zamykając natychmiast drzwi od gabinetu.

— A gdzie to moje panie pochowały się? — rozległ się w tej chwili głos marszałka, który wszedł już był do salonu — Co tam robicie? po całym domu szukam za wami.

Głos jego miał bardzo miłe, sympatyczne brzmienie, okrągła, od wiatru i słońca opalona twarz jaśniała zdrowiem i zadowolnieniem, a dziwnie od młodocianego tego oblicza prawie odbijały włosy i wąsy jak mleko białe; ubrany był w biały pikowy kitel; długie do konnej jazdy zastosowane buty okryte były kurzem; w jednej ręce trzymał nadstrzępiony szpicrut, a w drugiej okrągłą granatową czapkę.

— Piękny dzień mamy pani marszałkowo — mówił wesoło — czterystu dwudziestu żeńców.. Do piątej godziny nie będzie na pniu ani jednego kłosa pszenicy.. Czy moja pani wydała już dyspozycje Baczyńskiej, ażeby przygotowała traktament

na dożynki?.. Warto ludzi poczciwych utraktować, bo pracowicie tego roku koło roboty chodzili.

— Wszystko gotowe—odparła marszałkowa wchodząc do salonu, a w jej głosie drgała dawna troska.

— Cóż to Marjo moja, pani moja kochana jesteś zasmucona? — zawołał niespokojnie marszałek i podniósł rękę żony do ust. — Co ci jest, moje życie?

— Eh! nic, mój drogi—odrzekła pani, zmuszając się do swobodnego uśmiechu — wydało ci się.

Mąż popatrzył badawczo w jej oczy, tak, że wzroku tego znieść nie mogła, uśmiech kłamany znikł natychmiast z twarzy, a z ust jej wyszło ciche pytanie:

— Nie spotkałeś Ludwiku gdzie Józia?., Jadwisia powiada, że poszedł do stolarni kazać zrobić sobie jakieś narzędzia, potrzebne mu do fizycznych doświadczeń...

Na wspomnienie imienia syna znikła pogoda i z oblicza marszałka, zasępił się w jednej chwili zupełnie, z pod białych wąsów wyrwało się bolesne westchnienie i nie rzekłszy ani słowa, pocałował powtórnie żonę w rękę i wyszedł z pokoju.

Tych dwoje ludzi rozumieli się doskonale bez rozmowy; miłość i szczęście w pierwszych latach pożycia, boleści i troski w następnych złączyły ich dwoje w jedną niepodzielną istotę, czującą i cierpiącą jednako.

— — — — — — — — — — —

Do objadu w Uniżu usiedli w tym dniu tylko domowi.

— Panie kapitanie co to takiego, że dziś nikogo nie ma? — zwrócił się marszałek z zapy-

taniem do staruszka, siedzącego po lewej stronie marszałkowej.

— Co? Co mówisz marszałku? — zapytał podniesionym głosem kapitan i zwrócił uszy w stronę mówiącego. Biedny stary kapitan już nie dosłyszał.

— Pyta się Ludwik wuja, czy wuj nie wie przypadkiem dla czego dziś nikt nie przyjechał?— powtórzyła marszałkowa pytanie męża, wymawiające każde słowo z osobna i bardzo dobitnie.

— Aboż stęskniłeś się marszałku za bracią szlachtą?.. Żniwa... żniwa... mości panie — prawił staruszek, potrząsając siwą głową, nagle zwrócił się w stronę Jadwigi, która siedziała obok marszałka. — Oho! A panna Jadwiga udaje, że jej to wszystko jedno, a ja wiem, że schnie z żalu z powodu dzisiejszego braku kawalerów... Przyzwyczailiśmy się do licznego dworu, cały sztab bywał i to różnej broni... Ten Wędzolski to chyba już od furwezów... He... Co?

— Nie wiedzieć co dziadzio wygaduje! — zawołała czerwieniąc się jak piwonja panienka. — Ciekawa jestem, co ja jestem winna temu, że podobałam się panu Wędzolskiemu?... Ale prawda, że od razu powiedziałam dziadziowi, żeby mu to wyperswadował?.. Ah, Boże, jaki ten dziadzio dokuczliwy!

— Powiedziałem mu to detajlicznie — mówił dalej staruszek, który jakoś lepiej umiał słyszeć słowa Jadwigi niż zapytania marszałka — powiedziałam mu tak, że ponoś wyperswadował sobie zupełnie te uczuciowe projekta. Nie o nim jednak chciałem mówić, bywali tu i inni... Już coś dawno nie widzieliśmy tego kochanego szałaputa

Władzia, ani naszego sensata Walera! He! Cóż mościa panno? Źle!

Jadwiga czerwieniła się coraz mocniej, czarne jej oczy nabierały metalicznego blasku, przyczyną którego mogło być tak rozrzewnienie, jak też i podrażnienie nerwowe. Twarz pochyliła nad talerzem i milczała zawzięcie aż do ostatnich słów staruszka, dopiero po wymienieniu imion dwóch młodych ludzi, podniosła nagle głowę i zawołała porywczo:

— Ah! Dziadzio jest całkiem niegodziwy! Cóżem mu zawiniła, że się tak ze mnie wyśmiewa? Wiem przecież, że tak pan Władysław jak i pan Walery są światowcami, którzy z grzeczności tylko i przez wzgląd dla wujostwa rozmawiają ze mną... Nie, dziadziu!... Nie spodziewałam się tego po nim..

— Gadaj zdrowa, pliszko; gadaj! — przerwał jej śmiejąc się staruszek. Wiesz ty doskonale, że obaj ci panicze światowi poszli by w ogień, gdybyś tego zażądała.. Ale dajmy temu pokój, kiedy już tego twoja panieńska polityka wymaga...

Tu dziaduś przerwał, a przy stole zapanowało kłopotliwe milczenie; wszyscy mieli oczy wlepione w talerze i bezskutecznie starali się napełnić łyżki zupą, zaczerpując zaledwie ostatnie jej krople. Znać uczuł pan kapitan, że poruszył drażliwy i niemiły przedmiot, bo wnet rozpoczął inną rozmowę, jakby dla zatarcia wrażeń, wywołanych pierwszą.

— Józek! Ho! A gdzieś to waść rano bywał?— zwrócił się do młodego syna marszałkostwa, siedzącego tuż obok niego, po lewej stronie. — Gdzieżeś to bywał, żeś nie przyszedł do mnie na lekcję fechtunku?

— Chodziłem do Jana stolarza — odparł, mięszając się chłopak — potrzeba mi było... takiego krążka... takiego małego... Jadwisia wie jakiego, jej opowiedziałem wszystko.. Koniecznie go potrzebowałem do moich doświadczeń... Przecież dziaduś wie, że ja chcę być fizykiem.

— Fizykiem! fizykiem! — zawołał zirytowanym głosem kapitan. — Piękna szarża, nie ma co mówić... Ja ci powiem: czy zostaniesz fizykiem urzędowym, to jeszcze szeroko król Dawid o tem pisał, na to trzeba strasznie długo się uczyć i praktykować, ale, że staniesz kiedyś — „jak fizyk,“ gdy cię kto wyzwie — to pewna.. Pałasza wziąć w łapę nie umiesz, a nogami tak skaczesz, jak żaba.. Pfe! wstyd i obraza boska!

— Kiedy mnie to dziadziu męczy strasznie — odpowiedział cicho skonfundowany chłopak.

— He! Co! Co tam mówisz? Nie słyszę! Głośniej! głośniej! — i nachylił ku niemu lewe ucho.

Józio powtórzył głośniej poprzednio wyrzeczone zdanie.

— Męczy! — szepnął dziwnie gorzkim głosem starzec. — Was dziś już wszystko męczy. Męczy!.. Brzydkie czasy, plugawe czasy!.. Komu ja zostawię moję szablę, com ją po ś. p. panu regimentarzu, moim wuju, a twoim hebesie pradziadku odziedziczył?... Komu ją zostawię, żeby ją do czasu, kiedy będzie znowu potrzeba, przechował, żeby mi jej nie zohydził... Jeden Władek... on jeden!.. Cóż, kiedy i ten hultaj.

W całej postaci starego kapitana widniał teraz głęboki smutek, drżał on w jego głosie, który stawał się coraz to cichszy; wreszcie umilkł starzec, opuścił głowę na piersi i tak siedział bez

ruchu, bez słowa na ustach kilka chwil, wreszcie znać zwyciężył boleść, bo wzniósł spokojny już i swobodny wzrok na otaczających go i tylko ręką machnął niechętnie, jakby tym ruchem chciał zagłuszyć niemiłe myśli.

— Eh! mówmy mości dzieju o pszenicy, albo o burakach, to stosowniejszy dziś temat, niż szable — przemówił, udając wesoły ton. — Cóż tam, mój marszałku, dużo masz kóp pszenicy w tym roku?

Tem zapytaniem rozpoczął staruszek potoczną rozmowę o sprawach codziennego życia, która, dzięki przezorności marszałkowej trwała już nieprzerwanie aż do końca obiadu.

Po obiedzie gospodarz domu wyszedł do swej kancelarji dla załatwienia kilku naglących korespondencyj, kapitan wyciągnął Józia na przepiórki, pani Marja zaś wraz z Jadwisią przeszły do gabinetu.

Panienka zrazu zatopiła się pilnie w swojej krosienkowej pracy, a pani marszałkowa rozcinała i przeczytywała przyniesione dziś rano z poczty pisma, których spory plik leżał przed nią na stole. Pilność panny Jadwigi nie długo jednak trwała; myśli jakieś nurtujące po jej pięknej główce, wywołujące rumieńce na jej twarzyczce i powodujące zmięszanie przy słowach kapitana, owładnęły znać obecnie całą jej istotę, bo zwolna ręce jej opadły bezwładnie na zahaftowaną zaledwie w połowie kanwę, małą, ślicznych kształtów główkę oparła na poręczy wysokiego krzesła, a oczy czarne zamglone dziś jakąś marzycielską mgłą, patrzyły wprost przed siebie, lecz zdawało się, że nie spoczywają one na malowidłach, zdobiących ściany gabinetu, ale spoglądają dalej po za te grube mu-

ry starego dworca, gdzieś w dal, w nieokreśloną, niezbadaną przestrzeń... Wbrew własnym chęciom i postanowieniom dziewczyna — marzyła.

Któż jest w stanie opisać dokładnie dziewczęce marzenia?

Otoczył ją w koło rój znajomych postaci; starsze panie nie szczędziły jej uwag i nauk; przyjaciółki, rówieśnice kłamały jej serdeczność i przywiązanie, a w głębi duszy zazdrościły jej: czarnych, gwiaździstych oczu, hołdów składanych jej, opieki wszechwładnej marszałkowej; widziała się okrążoną całym legionem młodych ludzi, wszystko to dobrzy znajomi, ludzie obdarzeni dowcipem salonowym, bawiący ją ciętą, francuskiemi słowami naszpikowaną rozmową—o niczem.

Postacie te zmieniały się, przesuwały i kształtowały w najrozmaitsze grupy, niby ruchome szkiełka w kalejdoskopie... Wreszcie tłum zrzadł, usunął się gdzieś w dal, a na pierwsze miejsce, na czoło, przedarły się dwie męskie głowy, dwie pary oczu.. Różniły się one między sobą zupełnie, a jednak coś je z sobą jednoczyło, coś niepochwytnego czyniło, że mimo różnic zasadniczych, oczy te dla niej miały podobny wyraz; — tem czemś niepochwytnem było uwielbienie, które ona dla siebie w obu parach tych oczu widziała wyraźnie.

Odgadła wybornie — jak każda zresztą kobieta — odczytała wyraźnie w spojrzeniach tak Walerjana jak i Władysława, że obaj oni mają w sercach dla niej uczucie prawdziwe i nie udane, nie kłamane...

— Czy ona którego z nich już kocha? Czy wybrała już? — Sama nieraz zadawała sobie to pytanie, lecz nigdy nie znajdywała w głębi serca

kategorycznej odpowiedzi... Zdawało się jej, że obaj są jej równie mili... Czasem znowu opanowywał ją smutek dziwny i zwątpienie jakieś bezgraniczne — niby rozpacz bezbrzeżna i zdawało się jej wówczas, że to złuda tylko, że obaj oni drwią sobie z niej — biednej dziewczyny, panny bez posagu, przyjętej z łaski przez bogatą, daleką ciotkę...

— A może choć jeden kocha prawdziwie? — zapytywała sama siebie, pocieszając się w strapieniu. Wówczas przed oczami wyobraźni zjawiała się pierwsza okrągła, poczciwa twarz Władysława, a jego błękitnawo-siwe oczy śpiewały jej cały cudowny poemat bezgranicznego przywiązania... A jednak nigdy słowem jednem nie potwierdził ten hulaka światowy, ten nieustraszony jeździec i zawadjaka — tego, co tak wyraźnie mówiły jego oczy.

— On podobno zrujnowany! — szepnęła w duszy smutnie dziewczyna — chociaż mnie kocha, nigdy tego nie powie, ożeni się zapewne z Niną Monchówną dla poprawienia swoich interesów... Na tę myśl uczuła w duszy straszliwą niechęć, złość prawie do tego zrujnowanego junaka. Opiekunowie bowiem nauczyli ją szanować materjalną stronę życia; w oczach marszałka i całego jej otoczenia najstraszniejszą zbrodnią było — marnować odziedziczony po przodkach majątek; zresztą wiedziała sama dokładnie, że jest on w życiu potrzebny, że trudno się bez niego obejść.... Zapamiętała z dzieciństwa owe straszne dni, które przeżyła przy konającej matce w zimnej izdebce na poddaszu, w nędzy najokropniejszej; poznała wówczas, co to znaczy brak majątku i

obawia się teraz, by kiedyś znowu nie znaleźć się w podobnem położeniu....

Brrrr!... Dreszcz ją przejmuje na samo wspomnienie.

Dreszcz ten odegnał sylwetkę Władysława z przed oczu jej wyobraźni... Chwilę nie było nikogo, chaos i próżnia, wkrótce jednak z próżni tej wychyliła się inna twarz, podłużna, smagło biała, a tak delikatnych rysów, że możnaby sądzić, że ją rzeźbiarz jako model wykuł z marmuru.. Twarz to zmęczona już trochę życiem, które wyżłobiło nie jednę bruzdę na tem wyniosłem czole; oczy jednak płoną jak niewygasające nigdy ogniska, jak drogocenne brylanty w jarzącem oświetleniu balowej sali. I w tym iskrzącym, złotawym blasku czarnych oczu dojrzałego, z życiem obeznanego męża zdawało się jej, że czyta czaru pełne słowo: — kocham! Zdawało się jej, lecz nie była jeszcze tego pewną.. Postać „pana“ Walerego otaczała w jej oczach taka aureola, że nigdy nie śmiała odważnie zajrzeć w głębię jego czarnych oczu i czytać, co w nich spoczywa; lęk jakiś ogartywał ją wówczas, gdy on do niej się zbliżał, drżącym głosem odpowiadała na jego grzeczne zapytania i uważała go w marzeniach swych dziewiczych za jakiś niedościgniony, nadziemski ideał, za bohatera z podań bajecznych. Instynktem kobiecym wiedziona, przeczuwała, że i ten „doskonały“ kocha ją, a jednak i on milczał i uczuć swych nie zdradzał..

W tej chwili marszałkowa poruszyła się na kanapie, odsunęła dzienniki i bacznie spojrzała na Jadwigę, która uczuła, że mimowolnie cała jej twarz pokryła się gwałtownym, ciemnym rumieńcem. Pochyliła więc — złapana na gorącym uczyn-

ku marzycielstwa — zarumienioną twarzyczkę nad krosienkami, siłą woli przerwała na chwilę uparcie wracające marzenia i zaczęła pospiesznie gorączkowo pracować.

— Możebyś się przeszła, Jadwisiu — zagadnęła ją opiekunka — nie dobrze tak siedzieć ciągle, szczególnie po obiedzie.

— Nie, ciociu! Zostanę, chcę koniecznie skończyć przed naszym wyjazdem, mam już tylko tydzień czasu — odrzekła, nie podnosząc oczu od roboty.

— To rób, jeżeliś taka uparta — rzekła, grożąc jej marszałkowa i równocześnie powstała, zbierając się do wyjścia. — Ale pamiętaj, nieposłuszna panno, że jeżeli mi choć trochę pobledniesz, to ci zaraz naszego doktora sprowadzę i żelazne pigułki będą w robocie.. Zobaczysz! Doktor Kocowski nie lubi z takiemi pannami żartować.

— Dobrze, cioteczko! Dobrze! Gotowam umyślnie zacząć chorować, lubię ogromnie z naszym doktorkiem rozmawiać, tyle zawsze ciekawych rzeczy ma do opowiadania...

— Czy może zajęłaś się doktorem? — zapytała, wpadając w dobry humor i śmiejąc się serdecznie marszałkowa. — Nic nie mam przeciw temu, doktor jest bardzo porządny człowiek.

— Nie, ciociu! Nie! — zawołała, wybuchając srebrnym śmiechem dziewczyna. — Doktor łysy i nie zawsze mu wierzę.. Ot, tak go lubię...

Pogroziła ręką jeszcze raz pani Marja figlarnej dziewczynie i wyszła z pokoju.

Wnet potem marzenia opanowały znowu wyobraźnię Jadwigi. Na liljowej kanwie nie przybywało ani jednego ściegu, za to w główce zaniedbującej się hafciarki czarne oczy staczały walkę z

niebieskiemi... Nie wiedziała, które jej milsze, choć w duszy pragnęła ujrzeć te i te co najrychlej. W zadumie pogrążona przesiedziała sama nie wiedząc jak długo i byłaby tak siedziała do zmroku, gdyby nie wejście służącej, która przerwała marzenia, wołając pełnym przejęcia głosem:

— Jaśnie pani prosi panienkę na dół, już państwo stoją przed gankiem, już czekają, nawet pan kapitan z panem Józefem z polowania wrócili, tylko co nie widać jak z wiankiem nadejdą, już słychać jak śpiewają za ogrodem.. Proszę panienki iść zaraz, bo inaczej panienka nic nie zobaczy.. Nastce Filemonowej dali wianek, a drużkami Frosyna Mielnikowa i Hańdzia Pałamarowa — same nasze ogrodowe dziewczęta...

Potok wymowy gadatliwej pokojówki byłby płynął jeszcze długo, gdyby nie przerwała go Jadwiga, powstając nagle i wychodząc z gabinetu. Gdy zeszła na dół, ujrzała już marszałka, ciotkę, kapitana z Józiem i całą dwornię zgromadzoną u niezbędnej pałacowej kolumnady. Twarz marszałka przybrała dziwny jakiś wyraz niezwykłej powagi; przygotowywał się do przyjęcia wianka z tegorocznej pszenicy z takiem namaszczeniem, jakby dawny kapłan pogański, druid jakiś mityczny do złożenia symbolicznej ofiary bogom przyrody, siłom dającym urodzaj i obfite zbiory. Piękny był ten siwy szlachcic zasłuchany w nutę pieśni dożynkowej, która płynęła powietrzem i łamiąc się o mury dworca pańskiego i rozbrzmiewała kilkakrotnem echem pomiędzy zabudowaniami gospodarczemi.

„Wyjdy pane z pokoju
Meży hromadu swoju;
Newelyka hromada,
Koły w polu porada“.

Brzmiały słowa pieśni, która pewno wieki przeżyła, którą śpiewały liczne, liczne pokolenia‘ spoczywające już hen tam na mogiłkach, pod darnią zieloną, pod próchniejącymi dębowymi krzyżami.

Tęskna nuta pieśni podziałała na słuchaczy: ustały wszelkie szepty pomiędzy służbą, chłopcy kredensowi i dziewczęta garderobiane z natężoną uwagą i tłumionem westchnieniem przysłuchiwali się tej nucie, która i do ich serc drogę znaleźć umiała, wszak i oni z pod tej słomianej strzechy wyszli, pod którą mieszkają dzisiejsi śpiewacy.

— Maryniu — szepnął do żony marszałek takim przyciszonym głosem, jak mówi się w kościele podczas nabożeństwa — żytni wianek ja odbiorę, ty zaś weź pszenny... A ty Józiu — zwrócił się do syna — odbierz „kwiatki...“ [1]) Czy masz rublowe banknoty?

— Mam! — odpowiedział tak samo przyciszonym głosem chłopak i cisza zupełna zapanowała znowu.

W bramie wjazdowej ukazał się już tłum włościan. Przodem szła słuszna, silna, rumiana dziewczyna, o krągłej, opalonej twarzy i wydatnych, bujnych piersiach; odziana była w zwykłe ubranie, to samo, w którem pracowała cały dzień, gruby tylko biały wieniec z kłosów żytnich był oznaką dzisiejszego jej dostojeństwa. Tuż za nią postępowała druga smagła, bardzo piękna dziewczynka z wiankiem pszennym na głowie. Obok nich szły cztery drużki mniejsze wzrostem i widocznie młodsze wiekiem, kandydatki na przyszłość do go-

[1]) Bukieciki z kłosów, które niosą na głowach drużki dożynkowe.

dności „panny młodej"... A po za niemi tłum ludu, wesoły, śpiewający, rozochocony. Teraz każde słowo pieśni dokładnie słyszeli zgromadzeni przed pałacowym gankiem. Żniwiarze śpiewali:

„Wyjdy panoczku do nas,
Wykupy winok wid nas...
Winoczok na kiłoczok
Czerwończyk na tanoczok".

Cała ta fala ludu wtargnęła już była na dziedziniec pałacowy, gdy nagle coś zamąciło ich pochód; tłum się rozskoczył na strony; jakiś obcy dźwięk przygłuszył nutę tęsknej pieśni... I wnet z po za tłumu żniwiarzy wysunęły się dwa piękne łby rasowych klaczy, które idąc szalonym kłusem ciągnęły mały wózek wprost pod ganek.

Na ten widok twarz marszałka zmarszczyła się nagle, a w oczach błysnął wyraz gniewu.

— Kto to taki? — zapytał nagle, zwracając się do Jadwigi.

Zapytana dziewczyna zarumieniła się gwałtownie, lecz nic nie odrzekła.

— To nasz kochany szaleniec!... To Władek! Nie poznajesz go marszałku? — podchwycił, widząc zmięszanie Jadwisi stary kapitan. — O wilku mowa, a wilk tu! — i podbiegł na powitanie gościa, który zatrzymał w tej chwili spienione konie u samego podjazdu.

X.

Władysław zeskoczył pospiesznie z wózka i podbiegł przywitać gospodarzy.. Marszałkowa życzliwie się doń uśmiechnęła, marszałek jednak miał ciągle zmarszczone brwi i gdy go Władysław w ramię całował, szepnął dość niechętnie:

— Jeździsz zawsze jak warjat!... I dziś omal nie potratowałeś mi ludzi.

Nic nie odpowiedział Władysław na tę przymówkę poważnego marszałka, tylko natychmiast zwrócił się ku Jadwidze i wyciągnął ku niej dłoń na powitanie.

— Czy i pani także potępi mnie za pośpiech, z jakiem zajeżdżałem przed uniski ganek? — zapytał, przytrzymując jej rękę w swej szerokiej dłoni.

Dziewczyna zarumieniła się znowu i pospiesznie rękę cofnęła.

— Zapewne, że wart pan nagany, omal nie porozjeżdżałeś pan żniwiarzy, którzy tak pilnie dla wuja pracowali... To nie ładnie! — mówiła, pochyliwszy główkę ku ziemi. Ze spojrzenia jednak, które przedtem rzuciła na ogorzałego chłopaka, sądzić on mógł, że nietrudno przyjdzie mu otrzymać przebaczenie za zbrodnię dziś popełnioną.

Orszak dożynkowy zbliżył się wreszcie do samego ganku; dziewczyna niosąca żytni wianek podeszła do dziedzica i pochylając głowę przed nim prosiła go o przyjęcie tego symbolu skończonych zbiorów. Chór śpiewał ciągle... Po żytnym wianku przyszła kolej na pszenny, „panna młoda,“ niosąca go przyklękła przed marszałkową, a cały tłum zanucił nową pieśń na inną, weselszą nutę:

„A nasza pani pyszna
Pered worota wyjszła;
Kluczamy zadzwonyła,
Bohu sia pomołyła
Szczo w polu obrobyła“.

Baby wszystkie i stare i młodsze zaczęły przy dźwięku tej pieśni klaskać w takt rękami i cisnęły się tłumnie do ucałowania ręki miłosiernej i lubianej powszechnie pani. Wszczął się hałas, pisk. gwar trudny do opisania, a równocześnie wiejska kapela, złożona ze skrzypiec, cymbałów, bębenka i basetli, zagrała od ucha skocznego kozaka.

Przestraszone tym hałasem konie Władysława dopuściły się nowej zbrodni; zatrzymał je Hryń obok oficyny i dopomagał Żorżowi do wydobycia z pod kozła kuferka, gdy nagle konie usłyszawszy pisk i hałas, spotęgowany wrażeniem głośnej brzękliwej muzyki, a nie czując hamującego ich zapał wędzidła ruszyły z kopyta w około obszernego dziedzińca... Hryń kuferek wyrzucił, lejce schwycił i w czas na koźle się usadowił, ale spłoszonych koni nie mógł od razu opanować, i tak rozhukane, chrapiące, ale prześliczne i wspaniałe w tem podnieceniu obleciały

dwa razy w koło gazonu, zanim je zdołał powstrzymać.

Ludzie instynktownie usunęli się na stronę, a na widok wspaniałych zwierząt z ust żniwiarzy wyrwał się jednobrzmiący okrzyk oznaczający uwielbienie i podziw — Ah-h-h!

I w oczach Jadwigi i kapitana odmalowało się to samo wrażenie; marszałek tylko zirytowany do żywego, krzyknął na Hrynia:

— Trzymaj gamoniu dobrze w łapach te bestje, bo nieszczęścia narobią!

Władysław stał zmięszany i zawstydzony, słowa i zachowanie się wuja gniewały go w gruncie, czuł jednak, że zasłużył w części na nie; wiedział jednak z doświadczenia, że objawy złego humoru starszego krewnego należy znieść cierpliwie; — obrazić się na marszałka, byłoby szczytem śmieszności, a jemu w szczególności zaszkodziłoby bardzo...

Poczciwy kapitan odgadł od razu stan, w jakim znajdował się Władysław, i pospieszył z ratunkiem. Staruszek ten miał swój specjalny sposób ratowania sytuacji, odwracał uwagę słuchaczy od drażliwego przedmiotu opowiadaniem jakiejś dykteryjki, zaczerpniętej z długoletnich wspomnień.

— Anglezy! mości dzieju anglezy! — zaczął uśmiechając się wesoło. I za moich czasów już się była ta manja rozpoczęła. Na oko podobne do konia, ale w gruncie rzeczy hetka... Patrzysz... z boku — niby to koń, popatrz z przodu — motyka..

Marszałek widocznie nie słuchał słów kapitana, tylko zatopił się w rozmowie ze starszymi gospodarzami wsi, nie zwracał jednak na to

uwagi staruszek, tylko prawił dalej pewny, że wreszcie ściągnie uwagę pana domu na swą opowieść...

— Za moich czasów był adjutantem w. ks. Konstantego, Niemiec kurlandzki, baron Schnapshoff — mówił dalej kapitan, który zawsze przekręcał, lub zgoła wymyślał nieistniejące niemieckie nazwiska — otóż ten baron miał u nas pierwszy angielskie konie.. Dziergi to były, Boże odpuść, jak żyrafy, szczególniej jedna którą nazywał „Miss-fic"... Ja wówczas wyszedłem był od podchorążych i służyłem jako podporucznik w konnej artylerji, a konia miałem karego, którego mi wuj od ś p. ks. Eustachego ze Sławuty kupił; „Szumka" się ten koń nazywał i szedł z tego samego jeszcze rodu, co on sławny Szumka, na którym książę Józef jeździł.

— Co tam pan kapitan opowiada? — zapytał zbliżając się marszałek, udobruchany już trochę i widocznie wstydzący się swego uniesienia i szorstkiego przyjęcia, jakiem przywitał Władysława. — Jakaś końska historja?...

— To o baronie Schnapshoffie, kochany marszałku, musiałeś ją już słyszeć, znudzisz się odgrzewaną historją, chłopi ci pewno coś ciekawszego powiedzą, — odpowiedział, uśmiechając się filuternie stary szlachcic, i powrócił do rozpoczętego opowiadania.

— Otóż ten adjutant książęcy, ten baron kurlandzki strasznie się chwalił swojemi angielskiemi szkapami, a mego karego przezywał haniebnie to: kogutem, to kwikunem, to mości dobrodzieju — indykiem; pasja mię porwała, okropna i postanowiłem szwaba rozumu nauczyć.. A wygrałem był właśnie kilka dni przedtem w faraona ze sto du-

katów... Proponuję więc baronowi po sto dukatów za ręce i wyścig po terenie, który ja wyznaczę... Szwab się zgodził i śmiał się z góry i na śniadanie za wygrane pieniądze zapraszał już naprzód... Jak przyszło do rzeczy, pokazało się, że angielska mości panie „Miss“ zjadła mydło Na naszej drodze była młynówka dość szeroka.., Szwab jechał z razu przodem i tak parł, że aż mię strach obleciał, aż tu patrzę, dojeżdża do owej młynówki... Hop!.. A tu nie dopisało! Kobyła się tylko spięła, panie, i susa, panie, na prawo... On ją spicrutą — a ona fajt na lewo... Tymczasem i ja nadleciałem. Szumkę ścisnąłem ostrogami, z lekka do skoku podniosłem, a później zfolgowałem mu trochę cugli... Ani się nie obejrzałem, a już na drugiej stronie się znalazłem... Tedy się oglądam, a szwab swoją mis młóci jak cepem, a ona wierzga i t. d. Ukłoniłem mu się grzecznie i pojechałem do mety... Ot, co są angielskie konie!

— Oh! że mój Warchoł nie odmówi żadnego skoku, to ręczę kapitanowi — zawołał zajęty opowiadaniem Władysław.

— Ciekawym bardzo tego Warchoła zobaczyć, wmięszała się do rozmowy Jadwiga, doskonała amazonka i wielka amatorka koni.

— Już to ja tych arcyrasowych nie lubię — zakonkludował marszałek — sam jeżdżę na mierzynie, a cug pani marszałkowej umyślnie co roku idzie na kilka dni do siewnika, żeby nie odwykały od roboty... Po co Pan Bóg konie stworzył, jak nie po to, żeby pracowały? No, a teraz chodźcie na herbatę, a pan panie Wolski— zwrócił się do ekonoma — zabierz ludzi do oficyny i tam przed piekarnią mogą sobie pohulać, byle

nie dłużej jak do dziesiątej, i pilnuj mi, żeby żadnej rozpusty nie było...

— Wedle rozkazu jaśnie wielmożnego marszałka — odpowiedział kłaniając się pan Wolski.

Za chwilę państwo znaleźli się przy stole. Nieszczęśliwy to znać był dzień dla Władysława, nie wiodło mu się dziś w niczem, był rozdrażniony i zirytowany; rozmowa z Walerym, scena w restauracji, szalona kilkumilowa jazda, przyjęcie przez marszałka, wszystko razem rozstroiło mu nerwy, usiadł więc milcząc do stołu, i sam nie zaczynał rozmowy, tylko rzucał od czasu do czasu tęskne, a równocześnie pytające spojrzenie w stronę Jadwigi, siedzącej wprost naprzeciw.

— A ty Władziu, czyś już skończył żniwa? — przerwał pierwszy dość kłopotliwe milczenie marszałek,

— Tak!... To jest prawdopodobnie dziś dokończą. Gdy wyjeżdżałem, to zostało tylko pięćdziesiąt morgów.

Na te słowa czoło marszałka znowu się zmarszczyło i rzekł porywczo:

— Cóż to za moda, żeby gospodarz przed dożynkami z domu uciekał?... Pan Władysław — był to wielki objaw gniewu, gdy marszałek do którego z młodych ludzi przez „pan“ przemówił— nigdy nie będzie dobrym gospodarzem, obywatelem spełniającym ściśle swe obowiązki... Ja panu Władysławowi powiadam, że naszym świętym obowiązkiem jest zbliżyć się do ludu, zżyć się z nim i naprawić błędy popełnione przez naszych przodków... A wyjeżdżanie przed taką, przez tradycję uświęconą uroczystością jak dożynki, nie prowadzi nas do tego celu.

— Miałem konieczny interes zobaczyć się z Walerym Zienwiczem, pojechałem za nim do Kamieńca — odparł pokornie młody człowiek — a później chciałem być koniecznie u państwa przed ich odjazdem do Badenu. Zatęskniłem już strasznie za Uniżem — Tu rzucił znaczące i śmiałe spojrzenie na Jadwigę, która oczu nie spuściła, i widocznie rada była temu spojrzeniu,

— Eh! Nie jest to znowu tak straszna zbrodnia, mój Ludwiku — wmięszała się do rozmowy marszałkowa, chcąc widocznie obronić młodego człowieka przed pociskami złego humoru męża — niby to ty za kawalerskich czasów nie opuściłeś kiedyś podobnych uroczystości... Ręczę, że Władzio jak się kiedyś ożeni, to będzie doskonałym gospodarzem i będzie w domu siedział.

Słowa marszałkowej wywołały równocześnie fale rumieńców na twarzach Władysława i Jadwigi; w pierwszej chwili spuścili oboje oczy, wnet jednak spojrzenia ich spotkały się znowu i utonęły we wzajemnem porozumieniu dusz. Władysławowi wydało się, że los jego już jest zdecydowany i opanowała go dziwna jakaś rozkosz, połączona z nieokreśloną lękliwością; zapomniał o całym świecie, nie słyszał słów marszałkowej, nie zwracał zupełnie uwagi na rozmowę otaczających go osób, zdawało mu się ona brzęczeniem much, całą duszą zatopił się w badaniu wzroku ukochanej dziewczyny... Lecz był zdolny do wypowiadania swych uczuć tylko — wzrokiem, gdyby byli nawet zostali sami, to czuł wyraźnie, że nie potrafiłby w tej chwili zdobyć się na słowo wyznania — na stanowczy krok.

A ona?.. Jej podobał się teraz ten dzielny chłopak, o męskiej, junackiej—twarzy i spragniona

miłosnego wyznania upajała się tą bezgraniczną czułością płynącą z rozmodlonych oczu młodzieńca. Tamta smagła twarz o czarnych oczach, którą w marzeniach stawała obok, walczyła z Władysławem, znikła teraz zupełnie w obec współzawodnika żywego, z krwi i kości. Namiętne przywiązanie przemawiające z każdego ruchu, z każdego spojrzenia młodego człowieka, zwolna, bezwiednie zapanowało nad nią, serce jej uderzało niespokojnie, a w wyobraźni starała się sobie przedstawić dokładnie tę chwilę, kiedy on jej wyznawać będzie swą miłość namiętną; stroiła ją tysiącem kwiatów rozbujałej dziewczęcej fantazji... Czy kochała go jednak? — Nie wiedziała tego sama. Czuła tylko dokładnie, że dusza jej pragnie całą siłą owego nieznanego dotychczas uczucia; że pragnienie to objęło już całą jej istotę, że krąży wraz z krwią po całym organizmie i serce jej ściska nieznaną przedtem trwogą, lub bezwiednie, mimowolnie rumieni jej policzki gorącej krwi strumieniem. Nie mogła sobie wyraźnie powiedzieć, że kocha Władysława Kierbicza; czuła jednak, że gdy on od niej miłości zażąda, to nie odmówi mu i jest w stanie pokochać go — na zawsze, do śmierci, całą potęgą młodego, miłości spragnionego serca.

Rozmowa przy herbacie toczyła się dalej o sprawach obojętnych, a tych dwoje siedziało milcząc; zapatrzeni byli w siebie, a choć chwilami spuszczali oczy ku ziemi, to tylko na to, ażeby je natychmiast znowu na siebie skierować.

Wreszcie marszałkowa, widząc doskonale roztargnienie Władysława i zmięszanie Jadwigi, popatrzyła z cichem westchnieniem na milczącego, w sufit zapatrzonego jedynaka, marzącego zapewne o jakiemś nowem fizycznem doświadczeniu i

niemem skinieniem dała znak do powstania. Władysław w tej chwili dopiero ujrzał, że nie tknął dotychczas stojącej przed nim filiżanki z herbatą, chwycił ją pospiesznie, a podniósłszy do ust jednym haustem wlał w nie wystygnięty już zupełnie napój Na ustach patrzącej na to Jadwigi wykwitł nagle wesoły, rozkoszny uśmiech.

— O czem pan myślałeś podczas herbaty? — zapytała go, gdy przechodząc do salonu w drzwiach znaleźli się obok siebie.

— Ach, o tysiącu rozmaitych rzeczy!—odpowiedział jej tym samym przyciszonym głosem, lecz wzrok jego rozkochany mówił jej wyraźnie: — O tobie, o tobie, jedyna, ukochana dziewczyno!

I byłby jej to powiedział słowami, byłby ją przycisnął do piersi, w której biło rozszalałe rozbolałe serce, gdyby nie obecność marszałkowstwa, kapitana, Józia.. Ach, jakże pragnął tego wieczoru znaleźć się sam na sam z Jadwigą i wszystko jej wyznać.. i prosić, błagać o wzajemność, której swoją drogą tego wieczoru był pewny.

Tymczasem jak na złość marszałek przypomniał sobie jakiś dawny interes majątkowy i wezwał go z sobą do kancelarji i kazał mu wertować wraz z sobą jakieś dokumenty stare, przed jego przyjściem na świat sporządzone. Kazał mu zliczać całe kolumny cyfr, dodawać, odejmować, mnożyć i dzielić, a później z niekłamanem zdziwieniem patrzył nań, gdy się on w tych działaniach arytmetycznych mylił, gdy dzielił wówczas, kiedy powinien był mnożyć i na odwrót. Z powodu tego roztargnienia zajęcie, które mogło się skończyć w kwandrans, potrwało z górą dwie godziny, w których poważny marszałek zirytował się kilka razy na serjo.

Później, gdy powrócili do salonu, napróżno starał się znaleźć sposobność pomówienia z Jadwigą gdzieś na ustroniu, sam na sam... Gdzież znowu? Fatalizm jakiś prześladował go bez przestanku: marszałkowa widząc, że siedzi milcząco i nie miesza się do ogólnej rozmowy usiadła obok niego i przez długą godzinę zabawiała go opowiadaniami o dalekich ich wspólnych krewnych mieszkających w Galicji i Królestwie; musiał jej z uwagą słuchać, lecz w duszy uczuwał wstręt do wszelkich krewnych, choćby najzacniejszych, choćby najświetniej urodzonych i tytułowanych. Siedział obok ciotki, machinalnie słuchał jej słów; lecz patrzył ciągle w stronę Jadwigi, łowił każde jej spojrzenie...

— Jadwisiu! Wstań dziecko i przymknij okienko, zdaje mi się, że jest jakiś nie miły przeciąg — zwróciła się nagle marszałkowa do swej pupilki i wnet znowu zaczęła coś opowiadać Władysławowi.

Lecz on tego nie słuchał już, zerwał się nagle i podbiegł do okna, gdzie napróżno starała się niska wzrostem dziewczyna przymknąć wysoko umieszczone okienko... Pomógł jej... Ręce ich przy tem się zetknęły i on uczuł w tej chwili gwałtowną chęć pochwycenia tego szczupłego dziewczęcia w ramiona przyciśnięcia go do piersi... Cóż kiedy marszałek śmiejąc się żartobliwie, zapytał: co tam tak długo majstrują we dwoje koło jednego okienka?

Wrócili do towarzystwa: on z cichą klątwą na ustach, ona z dziwnym, jakimś wyrazem zniecierpliwienia i lekkim ironicznym uśmiechem w około pięknych karminowych ustek.

Wkrótce później marszałek dał hasło do rozejścia się na spoczynek.

— Wyspać się trzeba! — mówił przybierając arcykapłańską minę — jutro wcześnie potrzeba wstawać.. Kiedy ty jeszcze spać będziesz, leniuchu — zwrócił się do Władysława — ja objadę wszystkie pola.

— I ja jutro rano wstanę! Zobaczy wuj — odparł Władysław całując go w ramię na dobranoc— tylko nie pojadę w pole, a zaproszę się na wczesną herbatkę do ciotki. —Mówiąc to spojrzał znacząco na Jadwigę.

— O ósmej już gotowa — odpowiedziała marszałkowa dając mu do pocałowania swą rękę — zobaczymy tego rannego ptaszka — dodała śmiejąc się — pewno zjawi się około dziesiątej... jak zwykle.

— Czy pani także tak rano pija herbatę?— zapytał Władysław Jadwigę ściskając mocniej niż potrzeba jej rękę ciekawy jestem kto prędzej się stawi w jadalnej sali?

— Oh! zobaczy pan, że ja! — zawołała dziewczyna i znowu spłonęła rumieńcem. —Ja bardzo rano zwykle wstaję, co dziennie sama przygotowuję kawę dla wujaszka i dziadunia. , Dobranoc panu! Miłych snów! — I uśmiechnęła się figlarnie.

Gdy rozeszli się, kapitan odprowadził Władysława do gościnnego pokoju.

— Długo mówić z tobą dziś nie będę — rzekł gdy znaleźli się sami — to ci tylko powiem, że miałbym cię za fujarę, gdybyś sobie z dziewką nie dał rady... Płonie jak pochodnia. A choć ona tam nie bogata, to zawsze marszałkowa coś na posażek da... Miała-ci kochana siostrzeniczka ochotę wyswatać moją Jadwisię za naszego Józka,

ale z tego nic; chrześcijanką jest i grzechu na siebie nie weźmie, siłować panny nie będzie, a i tobie nie jest krzywa, bo z twoją matką jak rodzone się kochały..

— Ale czy panna mnie zechce? — szepnął cicho i trwożliwie jakoś Władysław.

— Gamoń aspan jesteś! Cóż to, czy ty taki jak Józek, czy co? — grzmiał stary artylerzysta. — Ostro, panie, przywitać ją kartaczowym ogniem spojrzeń, a później puścić jej jednę bombę, panie, ale prosto w serce i bramy ci otworzy... Nie ma takiej fortecy, mój kawalerze, żeby się nie poddała, gdy się ją śmiało i umiejętnie atakuje.. No, teraz śpij dobrze, a rano Bogu się pomódl i marsz do ataku; słowo daję, że się jeszcze stary kapitan Bończa spije na twoim weselu, tak, jak spiłem się na weselu twej nieboszczki matki... Dobranoc!... A, a, przy tej herbacie, którąś sobie tak dowcipnie wymądrował, przeszkadzać ci nie będę i marszałka w pole wyprawię.. Wal prosto z mostu! nie oglądaj się, będziesz miał czas, bo marszałkowa dopiero koło dziewiątej przychodzi... Dobranoc!..

— Dobranoc! — odpowiedział Władysław i serdecznie przycisnął usta do pochylonego ramienia dzielnego starca.

Gdy kapitan wyszedł, Władysław zadzwonił na Żorża, lecz musiał dzwonienie to kilkakrotnie powtórzyć, zanim chłopak zaaferowany jakiś i roztrzepany zjawił się.

— Gdzie cię zawsze licho nosi? — zawołał pan.

— Proszę wielmożnego pana, panienka mnie kazała zawołać do garderoby, jeszcze na kolację, tam panna Dorota dała mi jeść jak koniowi i dała mi herbatę... I sama panienka wychodziła do mnie,

pytała się: czy ja pana słucham? Dobra panna— trzepał dalej chłopak, rozbierając milczącego pana — wszyscy słudzy ją chwalą, mówią, że bardzo miłosierna i nikomu złego słowa nie powie... Żeby wielmożny pan wiedział, co te dziewczęta tu mówią? Taże one rozpowiadają, że..

— Cicho bądź, głupcze! — zawołał, przerywając mu Władysław — tyle razy powtarzałem ci, żebyś mi plotek żadnych nie nosił.. Idź, przynieś mi z kuferka książkę, tę w żółtej oprawie i ruszaj spać, jutro zaś przed ósmą mnie obudź.... No, idź!...

I został sam. Książkę trzymał w ręce, lecz jej nie czytał, pogrążył się w jakiemś słodkiem dumaniu, w którem stracił zupełnie rachubę czasu. Kwadrans po kwadransie wydzwaniał wieżowy zegar na oficynie pałacowej, on nie słyszał tych głosów... Śnił na jawie, snuł cudną przędzę marzeń miłosnych; siłą wyobraźni powoływał do życia przyszłe obrazy szczęścia, a w obrazach tych zlewało się wszystko w prześliczną harmonję, nic nie zamącało, nie burzyło spokojnych ich konturów. Tak marzył pewno z godzinę, później chmura jakaś zawisła mu nad horyzontem myśli; wątpliwości rodzić się zaczęły i męczyły go strasznie.

— Ona mnie nie zechce! — szepnął z cicha, a równocześnie uczuł, że krew mu krzepnie w żyłach i zdawało mu się, że już nie potrafiłby żyć bez tej dziewczyny... Prawem reakcji brnął dalej w pesymizmie, za chwilę wydało mu się, że już wyznał jej swą miłość słowami — ona rozśmiała się i odrzuciła, pogardziła jego uczuciem. Wkrótce dowiaduje się, że — wychodzi za Walerego... Chciał się mścić, ale nie może, bo zawsze ją kocha nad życie, więcej niż świat cały, niż siebie samego...

Chroni się więc do klasztoru i gdzieś w górskiem zacisznem ustroniu kończy życie złamane... Długo męczyć się nie będzie potrzebował; śmierć jak na zawołanie przyjdzie rychło... Już, już nadchodzi!... I oto — przez dziwne złudzenie wyobraźni — widzi się już na skromnym katafalku, w małej, ciasnej celi; braciszek zakonny szepcze nad nim modlitwę... aż tu drzwi się otwierają i wchodzi ona cała w czerni, złamana i zawstydzona... Ona, przyczyna jego śmierci.

W tej chwili zerwał się i usiadł na łóżku, idąc za pierwszem popędem przeżegnał się, później jednak rozśmiał się serdecznie i splunął... Zegar wydzwonił pierwszą godzinę; dźwięk ponury starego zegaru przywiódł go zupełnie do samowiedzy, zwrócił myśl do rzeczywistości. Przypomniał sobie rady kapitana; pomyślał, że stary przyjaciel musiał mieć jakieś podstawy do tego, co mu mówił i uspokoił się tem bardzo. Za chwilę zgasił świecę i starał się zasnąć, nie szło mu to jednak i długo jeszcze można było słyszeć niecierpliwe przewracanie się po łóżku, nim sen gorączkowy i widziadeł, zmor jakichś pełny, skleił jego powieki.

I Jadwiga długo zasnąć nie mogła.. I ona utonąwszy w białem panieńskiem łóżeczku, długo marzyła, długo śniła na jawie, lecz marzenia jej były o wiele bardziej zbliżone do rzeczywistości, więcej z życiem realnem związane... Pierś jej podnosiła się nierównym, gwałtownym ruchem; włosy rozpuszczone okrywały szyję i ramiona, — a ona oparłszy głowę na obnażonej ręce dumała nad tem: czy on się jej jutro oświadczy, czy nie?

— Może on żartuje tylko? — zapytywała się trwożnie sama siebie, lecz w ślad za tą myślą

wybiegał uśmiech, zdradzający pewność siebie, świadczący, że znała swą władzę i potęgę... Tak, wiedziała ona na pewno, że on ją kocha, że bez niej żyć nie może obecnie, że dziś oddałby życie, żeby ją posiąść, ale czy tak będzie dalej, czy on jest w stanie kochać wiernie.. On, człowiek światowy i w dodatku zrujnowany!... Wszak ona nie wymaga wiele, ale w każdym razie coś mieć muszą, a czy on na to coś się zdobędzie?... Może lepiej nie myśleć o nim.. zapomnieć?.. I czuła w tej chwili, że mogłaby być posłuszną temu rozkazowi, że zapomniałaby o nim, i nie złamałoby to jej serca; lecz czuła i to, że gdyby się on teraz znalazł tuż obok niej, z temi rozkochanemi, promieniejącemi oczyma — to zarzuciłaby mu białe swe ręce na szyję, okryłaby go tym płaszczem czarnych włosów i powitałaby go długiem, płomiennem pocałunkiem... Myślą tą ukołysana, marzeniem upojona, usypiała zwolna, aż główka jej zsunęła się niżej na poduszkę, ręka uwolniona zwisła z łóżka... Paląca się świeca oświetlała ten cudownie piękny, rodzajowy obrazek, na który nie spoglądało oko żadnego artysty.

— — — — — — — — — — —

O trzy kwadranse na ósmą, Żorż wsunął się po cichu do pokoju Władysława... Pan jego spał twardo, poduszkę zepchnął na bok, kołdra zsunęła się na ziemię, nie przeszkadzało to jednak młodemu człowiekowi spać snem kamiennym; na ustach jego na wpół rozchylonych igrał wesoły, swobodny uśmiech, a z pod przymkniętych powick zdawało się gwałtem wydzierać ciekawe, figlarne spojrzenie. Chłopak stał jakiś czas nad łóżkiem, nie mając widocznie odwagi przerwać

panu tak smacznego snu; na twarzy Żorża malowała się niepewność i wahanie; wreszcie popatrzył na pański zegarek leżący na stoliku, machnął ręką, niby mówiąc gestem: nie moja wina! — i zbliżył się do spiącego.

— Wielmożny panie! — szepnął, dotykając się do obnażonego ramienia. — Wielmożny Panie! Panie! — powtórzył głośniej.

Władysław ani drgnął.

— Panie! Panie, już ósma dochodzi! — krzyknął już zupełnie głośno i to w samo ucho śpiącemu. — Proszę wstawać! Pan kazał się zbudzić!...

Tak energiczne środki poskutkowały, Władysław otworzył oczy, ziewnął przeciągle, nerwowo, przetarł oczy i machinalnie spytał chłopaka:

— A jak tam, Żorż, na dworze?

— Pogoda proszę wielmożnego pana — odpowiedział zapytany — ale żeby pan nie zasnęli znowu — dodał z obawą — i tak ledwo się dobudziłem, a pan kazali koniecznie się zbudzić.

— Dobrze! dobrze! — przerwał mu Władysław — dawaj tylko wody — przy tych słowach jednym skokiem znalazł się na podłodze.

Dziś ubieranie trwało króciej, niż zazwyczaj, o kwadrans na dziewiątą był już w sali jadalnej. Przywitał go tam stary kredencarz, mówiąc, że pan marszałek i pan kapitan wypili już śniadanie i pojechali konno w pole, a panie jeszcze śpią...

Dusza Władysława była podobną tego poranku do niesłychanie czułego instrumentu, który pod najlżejszem dotknięciem głębokie i przejmujące tony wydaje... raz wesołe, to znowu bez przy-

czyny wyraźniej smutne i zrozpaczone. W tej chwili drobne w gruncie rzeczy i nic nieznaczące zdarzenie—wypadek. że nie zastał Jadwigi w sali jadalnej wprawiło go w pesymistyczne usposobienie; świat cały wydawał mu się w tej chwili jedną wielką pustynią, ludzie potworami, widział wszystko w czarnych kolorach

Jadwiga tymczasem, nie zbudzona przez mniej usłużną niż Żorż pokojówkę, spała snem młodej zdrowej dziewczyny i śniła — że Władysław się jej oświadcza.

— Jaśnie pan pozwoli kawy, czy herbaty? — zapytał Władysława stary Marcin, odwieczny kredencarz.

— Nie, Marcinie! Nic nie będę teraz pił—odrzekł Władysław, budząc się z głębokiej zadumy—poczekam na panie.

— Wola pańska! — mruknął stary i wyszedł do kredensu.

Władysław, zostawszy sam, dał folgę napadom pesymizmu.

— Unika mnie — myślał, kręcąc gniewnie jasne wąsy — unika sposobności stanowczej ze mną rozmowy.. Dziwna dziewczyna, dwie zupełnie różne siedzą w niej istoty... A może Karol ma rację, że ona tylko flirt lubi i o bogatym mężu myśli... Ten Walery!... A jednak nie! nie! nie!... On o niej nie myśli, ani ona o nim... Dla czego jej dotychczas nie ma? Widocznie mnie unika, przecież wyraźnie wczoraj powiedziałem że będę tu o ósmej. Nie chce widać dopuścić do oświadczyn, chce mnie na pasku trzymać...

Snując podobne niewesołe myśli, chodził w około jadalnego stołu dużymi, nierównymi krokami, zdradzającymi podrażnienie nerwowe... Gdy

wybiło pół do dziewiątej tupnął niecierpliwie nogą i krok jego stał się szybszy i jeszcze nierówniejszy. Od czasu do czasu stawał i zamyślał się, słuch jego wówczas pracował i łowił szmery, odzywające się w dalszych pokojach... Czas zdawał mu się niesłychanie długi i zawsze później, gdy przypominał sobie owe chwile, zdawało mu się, że lata całe przeczekał wówczas.

Nareszcie na kilka minut przed dziewiątą usłyszał w sąsiednim salonie pospieszne kroki i szelest znanego mu fularowego szlafroczka; serce żywiej mu zabiło, krew napłynęła do twarzy i silniej zadrgała w tętnicach. w około ust jednak pozostał wyraz niechęci jakiejś i gniewu ukrytego... Za chwilę Jadwiga stała w drzwiach sali jadalnej; jasne promienie słońca, wpadające do tego pokoju od wschodniej strony, oświetliły całą jej drobną postać i otoczyły jej główkę aureolą jakąś. W całej jej postaci widniał pospiech i pewien gniew na opóźnienie.

— Dobry dzień panu! — zawołała pospiesznie, wyciągając ku niemu rękę na powitanie. — Dobra ze mnie gospodyni! spaźniam się, a pan na herbatę czeka.. Czy dawno już pan tę pielgrzymkę odbywa?

Władysław patrzył, lecz pesymizm go oślepiał, nie widział jej zmartwienia, nie spostrzegał śladów pospiechu, nie zauważył zmieszania... Nic tego nie widział, ale dostrzegł uśmiech wesoły i swawolny ton mowy.

— Karol ma rację! — pomyślał w tej chwili. — Zalotna!...

A pomyślawszy to, stłumił gwałtem bicie serca uczuł jakąś dziką złość w duszy i odpowiedział zimnym, ironicznym głosem:

— Od ósmej, panno Jadwigo, ale czyż warto dla mnie budzić się wcześniej niż zwykle; nawet pan Wędzolski ponoś na większe względy zasługuje, niż ja, tak dawny znajomy...

Gdy rzucił te niebaczne słowa, wnet ich gorzko pożałował, za późno jednak już było... Jadwiga spojrzała nań zdumionym wzrokiem, usta jej drobne ścięły się gniewnie, w duszy jej zrodziła się myśl, która całą jej istotę napoiła żółcią.

— On żartuje sobie ze mnie!—pomyślała i w pierwszej chwili, nie umiała znaleźć słowa odpowiedzi.

Władysław natychmiast odczuł, jakie wrażenie zrobiły jego słowa, zrozumiał, że zrobił głupstwo, a w dodatku popełnił niegrzeczność, zbliżył się więc do Jadwigi i chciał ująć powtórnie jej rękę mówiąc:

— Niech mi pani przebaczy ten niewczesny żart... Tak! Żartowałem tylko.

Lecz przytomna dziewczyna była już zupełnie panią swej woli, wyraz zdumienia i rozgoryczenia zniknął z jej twarzy, a jego miejsce zajęły stanowczość i pewność siebie.

— Pan Władysław żartuje! — odrzekła powoli, wymawiając dobitnie każde słowo — Wiem już obecnie, że pan żartuje; zapewne to żartów takich nauczył pana hrabia Karol, pański przyjaciel... Nie spodziewałam się jednak, żeby siostrzeniec mojej opiekunki dopuszczał się takich żartów względem — mnie.

Mówiąc to, wyprostowała się jakoś dziwnie i zdawała się prawie słuszną. Władysław słuchał słów oburzonej dziewczyny, tak, jak słucha żak napomnienia nauczyciela, spuścił głowę, twarz mu się powlekła wyrazem żalu głębokiego, a w koń

cach oczu zabłysnął dawno tam nie widziany gość — łza jasna i czysta. Łzę tę spostrzegła Jadwiga, rozczuliła ją ona i możeby była przebaczyła i serdeczniej przemówiła, gdyby nie wejście, w tej chwili właśnie, śmiejącego się rubasznie Józia.

— Cha! cha! cha! Cóż to moi kochani tak gruchacie sobie we dwoje? — śmiejąc się zawołał przyszły dziedzic Uniża i spadkobierca wielkich tradycyj — Może Jadwisia chce się wydać za Władka?... Dobrze! dobrze! Pozwalam! Będzie wesele!..

Młoda para pod tą kaskadą na wpół idjotycznego śmiechu i mało co rozsądniejszych słów stała zmięszana, nie wiedząc co z sobą zrobić. Sytuację uratowało wejście marszałkowej, która poznawszy od razu, że jej biedny syn popełnił jakiś nietakt, wysłała go na tok, żeby poprosił ojca do herbaty, sama zaś usiadła do stołu i rozpoczęła zupełnie obojętną rozmowę

Przez czas trwania herbaty Władysław siedział jak na żarzących węglach; spoglądał ukradkiem na Jadwigę, ale natychmiast spuszczał oczy, gdy ona nań spojrzała; obiecywał sobie, że po oświadczeniu będzie starać się rozmówić z nią wyraźnie i naprawi to, co mimowolnie popsuł.

Nie udało mu się to, zaraz po śniadaniu bowiem zaproponował marszałek wycieczkę na drugi folwark w celu obejrzenia nowej młockarni parowej, sprowadzonej przed kilku dniami... Pojechali.

XI.

Na małym, tak zwanym bogusławskim wózku, z wielką biedą pomieścili się zaledwie; marszałek z kapitanem usiedli na tylnem siedzeniu, Władysław usadowił się obok furmana, zwrócił się jednak twarzą do obu starszych panów; był roztargniony, bezmyślnie patrzył na otaczające przedmioty i nie zwracał zupełnie uwagi na prowadzoną rozmowę. Marszałek tymczasem był w swoim żywiole; delektował się świeżo powschodzonym rzepakiem, który właśnie mijali; stawał i wylazłszy z wózka próbował, czy rola przygotowana pod pszenicę dostatecznie skruszała; a gdy mówił o tem wszystkiem, o postępach swego gospodarstwa, o ilości wynawożonej ziemi — to oczy jego świeciły niekłamanym zapałem, i czuć było, że duszą całą przylgnął do swego zajęcia.

— My tem i tylko tem żyjemy — mówił zapalając się i spoglądając na zamyślonego Władysława — wszystkie dawne źródła życia wyschły już dla nas, jedyna dla nas polityka, jedyna przyszłość możliwa — to dobrze gospodarować i gromadzić zasoby materjalne, zbierać grosz, robić majątek!

Władysław, zagadnięty w ten sposób, podniósł oczy na mówiącego i gwałtem przerywając myśli, które tłoczyły mu się w mózgu, zapytał:

— A literatura, a sztuka, a nauka marszałku, czyż dla nich nie ma miejsca?

— Ha! Zapewne, zapewne — odrzekł mu zapalony rolnik — i to potrzebne; gdzieś tam w miastach są ludzie, którzy życie tym zajęciom poświęcają... Co do mnie, to mam w moim budżecie przeznaczonych trzysta rubli na ten cel; a godzinę dziennie na przeczytanie gazet, więcej nie mogę!... A co więcej powiem.. Wielu spotykałem szlachciców, którzy zanadto temi rzeczami się zajmowali — to każdy stracił co miał i poszedł z batożkiem do miasta... Nie, to nie nasza, nie szlachecka rzecz!

— Może marszałek ma rację. Co do mnie, nie mam zupełnie żadnego talentu... chyba do ujeżdżania koni... — odpowiedział smutnie Władysław i rozmowa się urwała.

Wkrótce potem czarne kłęby dymu wznoszące się po nad złotą ściernią pszenną oznajmiły, że zbliżają się do celu podróży. Oswojone z widokiem lokomobili i hałasem towarzyszącym jej ruchowi, marszałkowskie szpaki podeszły bardzo blisko i tylko strzygły uszami i niosły głowy trochę wyżej niż zwyczajnie.

— A co tam Wroński, czy dobrze idzie, czy wymłaca? — zawołał marszałek, zwracając się do zbliżającego się maszynisty i lekko jak młodzik wyskoczył z wózka.

— Kapitalnie, panie marszałku dobrodzieju! — rzekł, gładząc się po brzuchu główny maszynista — jak zegareczek damski, ślicznie idzie i nie tarabani.. Już to ślicznie Iwaszkiewicz naradził wziąć Ransoma, a nie Cleytona... dwa razy lepsza i podobno będzie mocniejsza!..

— Nie łap-no Wroński ryb przed niewodem!.. zobaczymy... zobaczymy — mówił marszałek, obchodząc w około nową maszynę. — Władziu! — zwrócił się nagle do młodego towarzysza — opatrz-no sortownik, czy dobrze funkcjonuje?

Władysław wśród huku, gwaru i hałasu panującego w około maszyny nie słyszał słów marszałka; wraz z kapitanem zbliżył się do tego miejsca, gdzie młode kobiety i dziewczęta odsuwały wymłóconą słomę i tryny i przysłuchiwał się żartom starego wojaka, któremi bawił on hoże robotnice.

— Władziu! A to skaranie boskie z tymi urwiszami — grzmiał tubalnym głosem zniecierpliwiony marszałek — a zostawże, kapitanie, te facecje, daj pokój dziewkom, niech pracują... Władziu! Chodź tu, zobacz sortownik, czy kąkol i groszek dobrze odbiera.

— Marszałek się zawsze o wszystko pyta, a sam najlepiej na tem się zna — mówił, zbliżając się Władysław i pochylił się nad aparatem przeznaczonym do czyszczenia ziarna. Zdaje się, że nie czyści tak dokładnie, jak cleytonowski — odrzekł powoli—grubszy groszek prawdopodobnie zostanie w ziarnie.

— Panie Wroński! Czy pan słyszy, co pan Władysław mówi? — zwrócił się marszałek do maszynisty, gderząc. — Wy tak zawsze.. doskonała, doskonała, a później paf!.. Masz groszek w pszenicy, z Odesy napiszą ci zaraz — nieczysta! I po dziesięć kopiejek porachują za oczyszczenie... Trzeba coś radzić i to zaraz... Nowy cleytonowski sortownik niech mi pan zaraz zapisze! Zapisać i przystosować!... Rozumiesz pan, panie Wroński! Natychmiast!...

— Nie da się zastosować, panie marszałku dobrodzieju — odparł, uśmiechając się z lekka maszynista — o dwa cale szerszy niż nasza maszyna, a zresztą to tylko tak panu Kierbiczowi się wydało, nie gorzej ona czyści niż cleytonowska!... Ot, zwyczajnie, pan Władysław, młody gospodarz powiedział, żeby coś powiedzieć. Pszenica jak złoto i *ganczu* żadnego na niej nie będzie.

Uspokoił się marszałek i po obejrzeniu ziarna, plewy, słomy, po zbadaniu dokładnem siły pary i ilości wypalonego drzewa, zaproponował swoim towarzyszom dalszą przejażdżkę na inny znów folwark, gdzie pa ła się stadnina.

— Ty jesteś koniarzem Władziu — koniarzem młodej szkoły, kapitan zaś koniarzem starego autoramentu, obejrzcie dokładnie przeszłoroczne źrebięta i powiedźcie mi, które lepsze: czy po „Bajraktarze“, czy po tym perszeronie? — rzekł siedząc już na wózku i podając rękę kapitanowi, żeby mu dopomódz wgramolić się na dość wysokie siedzenie. — Tylko uważajcie — mówił dalej — nie o paradiery, nie o wyścigowce mi chodzi, tylko o broniaki, o robocze, praktyczne konie.

Przejażdżka do stadniny i oglądanie koni zajęło kilka godzin. Władysław zrazu się niecierpliwił, spoglądał na zegarek i widocznie rad by był co rychlej wrócić do Uniża; wiedząc jednak, że marszałek nie myśli o tem, wpadł w bardzo kwaśny humor, sprzeczał się z kapitanem, ganił młodzież końską, o dzieciach „Bajraktara“ mówił, że wyrosną na nędzne fiakierskie arabczyki, o potomkach zaś perszerona zadecydował, że dobre by były, gdyby przeznaczano konie na opas, w dzisiejszych jednak warunkach na nic się nie zdały; i zakonkludował, że jedyny byłby jeszcze

ratunek, żeby marszałek kupił dobrego angielskiego folbluta.

— Tylko po folblucie angielskim — kończył zapalając się — można dziś czegoś się dochować, a po tych arabach wyrastają bryczkowe mierzyny lub chmyzy, po ciężkich zaś szkapach z zachodu — świnie.

— La... la... la!... Gadaj zdrów! — przerwał mu niecierpliwie kapitan. — Już to pewno od żadnej „Miss farmazonki“, po lordzie Indianie, czy tam indyku nie dochowasz się ty takiego konia, jak był mój Szumka... com go miał od mego stryja... a pochodził ze Sławuty od ś. p. księcia Eustachego; było tak...

— Wiemy jak było kapitanie — przerwał mu marszałek, który także chciał odpowiedzieć Władysławowi na jego zarzuty. — Widzicie — mówił — ja ani Władziowego ani kapitańskiego zdania nie pochwalam, i już będę się trzymał perszeronów, bo to mocne koniska i w robocie doskonałe, a że teraz cug pani marszałkowej trochę mniej pokaźny, niż pani hrabiny Izy, to mało nam na tem zależy...

— Po cóż się wuj mnie o zdanie pyta? — szepnął przez zęby gniewnie Władysław. — Jeżeli tak, to i rasa „jork“ dobra, tuczy się doskonale.

— Gadaj zdrów! — rzucając się, odparł marszałek. — Ot tak chciałem się poradzić ale widzicie, chłopskie przysłowie mówi „ludzi się radź, a swój rozum miej“... więc ponoś przy perszeronach zostanę, a Bajraktara sprzedam, jeżeli mi się kupiec trafi... No! jedźmy do domu, żeby marszałkowa z objadem na nas nie czekała... Pół do drugiej, a mamy przed sobą dobrych

pięć wiorst drogi nierównej i górzystej, po jarach i wertepach.

Droga była trząska, marszałek naglił i naciskał na furmana, żeby prędko jechał, rozmowa więc nie kleiła się i milcząc prawie dojechali przed pałacową kolumnadę.

Prosto z wózka Władysław poszedł do swego pokoju przebrać się i gdy zjawił się na górze, wszyscy byli już zgromadzeni w saloniku przytykającym do sali jadalnej i oczekiwali niecierpliwie, kiedy drzwi się otworzą i służący oznajmi, że waza na stole. Marszałkowa zajęta jakąś szydełkową robotą, wypytywała mimochodem Władysława: jak znalazł gospodarstwo? Jadwiga siedziała na uboczy, zajęta pozornie czytaniem nowo przysłanej książki; od czasu do czasu podnosiła jednak oczy od drobnych liter i patrzyła na Władysława pytająco, badając bacznie wyraz jego twarzy; on zaś udawał, że spojrzeń tych nie widzi i zatapiał się coraz bardziej w rozmowie z ciotką.

Nagle turkot jakiś i gwałtowne palenie z bata przerwały ogólną rozmowę i wszyscy jakby na komendę zerwali się ze swych miejsc i zbliżyli się instynktownie do okien. Na dziedziniec tymczasem wtoczyło się ogromne, opakowane *lando*, ciągnione przez sześć kolosalnie wysokich, ale też i niemożliwie chudych gniadych koni; z okien tego powozu wyglądały rumiane panieńskie twarzyczki i suto upierzone kapelusze.

— Baron z córkami jedzie! — zawołała pierwsza marszałkowa. — Marcinie, proszę wstrzymać się z wazą i dodać nakryć!

— Nina! Nina jedzie! — ozwała się dość wesoło Jadwiga, klaszcząc w dłonie. — Lubię Ninę!

I pan ją pewno lubi, panie Władysławie? — zwróciła się ze złośliwym uśmiechem do Kierbicza.

— Nie nadzwyczajnie! — odparł pochmurnie zapytany, a w duszy szepnął: — Bodaj ich djabli wzięli, z całą tą wizytą!...

Marszałek tymczasem z synem wyszli na spotkanie gości aż przed ganek, a reszta towarzystwa skierowała się do pierwszego pokoju, oczekując na wejście nowoprzybyłych. Do pokoju tego wszedł jednak tylko sam baron z marszałkiem i Józiem; panny bowiem poszły do gościnnych apartamentów — ogarnąć się. Naturalnie, że obie panie poszły natychmiast do nowoprzybyłych, a baron zaś rozpoczął przed marszałkiem wyładowywać zapas nowinek usłyszanych w Kamieńcu. Były tam wiadomości zaczerpnięte w kancelarji gubernatorskiej, były zwierzenia teraźniejszego guberskiego marszałka, uczynione baronowi pod warunkiem bezwarunkowej tajemnicy; były plotki zaczerpnięte od żydów etc.

Marszałek i kapitan słuchali tych opowieści z dość żywem zajęciem, jakie zawsze znajdują mieszkańcy wsi dla nowinek miejskich; Władysław truchlał i z niepokojem oczekiwał tej chwili, kiedy baron rozpocznie opowiadania o wybrykach młodzieży. Nim jednak do tego doszło, nadeszły postrojone panny i wygłodzony marszałek dał znak przejścia do sali jadalnej. Baron podał rękę pani domu, a Jadwiga tak manewrowała, że Władysław był zmuszony prowadzić do obiadu Ninę Mönch. Obiad trwał długo; rozmowa była ożywiona i dotykała najrozmaitszych kwestyj. Baron z uniesieniem opowiadał o grzeczności starego hrabiego

Sępińskiego, który wczoraj wraz z synem i hrabią Karolem odwiedził ich w zajezdnym domu.

— Świetnie bawiłyśmy się wczoraj! — trzepała głośno Nina, zwracając się do Władysława — Już dawno nie pamiętam, żebym tak się śmiała. Cóż to za humor tego hrabiego Karola!.. Mówiliśmy wiele o panu... *Votre conduite est inqualifiable!...* Doprawdy, nie spodziewałam się — dodała, grożąc palcem.

— *Mais en quoi mademoiselle! en quoi?*—zapytał, nadrabiając miną, lecz blednąc i mięszając się Władysław — pewno Karol musiał coś pani nagadać.. jakieś żarty, on sławny z tego. Niech mu pani nigdy nie wierzy! Ma pasję rozpowiadać niestworzone rzeczy o sobie i swoich przyjaciołach.. W czem-że to według Karola zawiniłem?

— *En tout! en tout!* Wiem teraz, że pan nie należysz do świętych — odpowiedziała panna, rada, że potrafiła zaintrygować Władysława, a nie wiedząc nawet, jak go swojemi nieostrożnemi słowami gniewała. — Opowiadał mi hrabia — mówiła dalej — o sławnym klubie nietoperzy, o tych ucztach nocnych, które panowie wyprawiacie sobie nawzajem...

— Cóż w tem złego? — odparł Władysław, spoglądając z niepokojem w stronę Jadwigi. — Prawda, panno Jadwigo, że pani nie brałaby tego za złe, iż ktoś, nie mogąc się widywać z powodu zajęć w dzień, widuje się w nocy?

Jadwiga, czy nie słyszała, czy nie chciała słyszeć jego słów, bo zwróciła się zupełnie w stronę barona i pogrążyła się w słuchaniu jego opowieści.

— Ten Wicio Sępiński to chwat! — mówił stary baron mizdrząc się i robiąc słodkie oczy do słuchającej go panienki. — Chwat co się nazywa!.. Jak się na niego patrzę, to mi się moje młode lata przypominają, kiedy byłem gwardyjskim kornetem w kawalergardach.. Cuda o tym chłopaku opowiadają; sam ojciec powiedział mi pod sekretem, że Wicek może wypić bez zbytecznego upicia się — cztery butelki szampańskiego wina... A jednak on sam przyznaje, że wodę mu wozić za... obecnym tu między nami panem Władysławem... Hę! co? Czy to prawda?— zwrócił się z zapytaniem do Władysława.

Ten na razie nie wiedział co odpowiedzieć, tylko zczerwieniał się bardzo, i widocznie gniew zbierał w nim hamowany do czasu. Zauważywszy to wszystko stary kapitan, który nie lubił strasznie barona, krząknął złowieszczo i rzekł:

— Nicby dziwnego nie było, mości baronie, żeby Kierbicz przepił jakiegoś Sępińskiego... Sępińscy, choć to dziś grafy, ale wie pan baron, to z takich hrabiów, co to „i ja kąt i ty kąt a nie wiedzieć zkąd!“.. Otóż mości dobrodzieju taki szlachcic z antenatów jak Kierbicz koniecznie musi przepić takiego panie... parweniusza.. Ale ja właśnie teraźniejszej naszej młodzieży chwalę, że choć może dużo wypić, pije jednak mało, może dziesiątą część tego, co myśmy za młodych lat pijali.

Zrobiło się nagle przy stole cicho, wszyscy uczuli, że kapitan ukłuł gościa, znanem bowiem było, że baron nie był w stanie jasno przedstawić swego pochodzenia i rodowodu, spojrzał więc marszałek na staruszka z wymówką, a on niby w

odpowiedzi na to spojrzenie, rzekł, tłumacząc się:

— Znosić nie mogę obmowy! Daruj mi kochany marszałku, że musiałem tu dotknąć Sępińskich, którzy są twoimi krewnymi, ale rozgniewały mię plotki przez takiego Wicia rozsiewane a z gruntu nieprawdziwe... Każdy z nas pijał czasami i wypić potrafi, po cóż jednak z tak zwykłej rzeczy robić ważną historję.

— Ależ szanowny kapitanie dobrodzieju — przerwał mu usprawiedliwiając się baron — nikt nie myśli z tego robić historji... Ot tak wspomniałem mimochodem, w rzeczy samej jednak— i zaczął się plątać w dowodzeniach na temat, że nie miał zupełnie zamiaru robienia plotki...

Na szczęście marszałkowa, której takt towarzyski był znany w całej prowincji, odczuła, na jak śliskie tory rozmowa schodzi i przerwała ją w sam czas, zapytując barona: jak stoi sprawa towarzystwa dobroczynności, o którym on jako bliski znajomy gubernatora, prezesa towarzystwa, powinienby mieć dokładne wiadomości?

Raz skierowana uwaga powszechna na przedmiot tak daleki od wszelkich osobistych spraw, zajmowała się nim do końca objadu. Władysław tylko siedział pochmurny i nie brał w dyspucie udziału; na zapytanie sąsiadki swej Niny odpowiadał monosylabami, a bezustannie szukał sposobności pochwycenia spojrzeń Jadwigi, nie udawało mu się to jednak, Jadwiga bowiem jakby umyślnie wypełniała arcypilnie rolę wicegospodyni i bawiła teraz gorliwie młodszą baronównę pannę Lolę, ciche i nieśmiałe dziewczę która wydawała się jej w tej chwili o wiele sympatycz-

niejsza niż wygadana i nad wyraz śmiała panna Nina.

Po objedzie trwała dalej ta sama niema nieprzyjaźń. Przy nalewaniu czarnej kawy w salonie już, którą to funkcję spełniała Jadwiga, zbliżył się Władysław po otrzymanie przeznaczonej dlań filiżanki i przybrawszy skruszoną minę, zapytał szeptem:

— Czem zawiniłem dziś, że pani jest tak niełaskawą dla mnie? — Na tem przerwał, bo jakieś wewnętrzne wzruszenie mowę mu tamowało.

Zagadniona dziewczyna odpowiedziała mu zimnem, obojętnem spojrzeniem i dziwnie oschłemi słowy:

— Wydało się widocznie panu! Jestem taka jak zwykle i nie mam zupełnie przyczyny być kiedykolwiek inną.

Przy odpowiedzi tej chłód jakiś przeszedł przez Władysława, uczuł jakby ukąszenie gadu jadowitego w serce, gniew jakiś, z którego sam nie umiał dokładnie zdać sobie sprawy, opanował go i odmalował się we wzroku i całej postawie; zamilkł gniewnie i odszedł w drugi kąt pokoju po to, aby usiąść koło Niny i bawić ją rozmową. Nagle stał się gorączkowo ożywiony, sypał dowcipami, gorzkimi jak żółć; na rozradowaną tym nieprzewidzianym zwrotem, a nieczującą ukrytej w jego słowach goryczy, Ninę rzucał płomienne spojrzenia, szeptał jej grzeczności takie, że każda inna byłaby się obraziła i skarciła śmiałka — baronówna jednak, której jedynem marzeniem było za pośrednictwem małżeństwa wejść nareszcie w owe zaczarowane koło „starych rodów,“ zarumieniła się tylko i wszystko brała za dobrą monetę...

Z całego towarzystwa tylko dwie osoby zwróciły uwagę na postępowanie Władysława i odgadły przyczynę tegoż. Były niemi: Jadwiga i kapitan... Pierwsza instynktem kobiecym wiedziona zrozumiała, że swą lodowatą odpowiedzią i obojętnością rozgniewała Władysława i ten, chcąc tym sposobem zemścić się, udaje zajęcie się baronówną.

— Niech się umizga do niej — pomyślała — zobaczymy, kto pierwszy będzie kapitulował... Chociaż miała pewne wątpliwości co do tego, czy zamiary Władysława względem niej samej są stanowcze i poważne, mimo to czuła, że miała nad nim władzę i współzawodnictwa Niny nie obawiała się zupełnie.

Kapitan baczny i doświadczony spostrzegacz zauważył również i odgadł, co się działo pomiędzy tem dwojgiem ukochanych przez niego młodych ludzi.. Gniewało go to bardzo, znał bowiem Jadwigę i wiedział, że dobra częstokroć taktyka wzbudzenia zazdrości, była zupełnie fałszywa względem Jadwigi; wiedział doskonale, że ambitną dziewczynę rozgniewać i zniechęcić tylko może, pragnął więc odciągnąć Władysława do drugiego pokoju i przestrzedz go. Napróżno jednak ruchliwy staruszek mrugał i dawał najrozmaitsze znaki porozumienia, Władysław widocznie zaciął się i umyślnie nie zwracał uwagi na gestykulację kapitana, pogrążając się coraz bardziej w ożywionej rozmowie.

Wreszcie uparty kapitan, chcąc na swojem postawić, wystąpił z nowym projektem.

— Jest tu kilka młodych osób razem zebranych — rzekł, mrugając ciągle znacząco na Władysława — możebyście państwo spróbowali zagrać

w krokieta, mamy tu dobre bardzo miejsce i nasza Jadwisia grę tę lubi, a nie często się jej udaje, bo Józio ani rusz nie może tego kunsztu zgłębić.

Panna Lola i Jadwiga z okrzykiem przyjęły ten projekt; Władysław i Nina byli tak zajęci rozmową, że nie zwrócili nawet uwagi na ten nowy projekt, rozmawiali półgłosem, lecz obecnie gdy wszyscy uciekli, słowa ich można było wyraźnie słyszeć.

— *Prenez donc garde*! — kończyła jakieś zdanie panna, uśmiechając się zalotnie i spojrzeniem zadając kłam przestrodze.

— *Ah*! *vous voyez bien*, *que vous n'avez pas de coeur... Vous êtes horriblement coquette*! — odpowiadał Władysław, lecz usłyszawszy, jak słowa jego zabrzmiały głośno wśród ciszy zalegającej teraz salon, przerwał nagle i jakby się zawstydził własnych słów, wstał z krzesła i zapytał: — Jaki to państwo macie projekt?

— O, nic ważnego! — odrzekła Jadwiga — chcieliśmy zrobić partję krokieta, ale zdaje mi się, iż państwo we dwójkę tak znakomicie się zabawiacie, że nie warto dla tak błahej przyczyny przerywać wam...

Słowom tym zawtórowało złowieszcze krząknięcie kapitana, który zbliżał się do Władysława.

Młody człowiek od samego rana był rozdrażniony i zły; postępowanie Jadwigi drażniło go jeszcze bardziej, jej ostatnie słowa i krząkania kapitana dopełniły reszty; wziął na kieł i począł unosić jak dziki stepowy koń..

— Partja krokieta! wyborna rzecz! — zawołał zbliżając się tak do Niny, że jej kasztanowate

ze złotym odbłyskiem włosy prawie dotykały jego twarzy. — Panno Nino będziemy grali do spółki; będziemy mogli w ten sposób skończyć naszą rozmowę i wygramy partję...

— Co do rozmowy — przerwała mu Jadwiga drżącym, od wzruszenia głosem — tę już państwo ponoś skończyli, a zresztą: po co wam rozmowa? Jestem pewna, że rozumiecie się i bez rozmowy doskonale!.. Co do partji zaś, to inna sprawa, to jeszcze zobaczymy: kto wygra?.. W każdym razie ja mam wszelką nadzieję wygrania... A ty jak się spodziewasz Lolo? — zwróciła się z zapytaniem do młodszej baronówny.

— Ja... ja — odpowiedziała jąkając się i czerwieniąc nieśmiała Lola. — Ja nie wiem... Nina lepiej gra odemnie... Papa powiada, że Nina gra zawsze wyśmienicie.

— Tak.. tak, wyśmienicie we wszystkie gry towarzyskie — zakonkludowała z przekąsem Jadwiga — a jednak w krokieta dziś przegra, tak bowiem była zajęta rozmową z panem Kierbiczem, że prawdopodobnie nie zaraz zapomni o tem i będzie przy grze roztargniona. No, a teraz, jeżeli propozycja dziadunia przyjęta, to chodźmy grać, bo później będzie za późno.

Całe młode towarzystwo, z wyjątkiem Józia, który poszedł do swoich preparatów fizycznych, weszło na gazon przed gankiem i rozmawiając gwarnie robiło przygotowania do partji. Nim przyniesiono bramki i kule, udało się wreszcie kapitanowi odciągnąć Władysława na stronę i szepnąć mu:

— Władek! Co ty robisz? W fałszywą dmiesz dudę.. Zobaczysz, że przefujarzysz pannę!

— A dla czegoż ona żarty sobie ze mnie robi? — odparł gniewnie — od samego rana znęca się nademną, jak nad żydowską szkapą!... Com jej zawinił?

— Panna, widzisz, każda ma swoje humory!

— Tak, każda ma humory, ale ona po prostu kpi sobie ze mnie jak z żaka..

— A jednak patrz jaką jej przykrość zrobiły te twoje umizgi do tej szwabskiej gęsi.

— Ręczę kapitanowi, że ani jej to w głowie, a jeżeli tak jest, to niech trochę przecierpi, jutro przeproszę.

— Oj, będzie zapóźno! — odrzekł kręcąc niedowierzająco siwą głową staruszek — dziewczyna dobra z gruntu, ale dumna jak Hiszpan, zobaczysz że przefujarzysz!...

— Partja gotowa! — zawołała Jadwiga. — Ciągnijmy kto ma zaczynać.

Władysław rzucił młotek w górę i złapał go w powietrzu, poczem każda z grających osób kładła dłoń za dłonią na rączce młotka, ostatnią była Nina.

— My panie Władysławie zaczynamy — zawołała tryumfująco — ja będę pierwszą, co popsuję, to pan naprawi...

Zaczęła się gra, która nie była tylko partją krokieta — była ona zarazem jedną ze scen tego dziwnego, niepojętego częstokroć dramatu, który nazywa się — miłością. Władysław czuł, że robi przykrość Jadwidze, ale robił ją dalej, zaciał się i trwał ciągle w up rze; uśmiechał się do Niny, szeptał jej czułe dwuznaczniki; a rownocześnie od czasu do czasu rzucał badawcze spojrzenia w stronę Jadwigi, jak by chciał poznać: jakie na niej ta nowa taktyka robi wrażenie? W miarę

jednak, jak dostrzegał w niej coraz to większą obojętność, jak przypatrywał się lodowatej masce, która jej twarz pokrywała, opanowywał go jakiś zimny, sceptyczny szał; biednej baronównie dostawały się wówczas czułości ostre i szczypiące jak musztarda, a grał tak, jakby partja ta stanowić miała o jego życiu i dalszym losie; żadne uderzenie jego nie chybiało celu, a po każdem znakomitem trafieniu, obie baronówny wydawały okrzyki niezmiernego uwielbienia. Lecz i Jadwiga nie mniej zręcznie dziś grała; i ją ogarnęła ta dziwna, zimna zawziętość i ona uczuwała coraz to większy żal do tego człowieka, któremu tak ufała, a który żartował z niej w tak bolesny sposób... Nie chciała dać się upokorzyć, a pragnienie to dodawało pewności jej oku i ręce; partja była godna tego, by jej przypatrywały się tłumy widzów — tymczasem spoglądał na nią tylko stary kapitan, nie był to jednak widz niepojętny, i owszem rozumiał on wybornie całą walkę, która toczyła się w jego oczach za pomocą kul i młotków krokietowych.

— Panie Władysławie! — zawoła tryumfująco Nina. — Proszę iść mi na pomoc i odkrokietować Jadwisię.

— Za daleko! — szepnęła drwiąco Jadwiga. — Do Jadwigi nie każdy trafi!

— Zobaczymy! — rzekł zagryzając aż do krwi wargi Władysław i nachylił się nad kulą, badając pewnem okiem odległość drugiej kuli. — Zobaczymy! — rzekł poraz wtóry i w tej chwili kula jego, popchnięta silną i pewną ręką, uderzyła z hałasem w sam środek kuli Jadwigi, leżącej po drugiej stronie krokietowego placu.

— Brawo! brawo! — rozległy się wołania Niny i Loli; nawet pan kapitan klasnął w dłonie dla oddania uznania zręcznemu graczowi; Jadwiga tylko zacisnęła usta.

— A widzi pani, że nie tak znowu trudno trafić panią... w słabą stronę! — zawołał tryumfująco Władysław.

— W krokiecie tylko! — odparła gniewnie panna.

Uderzenie to stanowiło o całej grze, wkrótce też partja skończyła się, a zwyciężona Jadwiga nie miała zupełnie ochoty do drugiej; wróciło więc całe towarzystwo do salonu — i była już pora po temu, bo słońce miało się już ku zachodowi, a dzwonek ogłaszał, że herbata się zbliża

Przy herbacie i przez cały wieczór Władysław milczał uparcie; panna Nina śmiała się zeń i twierdziła, że tak zhardział po otrzymanym tryumfie, uśmiechała się przytem zachęcająco i widocznie pragnęła wznowienia popołudniowej rozmowy... Daremne jednak były trudy baronówny, znać wyczerpała się siła nerwowa Władysława, która pozwalała mu utrzymać sztucznie dobry humor i wesołość, teraz pogrążył się w głębokim smutku, a na zapytania światowej panny odpowiadał niechętnie — monosylabami .. tylko w stronę Jadwigi rzucał tęskne spojrzenia, ale zagniewana panienka nie myślała na nie odpowiadać; to go rozstrajało do reszty i pogrążało w zupełnej apatji. Z przyjemnością więc przyjął propozycję marszałka i zasiadł na czwartego do winta, lecz i tam — wbrew przysłowiu — nie wiodło mu się i wstał, przegrawszy kilka rubli.

Gdy się wszyscy rozeszli, kapitan towarzyszył Władysławowi do gościnnego pokoju; Żorża

odprawił natychmiast i przybierając poważną minę rozpoczął od reprymendy:

— Władek, czyś ty dziś oszalał?! — zapytał go surowo. — Jaka tarantula cię ukąsiła? Co ci dziewczyna złego zrobiła, żeś się nad nią tak znęcał? Żeby twoja nieboszczka matka żyła, toby się ciebie wyrzekła za takie figle!.. Cóż to, na wiatr myślisz bratku Jadwisię bałamucić, a do tej Mönchówny, czy Chamówny czułe oczy robisz? Czy żenić się z tą flakarką myślisz; mamona ci pachnie, czy co?

— Zwolna! zwolna, kapitanie! — przerwał mu smutnym głosem Władysław. — Nim zawyrokujesz, wysłuchaj i przeciwną stronę.

— Ale co tam będę twoich sofizmatów słuchał, znam was — teraźniejszą młodzież; do uczciwej dziewczyny adresuje się, bałamuci ją, a później puszcza ją w trąbę, a sam za marny grosz nazwisko swe sprzedaje... Nie tędy jednak droga!..

— Daj-że pokój, kapitanie! — zawołał, płonąc oburzeniem młody człowiek. — Stary jesteś i wuj mojej matki, to cię nie wyzwę, jakbym to z każdym innym zrobił, gdyby mi takie niesprawiedliwe wyrzuty robił...

Tobie, zaś dziaduniu, przyznam się, że mi się od rana serce krwawi i bies mi jakiś duszę ogarnął i zdaje mi się, żem się na waszej Jadwidze oszukał; ona mnie nie kocha!

— Nie kocha, powiadasz! Zabawny jesteś! Czyż ona ma obowiązek ciebie kochać? Czyś ty jej powiedział, że ją kochasz, a ona tobie? Czy za takie postępowanie jak dzisiejsze ona może cię pokochać?... Żebyż to jeszcze bałamuctwa z jaką naszą panną... a to z panną Ni...ną... Mönch... baronówną krymską, czy cygańską... Nie! to nie do zniesienia.

— Cóż bo ja mam robić? — zawołał niecierpliwie Władysław. — Bóg widzi, że Jadwigę kocham, chciałem się jej rano oświadczyć, a czy pozwoliła na to? Wczoraj zdawało mi się, że wszystko dobrze, że mam jej wzajemność; dziś zupełnie co innego. . Doprawdy, że głowę tracę i sam nie wiem, co się ze mną i w koło mnie dzieje.

— Widzę, że głowę tracisz, ale to trudno, za moich czasów nie potrzeba było uczyć kawalerów, jak mają z pannami w takiej materji gadać, z urodzenia to mieli w sobie; no i ty na trusię nie wyglądasz, z tą gęsią umiałeś parlować i oczy do niej zawracać...

— Niechże mi kapitan da pokój i zamiast gderać da dobrą radę.

— Ja ci taką dam radę, żebyś jutro po śniadaniu jechał do domu, za tydzień marszałkowstwo z Jadwigą jadą do wód, nim wyjadą, a później jak wrócą, ja z panną pomówię na rozum, kiedy ty sam nie umiesz, i dam ci znać... Dwudziestego piątego września urodziny marszałkowej, będzie polowanie i bal, to może wtenczas dobijecie targu; na koniu siedzisz dobrze, pannie się podobasz, ona sama jeździ jak huzar... No, jakoś to będzie, tylko sprawuj się dobrze, z tymi nietoperzami nie wdawaj się, bo to zaraz donoszą i robią z tego okropne historje

Władysław leżąc w łóżku słuchał mądrych rad kapitanowych; w duszy przyznawał mu zupełnie racją i ruchem głowy potakiwał.

Widząc to, staruszek rozchmurzył się, powiedział mu dobranoc i poszedł do siebie.

Wzruszenia dnia całego tak znać znużyły Władysława, że uczuł teraz ogromne zmęczenie fizyczne i wyczerpanie moralne; pomimo cisnących mu się do mózgu najrozmaitszych myśli, pomimo nasuwania się rozpamiętywań dzisiejszych zdarzeń, sen odniósł zwycięztwo nad wyobraźnią i w pięć minut po wyjściu kapitana, Władysław ledwie znalazł tyle siły woli, że świecę zgasił i usnął snem twardym... Śnił o Jadwidze i o wzajemności.

XII.

Jadwiga smutna i zmęczona opuściła tego dnia towarzystwo, wysiłek woli, z jakim cały dzień panowała nad rozdrażnionymi nerwami, zmógł ją fizycznie nawet, to też z widoczną przykrością poddała się obowiązkom wice-gospodyni i towarzyszyła baronównom do pokoju dla nich przeznaczonego. Nie wysilała się zupełnie na zabawianie gości; szła milcząc, pogrążona w smutnej zadumie

Nina przeciwnie była wesoła i rozbawiona; zdawało się jej, że dzień ten był jej bezsprzecznym tryumfem; widziała najwyraźniej, że pomiędzy Władysławem a Jadwigą zaszło jakieś nieporozumienie, a czuła przy tem, że w jej interesie leży nieporozumienie to rozdmuchać i w duszy Jadwigi wzniecić zupełną niechęć do młodego człowieka, którego wybrała we własnej wyobraźni na swego przyszłego męża... Nina miała stanowczy charakter i nie cofała się nigdy przed żadnymi środkami, które mogły ją dowieść do raz zamierzonego celu W sposób żartobliwy i pełen humoru opowiedziała Jadwidze o wszystkich wczorajszych i przedwczorajszych zajściach w Kamieńcu; opowieść ubarwiona fantazją hrabiego Karola — od niego bowiem ją słyszała — i jej

własnymi dodatkami, wypadła bardzo zabawnie. Władysław jednak figurował w niej w dość dziwnej roli — za to Zienwicz urósł na zupełnego bohatera...

Jadwiga słuchała tych plotek zrazu z niechęcią, w miarę jednak opowiadania rosło w niej zainteresowanie się; uczuwała jakąś dziką rozkosz w burzeniu niedawno powstałych, a tak rozkosznych marzeń...

W duszy jej rosła niechęć do Władysława, jednocześnie jednak uczuwała jakąś niewytłumaczoną litość i pożałowanie; zdawało się jej, że odgadywała, iż odczuwała te walki wewnętrzne, jakie wrzały w duszy młodego człowieka, który bądź co bądź nie był jej obojętny. Chwilami pragnęła podać mu rękę, być dłań dobrą, dopomódz mu do wydobycia się z tej otchłani, którą malowały jej dyskretne słowa Niny, a którą jej własna wyobraźnia barwiła jeszcze bardziej ciemnymi, ponurymi kolorami. Słowa dowcipnej, światowej panny dźwięczały w jej uszach, a przed oczami duszy zmartwychbwstawały obrazy z dziecinnych lat zapamiętane. Wszak pamiętała doskonale własnego ojca, który w ten sam sposób stoczył się na samo dno otchłani społecznej. Zdaje się jej, że widzi go w tej chwili jak wracał z pohulanki kilkudniowej w domowe progi, że słyszy płacz i narzekanie nieszczęśliwej matki, jej cierpkie słowa. I nagle zrodziła się w niej myśl, wątpliwość straszliwa: czy matka jej dobrze robiła, gdy dla zbłąkanego, nieszczęśliwego człowieka miała zawsze tylko — cierpkie słowa i chmurne oblicze? Może gdyby mu była łatwiej przebaczała, serdeczniej o zmianę postępowania prosiła, może byłby się zmienił, na inną drogę wszedł.

Pełna podobnych myśli, szarpana tłumem wątpliwości, pożegnała rozmowne panny i uczuła się dopiero spokojniejszą, gdy znalazła się znowu samą, w swoim pokoiku.

Jak postąpi? Co zrobi? Nie wiedziała sama. Czuła, że postać Zienwicza jeszcze urosła w jej wyobraźni, lecz przypuszczała, że człowiek ten przesunie się przez jej życie jak niepochwytne, wspaniałe zjawisko atmosferyczne; przesunie się po firmamencie jej młodości i zniknie, rozwieje się w szerokiej przestrzeni... W najśmielszych nawet marzeniach nie ośmielała się na chwilę przypuszczać, ażeby kiedykolwiek posiadała miłość tego wymarzonego olbrzyma.. Stan duszy Władysława rozumiała doskonale; instynkt kobiecy mówił jej, że on kocha ją prawdziwie i głęboko; wiedziała, że mogłaby nań wywierać wpływ olbrzymi; jednak nie tajnemi dla niej były jego lekkomyślność i niestałość młodzieńcza. Postać jego młoda, wzrok uwielbieniem przejęty stawały jej i teraz przed oczyma i szeptała w duszy: — „on się zmieni dla mnie."

Lecz w tejże samej chwili wspomnienia niedoli swej młodozmarłej matki odganiały od jej umysłu te miłe marzenia.

Pośród takich sprzecznych myśli długi czas zasnąć nie mogła, wreszcie zdrowy, silny organizm upomniał się o swe prawa, zasnęła, szepcząc bezwiednie:

— On się poprawi!.. Trzeba go poddać różnym próbom... On się poprawi!...

. . . .

Na drugi dzień do rannej herbaty towarzystwo zgromadziło się dość późno. Władysław, nieobudzony dziś przez Żorża, przyszedł ostatni. Na twarzy jego widniał wypiętnowany smutek i zniechęcenie; z Niną przywitał się zimno i drwiąco, choć nie słyszał, a jednak był pewny, że wczoraj, po rozejściu się, opowiadała Jadwidze wszystkie plotki, jakie o nim po mieście krążyły; Jadwidze podał rękę milcząco, lecz smutek jego i wyraz oczu mówiły jasno: — winien jestem, przebacz, ty wiesz, że w twojej mocy leży uczynić ze mnie zupełnie innego człowieka, zmiłuj się nademną nie karz mnie!

Oczy Jadwigi głuche jednak były na tę prośbę, udała, że nie rozumie tych niemych słów, wszak postanowiła ukarać go, podać różnym próbom.

Po herbacie baron z córkami wyjechał i Władysław miał początkowo zamiar wyjechać razem z nimi, jednak w ostatniej chwili zmienił go, czuł że jest to ponad jego siły wyjechać w takim stanie, pożegnać Jadwigę na cały miesiąc i pożegnać nie złagodziwszy nieporozumienia, nie zatarłszy złego wrażenia, jakie w jej duszy musiał pozostawić wczorajszy dzień.

Kazał więc Hryniowi odjechać z przed ganku i został.

Kilka tych godzin, które spędził w Uniżu, pomiędzy śniadaniem a obiadem, należały do najboleśniejszych w jego życiu. Jadwiga nasamprzód skryła się w swoim pokoju i nie pokazywała się zupełnie; inni mieszkańcy pałacu, każdy zajęty swą pracą, nie zjawiali się w salonie; siedział więc tam sam jeden wyczekując niecierpliwie zjawienia

się Jadwigi i przypominając sobie z przykrością swoje wczorajsze postępowanie.

Dla zabicia tych przykrych myśli brał od czasu do czasu który z dzienników rozrzuconych po stołach i stolikach, nie mógł jednak schwycić wątku odczytywanych słów; palące myśli wracały uparcie i powodowały coraz bardziej rosnące rozdrażnienie nerwów.

Na godzinę może przed objadem zjawił się pierwszy w salonie marszałek i zdziwiwszy się jego obecnością dał mu delikatnie do zrozumienia, że jego zdaniem gospodarstwo w tej porze roku wymaga bezustannego nadzoru i oka właściciela. Marszałek, chociaż czasami bardzo wyrozumiały i pobłażliwy na przekroczenia ludzkie, był nie ubłagany na punkcie obowiązków gospodarskich i wykroczeń pod tym względem nie przebaczał nigdy.

Władysław w pierwszej chwili uczuł się niemile dotknięty uwagą gospodarza, stłumił jednak to uczucie i przyznając się do winy, wytłumaczył się tem, że miał jeszcze o pewnym interesie pomówić z marszałkiem, a wczoraj nie miał ku temu sposobności i w rzeczy samej wymyślił sobie jakąś sprawę, w której zasięgnął rady starszego krewnego.

Uległość ta i dowód zaufania pokładanego w jego doświadczeniu życiowem, wprawiła siwowłosego entuzjastę rolnictwa w doskonały humor, w którym pozostał przez cały już czas trwania obiadu.

Gdy wszyscy się zeszli do obiadu, marszałek wesołym i żartobliwym tonem obwieścił, że uważa za konieczne, ażeby w dniu urodzin pani marszałkowej; wypadającym dwudziestego piątego

września dać wieczorek tańcujący i zaprosić wszystkich znajomych.

— Panna się nam nudzi! — kończył, figlarnie mrugając w stronę Jadwigi. — Musimy ją trochę rozerwać. Zaproszę ci Jadwisiu ze czterdziestu kawalerów, będziesz mogła wybierać jak między ulęgałkami.

— Wujaszku! Stracony będzie bal — zawołała Jadwiga porywczo, a w głosie jej znać było ból, jaki jej słowa marszałka sprawiły — stracony będzie zupełnie, bo ja nie myślę zupełnie za mąż wychodzić. Pójdę do klasztoru! — dodała weselszym już tonem.

— Brawo! Będziemy tego karnawału mieli weselisko — przerwał jej kapitan — każda panna która zaczyna mówić o klasztorze, najpierw myśli o ślubnym kobiercu... Ej, powiedz Jadwisiu, kto to ma być tym szczęśliwym?

— Dziadziuniu! proszę mi nie dokuczać! To niepoczciwie z jego strony—odpowiedziała dziewczyna i dwie duże perliste łzy zaświeciły w jej oczach. — Dziaduś przecież wie, że takiej ubogiej dziewczynie, jak ja, nie łatwo dziś wyjść za mąż.. Zresztą nikt mi się dotąd nie podobał. — I spuściła oczy w talerz, ażeby nie widzieć wzroku Władysława. który jej mówił bez słów, ale wyraźnie: — nie kłam dziewczyno, wiesz dobrze że jest taki, który cię weźmie bez grosza.

Gdy wstali od stołu, Władysław kazał natychmiast konie zaprzęgnąć i rzeczy wynosić. Przy czarnej kawie, kiedy się znalazł oko w oko z Jadwigą, odezwał się do niej cichym i nieśmiałym głosem.

— Panno Jadwigo! Nie wiem, czy panią zobaczę przed dwudziestym piątym września, a

bojąc się żeby mnie kto szczęśliwszy nie uprzedził, proszę panią o pierwszego mazura.

Głos jego tak drżał, oczy pokryte wilgotną jakąś powłoką, tak prosiły czule, że dziewczyna zmiękła, żal się jej zrobiło tego lekkoducha, który cierpiał tak widocznie, podała mu więc rękę i ściskając jego dłoń silniej niż zwykle szepnęła:

— Dobrze! Ale pod warunkiem — tu uśmiechnęła się figlarnie — że pan będzie się starał zasłużyć na tego mazura.

— W jaki sposób? W jaki sposób? — zapytał Władysław, a w zapytaniu tem dźwięczała nuta szczęścia prawdziwego. — Niech mi pani powie, w jaki sposób?

Ona cofnęła rękę z jego dłoni i patrząc mu serdecznie w oczy odrzekła:

— Pan wie doskonale, o czem myślę... Nie trzeba robić przykrości tym, którzy mu są życzliwi...

Wszystkie zmartwienia, troski i niepokoje opuściły naraz młodego zapaleńca, świat mu się wydał nagle niebem, a nawet stary kapitan i ciotka marszałkowa przybrali anielską postać; stał, nie mogąc znaleźć słowa odpowiedzi, i musiał użyć całej siły woli, ażeby tu przy wszystkich nie porwać tej dziewczyny w ramiona, nie przecisnąć jej do piersi i na jej karmazynowych ustach nie wycisnąć szalonego, namiętnego pocałunku.

W tej chwili dzwonki u ganku dały znać, że konie gotowe; Władysław nie miał już zupełnie ochoty do wyjazdu, spostrzegła to domyślna dziewczyna, ale chcąc odciągnąć stanowczą chwilę, rzekła doń cicho:

— Niech pan dziś jedzie, a dwudziestego piątego czekam pana do pierwszego mazura... Niech pan jedzie, bo wujaszek i tak już zrzędzi na temat: niepilności gospodarskiej!.. Trzeba na mazura zasłużyć. — I podała mu znowu rękę, na pożegnanie już. musiała jednak pierwsza ją cofnąć, bo uszczęśliwiony Władysław byłby trzymał tę drobną rączkę do wieczora i nie byłby wcale odjechał. Pożegnawszy serdecznie ciotkę, marszałka i kapitana, jeszcze raz zbliżył się do Jadwigi i czułem spojrzeniem wybłagał jeszcze jedno uściśnienie dłoni, później zbiegł pospiesznie przed ganek, uściskał serdecznie kapitana i Józia, którzy go aż tam odprowadzili, i jednym zamachem znalazł się na wózku.

— Stój! Stój, szaławiło! — wołał za nim kapitan, kiedy wypoczęte klacze ruszyły z kopyta.— Jeżeli będziesz w domu, to odwiedzę cię w czasie nieobecności marszałkowstwa,

— Dobrze! Proszę! Bardzo proszę! — rzucił przez ramię, starając się zniecierpliwione konie wprowadzić w równy, spokojny kłus.

Przed bramą obejrzał się jeszcze raz i zobaczył — Jadwigę stojącą w oknie, i wydało się mu, że na ukochanem tem obliczu dostrzega czuły, życzliwy uśmiech i żal za odjeżdżającym; w pierwszej chwili chciał natychmiast wrócić przed ganek, pójść tam do niej i przy wszystkich upaść przed nią na kolana i zawołać głośno: — kocham cię, bądź moją! Wzgląd jednak na marszałka, na jej własne życzenie wreszcie powstrzymał go od tego... Źle jednak zrobił, że nie usłuchał tego instynktu duszy.

— — — — — — — — — — —

*

Najbliższa droga prowadząca z Uniża do Opola ciągnęła się przez rozległe marszałkowskie lasy; lesiste te i mało uczęszczane, boczne drożyny były zazwyczaj w opłakanym stanie, marszałek lasów nie sprzedawał i mało dbał o drogi wywozowe. Musiał więc Władysław jechać wolno, Jazda ta niecierpliwiła zrazu i jego i konie, po pierwszej mili jednak przyzwyczaili się do tego. Wjechawszy w wąskie, lesiste parowy, wózek posuwał się stępo po nierównym gliniastym, przez deszcze letnie powymulanym gruncie. Młody człowiek mało zwracał uwagi na konie i nierówną drogę; zatopił się w myślach.

Nie niepokoił się już teraz, nie walczył ze sobą samym, nie wątpił w przychylność Jadwigi, droga jego życia widniała mu teraz przed oczyma duszy jasno i wyraźnie; trosk jednak i kłopotów miał jeszcze wiele: musiał interesa uregulować, dom na przyjęcie młodej żony przygotować — nie wątpił, że ją będzie miał; — długi co ważniejsze popłacić i stać się porządnym człowiekiem. Tegoroczny obfity urodzaj i niezłe ceny w znacznej części dopomagały mu do urzeczywistnienia tych zamiarów. Zresztą nie wątpił, że i marszałek dopomoże mu do tego. Pierwszą rzeczą było sprzedać pszenicę i uzyskanemi pieniędzmi zapłacić Fiksa i kilku, z pobliskich miasteczek żydków należących do tej samej finansowej kategorji co czcigodny bankier z Rajpola.

Do Opola musiał przejeżdżać przez Zarzecze, mieścinę niewielką ale dość handlowną i posiadającą kilka dużych młynów, chciał więc spróbować, czy w Zarzeczu nie uda mu się na dobrych warunkach sprzedać tegorocznej pszenicy.

W podobnych myślach pogrążony ani spostrzegł, jak się znalazł na górze ponad Zarzeczem. Słońce pochyliło się już zupełnie ku zachodowi i nikło zwolna za ogromnemi dębowemi lasami, a w dole szerokiego podolskiego jaru rzeczka wiła się kręto pomiędzy ściśniętemi żydowskiemi domami; w domach tych tu i ówdzie błyszczały już szabasowe światełka. Gdy spuszczał się spadzistą niby urwisko alpejskie drożyną w dół ku miasteczku, światełka te mnożyły się z każdą chwilą, a promienie słońca nikły już zupełnie, tylko jasność na zachodzie wskazywała, w którym kierunku umykało światło dzienne.

Zarzecze przedstawiało poważny widok. Starzy żydzi okryci białemi w czarne pasy płachtami, i śmiertelnemi koszulami, sunęli poważnie do bożnicy, która wznosiła się na ustroniu, cicha jakaś niezwyczajnie poważna. Starzy chasydzi zarzeccy utrzymywali, że gmach ten wzniosła dla ich przodków jeszcze królowa Bona; pomiędzy grupami mężczyzn przesuwały się garstki zamodlonych starych żydówek, w bindach perłowych na skroniach, pookrywanych staremi przedwiecznemi tyftykami tureckimi; samym środkiem drogi przebiegały całe gromady brudnych i wrzaskliwych bachurów, tamując przejazd, i tem samem narażając się na przejechanie.

— How, how! Z drogi! — musiał krzyczeć Władysław co chwila i hamować konie, które rwały się i niecierpliwiły powolną jazdą po równej i gładkiej drodze.

Co chwila któryś z mijających go żydów uchylał kaszkietu i witał go uniżonem a jednak hidalgowskiej dumy pełnem: „Dobry wieczór jasnemu panu!“

Niektórzy nawet z „faktorów“, nie zwracając uwagi na zgorszone spojrzenia starszych gminy, zbliżali się do wózka i mówili:

— Całuję stopy jaśnie pana. Proszę się zatrzymać u Mendla. Jak tylko szabas się skończy, ja tam przyjdę, mam *a fein* kupiec na pszenicę dla jasnego pana.

W zajezdnym domu Mendla Szapiry duża latarnia oświetlała szerokie podwórze, a gościnnie otwarta brama wjazdowa aż prosiła, żeby nie minąć tego uczęszczanego przez okoliczną szlachtę zajazdu.

Nie myślał jej i Władysław mijać. Zebrał konie krótko na lejce i znikł za chwilę wraz z wózkiem i końmi w głębi żydowskiego domostwa. Na spotkanie gościa wybiegli tylko małoletni *miszures* i młode a zalotne córki gospodarza, bez których nabożeństwo w bóżnicy bezpiecznie obejść się mogło.

Władysław, nie zważając na zalotne umizgi przystojnych żydóweczek, wszedł do gościnnej izby i natychmiast posłał *miszuresa*, żeby mu zawołał faktora Zejdę.

— Niech Zejda zaraz tu przyjdzie, jak tylko szabas odejdzie — rzekł do żydka, a zapaliwszy sobie papierosa, usiadł milcząco w wygniecionym fotelu.

Za chwilę zjawiła się w izbie Chajka, najstarsza Mendlowa córka, i zaczęła ścierać ze stołu obficie leżące tam kurze; przy pracy tej otarła się kilka razy o ramię Władysława, wyciągając się przytem jak kotka.

— Jaśnie pan jakiś niezdrowy — zaczęła pierwsza rozmowę, widząc, że Władysław milczy i nie zwraca na nią uwagi. — Co jaśnie panu jest?

Może jaśnie pan pozwoli ryby szabasowej, śliczny jest szczupak faszerowany, *a git.* A może wina jakiego?... Jest i krymskie i francuskie, doskonałe.

— Nie. Nic jeść nie będę — odrzekł jej Władysław, cofając się w głąb fotelu i otaczając się gęstemi kłębami dymu. — Ot, powiedz mi lepiej, co tu u was słychać? — dodał ziewając.

— A co w takiem *misteczku* może być słyszno, to niech jasny pan nam powie co w *gorodzie*, w Kamieńcu słyszno, pański Żorż mówi, co jaśnie pan z Kamieńca jedzie... A co słyszno — dodała po chwilowej przerwie — *rychtyg* ludzie gadają, co jaśnie pan ma si żenić, co bierze takie *fein* panienkę, która ma kilka swoich wsiów i bardzo dużo pieniędzów... to Chajka chce powinszować jaśnie panu...

— Któż to ci mówił? — zapytał Władysław ożywiając się nagle — kto ci mówił?

— A kto mówił, zwyczajnie ludzie gadają, albo ja pamiętam, czy tu jeden przyjdzie i gada...

— Wiesz Chajko, że ci źle mówili, może ja się ożenię, ale z taką panną, co grosza nie ma...

— Chi! chi! chi! Niech jaśnie pan żartuje zdrów z prostej żydówki — zawołała śmiejąc się wesoło. — Co jaśnie pan mówi? Niby to ja choć prosta żydówka nie wiem, że taki, co nic nie ma, to nazywa się łajdak.. No to z taką przecie jaśnie pan się nie ożeni.

Zapatrywanie socjalne Chajki przerwało wejście kilku żydów, kłócących się z sobą zajadle jeszcze od bramy domu. Dziewczyna zobaczywszy ich cofnęła się w głąb domostwa, rzucając niechętne spojrzenia na zamyślonego Władysława, znać przywykła do innego obejścia z jego strony.

— Kłaniam jaśnie panu! — zawołałi równocześnie wszyscy żydzi razem. — Ja bym dał bardzo uczciwe kupiec na pszenicę.

— Co wy gałgany, łajdaki będziecie zawracać glów jasnemu panu! — zawołał przeraźliwie ogromny żyd zwracając się do swych towarzyszy — *Gaj a weg*! Ruszajcie do dziabeł!... Jaśnie pan nie ma tu w Zarzeczu żadnego faktora tylko mnie — Charifa rudego... *Chast tu verstanden*? Ruszajcie do dziabeł!...

Gwar ten i hałas tak zagłuszył Władysława, że siedział w fotelu milcząc i niepatrząc nawet na kłócących się żydów. Gwar rósł z każdą sekundą, aż wreszcie faktorzy w zapale kłótni zaczęli się poszturkiwać i potrącać. Widząc to, Władysław zerwał się nagle i zawołał, tupiąc nogą w podłogę.

— Cicho! Sza! Czego wy tu chcecie!

— Ja mam kupiec na pszenicę! — krzyknęli znowu wszyscy razem

— Nie mam pszenicy na sprzedaż! — rzekł stanowczo młody człowiek i wskazując drzwi dodał — Ruszajcie mi wszyscy za drzwi i dajcie mi spokój.

Nastąpiła chwilowa konsternacja, żydzi coś poszwargotali pomiędzy sobą, w czasie czego dało się słyszeć kilka razy wymówione z cicha słowa: Fiks.. fiks. Po chwili jednak przerwy przemówił Charif przedzierając się naprzód całej kupy.

— Jaśnie pan żartuje! My wiemy co jaśnie pan tylko żartuje.. Fiks nie kupił i nikt nie kupił.

— Fiks nie kupił i nikt nie kupił — odrzekł Władysław — ale i wy nie kupicie.

— Ja kupię — wołał Charif — ja mam bardzo porządny kupiec, da po rublu za pud, kupiec

z Odessy, parę tysięców na stół za dwa dni tylko zatelegrafiruje do niego...

— Jaki on ma kupiec?.. Szarłatan jakiś! — wołał z poza szerokich pleców Charifa mały żydek w krótki surdut odziany. — Ja jestem *zastupnik* i agent wielkiego domu Buber i synowie z Podwołoczysk.. to ja mogę do swoje kantor telegrafować... dam dziś depesze a jutro *geld auf Tisch.* Niech jaśnie pan sprzeda mnie dla Bubera.

— Cicho, cicho! Idźcie do licha — prosił ich Władysław.

W tej chwili drzwi się znowu otworzyły i do izby wsunął się mały, suchy człowieczek, o rzadkiej białej brodzie i łysej zupełnie czaszce; oczy jego, choć zapadłe i zmęczone, z błyskawiczną jednak szybkością zlustrowały obecnych w izbie; splunął niechętnie patrząc na tłum faktorów i bokiem przecisnął się do Władysława.

— Wielmożny pan posyłał za Zajdą — przemówił cichym monotonnym głosem. — A może Zajda już niepotrzebny, ja tu widzę tyle faktorów.

— Jak się masz, Zajda? — zawołał radośnie Władysław. — Zostań, bo mam do ciebie interes.

— Niech wielmożny pan Ladżio każe im pójść precz — szepnął stary, nachylając się do ucha młodego człowieka. — To same łajdaki, im z przeproszeniem z jednym Ursyńskim handlować, a nie z porządne panowie.

— No, ruszajcie mi wszyscy za drzwi! — krzyknął, podnosząc się z fotelu Władysław. — Zostawcie mnie z Zajdą, mam z nim coś pomówić.

Słowa te pogodziły w jednej chwili kłócących się zajadle faktorów; zamilkli na chwilę, ale wnet podnieśli straszliwy, piekielny hałas.

— Co to Zajda? Czy Zajda, stary dureń, lepszy

od nas? Zajda o mało co w turmie nie siedział! Zajda stary szachraj! Niech jaśnie pan tego *ganefa* nie słucha! — wrzeszczeli razem.

Cierpliwość Władysława wyczerpała się w tej chwili; tupnął nogą w podłogę, brwi zmarszczył i huknął tak, że żydzi zadygotali ze strachu.

— Precz! Za drzwi, gałgany; bo jak którego w ręce wezmę, to kości swych nie porachuje. Ano, fora ze dwora!

W jednej sekundzie pokój był próżny, tylko Władysław i Zajda w nim pozostali.

— Niech pan Ladźio zamknie drzwi i okna, bo te gałgany wlezą znowu — szepnął stary żyd, a gdy Władysław wykonał polecenie, zapytał go takim samym przyciszonym głosem: — Czem wielmożnemu panu Ladźiowi ma Zajda służyć?

— Daj mi, stary, uczciwego kupca na pszenicę — rzekł Władysław.

— Hm, hm! kupca na pszenicę — powtórzył żyd, gładząc brodę. — Ja byłem w Opolu; pszenicę widziałem... ładna; ze Stanisławem gadałem i kupca mogę do tej pszenicy zaprowadzić. Tylko jedno: Czy Fiks nie ma kontraktu?

— Nie ma — odrzekł Władysław. — Należy mu się tylko tysiąc rubli na weksel i procent od jarmarku.

— No, to głupstwo, jak nie ma kontraktu, to mała rzecz Ja kupca zaprowadzę i to porządnego kupca, Judkę Skałeckiego, *rechtelny* człowiek i *obstanowki* za pieniądze nie będzie. A ile zaraz potrzeba?

— Trzy tysiące rubli. Maszyna zacznie w poniedziałek młócić, do miesiąca pszenica będzie

gotowa, ma ją zabrać i resztę pieniędzy zapłacić — odparł Władysław.

— To bagatel. Ale cenę jaką pan Ladzio sobie żąda?

— Marszałkowi dają po rublu za pud — rzekł wahająco Władysław.

— Nu, marszałek to znowu inna rzecz; niech się wielmożny pan nie obrazi, ale taki skarb jak marszałek, to na całe gubernje nie ma... Coby długo nie gadać, Judka da panu Ladziu po dziewięćdziesiąt sześć kopiejek i trzy tysiące rubli zaraz, na początek. Prosty kontrakt. Dziś zaraz skończy interes i złoży zadatek.

— Niech da dziewięćdziesiąt ośm.

— Ja będę jemu kazać dawać dziewięćdziesiąt siedm i koniec geszeftu... Nu, ja idzie za nim, on tu u Mendla z pieniędzmi czeka.

I wyszedł.

Za chwilę wrócił Zajda, prowadząc za sobą drugiego siwowłosego żyda. Nowoprzybyły był o głowę wyższy od Zajdy, dobrze zbudowany, barczysty żyd; oczy jego duże ciemno orzechowego koloru patrzały śmiało i otwarcie przed siebie; na regularnej twarzy panował spokój i pewność siebie, znamionujące ludzi uczciwie i spokojnie na kawałek chleba pracujących; pełne i świeże jeszcze usta poruszały się w takt: pobożny żyd kończył znać szabasowe modlitwy.

— Dobry wieczór wielmożnemu panu! — rzekł przerywając modlitwę i wyciągając rękę ku Władysławowi na powitanie — mówił mnie Zajda o tym interesie, ja jego mogę zrobić...

— Niech pan siada panie Judka — przerwał mu Kierbicz podsuwając krzesło staremu żydowi. — Jak się ma pańska żona?

— Dziękować za dobre słowo wielmożnemu panu — rzekł siadając. — Ona chwalić Boga zdrowa, ale nie o to nam idzie.. Ja ten interes mogę zrobić; ale niech mnie wielmożny pan da swoje pańskie, szlacheckie słowo, że tam tego Fiksa nie będzie... Widzi pan, ja jeszcze z dziadem handlowałem, a później z nieboszczykiem ojcem i z nieboszczką panią i pańskie familie znam całe i pana marszałka i pana kapitana i jaśnie grafów z Warowic, to ja powiem panu, że dla takie familji nieprzystojno aby taki Fiks był jedną nogą w opolskim dworze. Jeżeli jego tam nie będzie to ja kupię... i zapłacę...

— Przecież Zajda musiał panu opowiedzieć, jak rzeczy stoją — przerwał mu niecierpliwie trochę Władysław — Fiks ma weksel, który mu jutro zapłacę, jeżeli dziś z panem skończę interes.

— Słowo? — rzekł żyd.

— Słowo — odparł Władysław.

— No, to niech Pan Bóg daje szczęśliwie, tak jak Zajda powiedział, dziewięćdziesiąt pięć kopiejek.

— Nie! od dziewięćdziesięciu siedmiu nie sprzedam.

— Niech będzie i siedem, dla pańskie delikatne familie to robię, choć Bóg niech mnie skarze że Wędzolski dawał mi za dziewięćdziesiąt pięć, ale Judka nie lubi handlować z takimi panami... to z prostactwa.

Władysław przybił interes, na zakończenie podał rękę staremu Judce; kontrakt napisał, pieniądze przeliczywszy do pugilaresu schował i sto rubli Zajdzie faktornego zapłacił Nim się rozeszli Mandel gospodarz zajazdu się zjawił i zmusił

obie strony do wypicia butelki starego węgierskiego wina.

— Dla takie panowie to u mnie jest prawdziwe wino — mówił zachęcając — dla oficerów i podlejsze państwa to tam Chajka trzyma ten krymski kwas... A to wino to jeszcze pił sam pan prezes, dziadunio jaśnie pana i już wtenczas smakowało mu... Nu, a teraz *cymes*! Niech jaśnie pan jeszcze pozwoli... Nu a z tej pszenicy spodziewam się że dla Mendla będzie jeden kulik, za to co się w moim domu zrobiło..

Noc była ciemna, bo księżyc późno już wchodził, nie chciał jednak Władysław zgodzić się na zaproszenie Chajki, która straszyła ciemnicą i do nocowania w Zarzeczu namawiała, tylko kazał zaprzęgać konie i zapalić naftową pochodnię. Wyjechawszy z miasteczka cała kilkunastowiorstowa droga z Zarzecza do Opola ciągnęła się jedną nieprzerwaną równiną, ongiś stepem nie oranym, po którym tylko mogiły kierunek drogi znaczyły, dziś słupy werstwowe i telegraficzne zastępowały te historyczne drogowskazy. Po równinie tej wózek Władysława i płonąca pochodnia przesuwały się z szaloną szybkością, klacze poznały, że wracają już do domowego żłobu, rwały z kopyta, tylko step jęczał za niemi.

Gdy wjechał Władysław w bramę ojczystego domu powitał go pierwszy stary Stanisław, który nie mogąc sypiać, obejścia pilnował i chodząc po dziedzińcu odmawiał wieczorne modlitwy, a druga wybiegła skomląc radośnie i skacząc na wózek stęskniona Leda, która usłyszała jadącego pana, gdy był jeszcze na drugim końcu wsi i swem radośnem szczekaniem dom cały rozbudziła.

— Co tam słychać, Stanisławie? — zapytał pan wyskakując z wózka.

— Chwała Bogu wszystko zdrowe, tylko coś nam Kropielnicki upił się wczoraj na dożynki i Jaśka polowego pobił... Całą historję zaraz wielmożnemu panu rozpowiem.

— Jutro! jutro! Dziś chcę spać.

W pół godziny później, znużony drogą, dziedzic Opola spał.. i znowu śnił o— Jadwidze.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.